## Podwójny kontakt

# James White

*Przełożył Radosław Kot*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rozedrgana od rozgrzanego powietrza tarcza słoneczna majaczyła na brudnożółtym niebie niczym zmatowiała i postrzępiona flaga. Chwilami ginęła w chmurach niesionych przez wichury, które nieustannie nawiedzały skażoną powierzchnię planety. Po mającym wkrótce nastąpić zachodzie słońca należało się spodziewać całkowitych ciemności — blask tutejszego księżyca był zbyt słaby, aby przebić się przez wzburzoną i ledwie przejrzystą atmosferę, a gwiazd nie widziano tu już od trzech stuleci.

Gdy zatrzymali się na chwilę przed wejściem do pierwszej z szeregu komór odkażających w ich podziemnej siedzibie, wyraźnie poczuli szalejący wiatr. Był porywisty i śmierdzący, ale chcieli po raz ostatni spojrzeć na ten świat, zwany Trolannem — dobrze im znany, chociaż niezmiennie odpychający.

Czujniki skafandrów informowały o obecności niesionych podmuchami powietrza owadów i zarodników, które bezskutecznie próbowały przeniknąć przez osłony stawów i uszczelki wizjerów.

— Ani śladu druula — powiedział Jasam. — Można bezpiecznie wejść.

Sięgnął manipulatorem, aby otworzyć wejście do komory, potem wskazał szerokim gestem na ledwie widoczne słońce, coraz gęściejszą toksyczną mgłę i zamazane kontury wejść do sąsiednich podziemnych domów.

— Dobrze nam tu było razem — westchnął. — Nasza nowoczesna nora to szczęśliwy dom.

I taka pozostanie przez te kilka dni — dodał, starając się, aby jego głos brzmiał swobodnie.

— Aż znajdziemy nowy — powiedziała Keet z irytacją. Zawsze tak reagowała na oczywistości. — Jestem głodna i chcę wyleźć wreszcie z tej skorupy.

— Ja też — przytaknął energicznie Jasam. — Ale głodna być nie musisz — dodał rzeczowo.

— Podajniki skafandrów serwują dokładnie to samo, co czeka na nas w kuchni. Dostaliśmy przecież wszystko, co najlepsze. Możesz więc pożywić się już teraz. Zawsze to jakiś sposób na przeczekanie procedury odkażania.

— Nie — powiedziała Keet zdecydowanie. — Chcę, abyśmy zjedli razem, skoro mamy jeszcze po temu okazję, a nie osobno, jakby nic poza pracą nas nie łączyło. Wiesz, Jasam, czasem bywasz wrażliwy niczym... druul w rui.

Nie zareagował na to najgorsze z porównań, bo oboje wiedzieli, że było tylko żartem.

Zresztą wszyscy starali się żartować na temat tej piekielnej formy życia, aby ukryć strach i obrzydzenie, jakie w nich budziła. Poza tym słowa na niewiele się tu zdawały, wskazane było raczej działanie.

Żadne z nich nie skorzystało z podajników, podczas gdy ich skafandry przechodziły skomplikowaną, ale absolutnie niezbędną procedurę. Spryskiwanie środkami odkażającymi, usuwanie śladów radiacji i w końcu cieplne wyjaławianie ciągnęły się niemiłosiernie, jednak wiele form życia, które ostatnio wyewoluowały na powierzchni, było na tyle groźnych, że dostawszy się do podziemnego domu, mogłoby w kilka minut zgładzić wszystkich jego lokatorów. Gdy przeszli w końcu do części mieszkalnej, mieli pewność, że nie wprowadzają tam żadnego niechcianego towarzystwa.

Jasam przystanął na chwilę, aby przyjrzeć się skrytej w kształtnym skafandrze Keet.

Odwzajemniła spojrzenie, podziwiając jego wyższą i silniejszą posturę. Skafandry były naprawdę dobrze zaprojektowane, a Keet i Jasam, chociaż ciągle młodzi, osiągnęli wystarczająco wysoką pozycję, aby otrzymywać wszystko, co najlepsze. W rzeczywistości jednak nie byli wspaniali — niewielcy, chorowici i wcale nie tak piękni. Ale cybernetycznie sterowane manipulatory nie mogły zastąpić prawdziwego dotyku.

Niecierpliwie, choć bez pośpiechu, Jasam odłączył się od wizualnych, słuchowych i dotykowych modułów skafandra, potem usunął podajniki wody i pożywienia oraz — z nieco większą ostrożnością — wnikające głęboko w organizm końcówki systemu usuwania produktów przemiany materii. Uporał się z tym szybciej niż Keet i patrzył potem, jak jego ukochana otwiera długi brzuszny zamek i wychodzi ze skafandra — powoli i z wysiłkiem, niczym rodzące się dziecko.

Odbarwienia i blizny na jej ciele zdradzały, że podobnie jak on przeszła wiele chorób wywołanych czynnikami zewnętrznymi, gdyż otaczające ich środowisko nie nadawało się już do życia, mimo to nie zmieniła się zbytnio od ich pierwszej wspólnej nocy. I dla niego nadal była piękna. Gdy w końcu wyszła ze skafandra, ochoczo zbliżył się ku niej.

Jakiś czas później zjedli przygotowane przez Keet dania, podane jak najwykwintniej, z przyprawami mającymi zagłuszyć nijaki smak standardowych racji żywnościowych z przetwornika. Ponieważ jednak szef programu zapowiedział, że mają dla siebie tylko trzy dni, woleli nie marnować czasu na jedzenie. Starali się przy tym nie rozmawiać o pracy, ale wyczerpanie sprawiało niekiedy, że temat ten sam powracał.

— Nie żebym narzekała, ale po takich trzech dniach nie będzie z nas zbyt wiele pożytku — zauważyła Keet. — Lekarze nie będą zadowoleni.

— Nie zrobi im to różnicy — pocieszył ją Jasam. — Nie zrozumiałaś, o co im chodziło podczas ostatniej odprawy? Operacja wszczepienia w kokon, zwłaszcza ten najnowszy, eksperymentalny, jest długa i nieprzyjemna. Pacjenci powinni być więc świadomi, wypoczęci i współpracujący. I wypoczęci będziemy, przynajmniej fizycznie.

Już teraz przytulali się z całych sił, ale Keet spróbowała jeszcze bardziej zbliżyć się do Jasama.

— Tak się robi dzieci — powiedziała cicho.

— Nie w naszym przypadku — rzucił Jasam, ale zaraz spróbował złagodzić wydźwięk tej uwagi: — Gdybyśmy oboje byli zdrowi i płodni, nigdy nie otrzymalibyśmy zgody na udział w programie. O misji „Kokon 3” nie wspominając. Umieściliby nas jak najgłębiej i dali wszystko, o czym śmiertelnik może zamarzyć, w zamian oczekując tylko podporządkowania się poleceniom lekarzy pracujących nad zachowaniem naszej chorej rasy. Wobec groźby jej wymarcia, i to być może już za kilka pokoleń, odczucia par biorących udział w programie nie są szczególnie ważne. To walka o przetrwanie, a nie przyjemność. Podbudowany zaawansowaną techniką imperatyw ewolucyjny...

Keet się skrzywiła, gdyż Jasam znów przypominał jej o czymś, o czym nie miała szansy zapomnieć. Całkiem jakby chciał zepsuć tych kilka intymnych chwil.

— Bylibyśmy wtedy nawet słabsi niż teraz — dodał szybko. — Ale nie przeżylibyśmy tej frajdy.

Zaszczyt, który ich spotkał, był bezprecedensowy i rozpierała ich słuszna duma, że to właśnie oni zostali wybrani. W tej sytuacji nie zostało wiele miejsca na strach, ale też nie rozmawiali już więcej o programie i starali się nie spoglądać na kontener z hermetyczną kulą.

Miała potrójną osłonę i została wyposażona w tymczasowy system podtrzymywania życia.

Gdy inżynierowie dadzą znak, Jasam i Keet wejdą do niej i spędzą w środku kilka godzin koniecznych do bezpiecznego przetransportowania ich z domu do centrum medycznego, gdzie wykwalifikowany zespół chirurgów podłączy ich do modułów kokonu. Wtedy też będą mogli dotknąć się po raz ostatni.

Pierwszy wystrzelony kokon został przechwycony i zniszczony przez druula, zanim jeszcze wydostał się poza atmosferę. Drugi wystartował szczęśliwie, ale jeśli nawet coś znalazł, nie wrócił, aby o tym zameldować. *Kokon 3* był najbardziej zaawansowanym wytworem nauki. A ze względu na postępującą degenerację środowiska i kurczące się zasoby miał też niemal na pewno pozostać ostatnim. Od sukcesu ich wyprawy zależało więc przetrwanie całej rasy.

Kokon został zaprojektowany dla dwojga pasażerów tak, aby zaspokajał wszystkie potrzeby ich organizmów przez czas wykraczający znacznie poza długość życia najzdrowszego osobnika. Dawał możliwość komunikowania się wewnątrz, ale każdy z modułów był tak wielki, że nigdy już nie mieli mieć ze sobą fizycznego kontaktu.

Inżynierowie wyposażyli go w więcej zabezpieczeń niż poprzednie modele, a psychologowie zrobili wszystko, co leżało w ich mocy, aby pomóc załodze przetrwać podróż. Nikt jednak, z Jasamem włącznie, nie wiedział tak naprawdę, na jakie zagrożenia natrafią.

— Przynajmniej będziemy mogli bawić się naszymi lalkami — wyszeptała Keet, jakby czytała w jego myślach.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gabinet nowego administratora i naczelnego psychologa szpitala przypominał średniowieczną izbę tortur. Prilicla oczywiście nie znał historii Ziemi, choć noszony przez niego hipnozapis podpowiadał takie właśnie pokrewieństwo. Nie było ono dokładne — po części za sprawą pieczołowicie dobranych obrazów wiszących na ścianach i przedstawiających krajobrazy różnych planet, ale przede wszystkim ze względu na stojące wkoło konstrukcje. Ziemscy kaci nijak nie wiedzieliby, co z nimi zrobić. Były to meble o osobliwych kształtach, na których przedstawiciele różnych ras mogli usiąść, kucnąć, położyć się albo zawisnąć podczas rozmowy z przełożonym. Zakładając oczywiście, że nie musieli stać na baczność, słuchając cierpkich słów na swój temat.

Tym razem Prilicla miał czyste sumienie i wyczuwał, że to samo dotyczy stojącego obok kapitana Fletchera, w nienagannie wyglądającym mundurze. Natomiast administrator szpitala, Ziemianin Braithwaite, emanował mieszanką niepokoju podszytego pośpiechem. W tej sytuacji nie należało oczekiwać, że zaproponuje im skorzystanie ze zgromadzonego w gabinecie umeblowania. Nie odezwał się też od razu, gdy do niego weszli.

— Sir — powiedział kapitan, spoglądając kątem oka na Priliclę, który unosił się w powietrzu na wysokości jego ramienia, burząc mu lekko podmuchem fryzurę. — Otrzymałem wiadomość, że chce mnie pan pilnie widzieć. W drodze tutaj spotkałem starszego lekarza Priliclę, który otrzymał takie samo wezwanie. Do tej pory pracowaliśmy razem tylko podczas misji ratunkowych, domyślam się więc, że ma pan kolejne zadanie dla *Rhabwara?*Braithwaite przechylił w milczeniu głowę. Przed awansem na administratora był takim samym oficerem Korpusu Kontroli jak Fletcher i pierwszym zastępcą ówczesnego naczelnego psychologa O’Mary. Był uosobieniem spokoju i mistrzem w stosowaniu przepisów ubiorczych. Nawet teraz, gdy w związku ze zmianą przydziału musiał zrezygnować z munduru, nosił się niczym gotowy w każdej chwili na surową inspekcję żołnierz.

— Możliwe — powiedział w końcu.

Prilicla wyczuwał narastające zdumienie kapitana.

— Nasz administrator ciągle jeszcze nie podjął decyzji, przyjacielu Fletcher — powiedział skrzydlaty empata. — Jak wiesz, wyczuwam tylko jego emocje. Nie myśli jednak, jestem tego pewien, że przyjaciel Braithwaite byłby szczęśliwy, gdybyśmy zgłosili się do tej misji na ochotnika.

— Rozumiem — odparł Fletcher, nie odrywając wzroku od przełożonego. — Doceniamy uprzejmość, sir, ale zanim cokolwiek zadeklaruję, muszę dokładnie wiedzieć, jaki będzie zakres odpowiedzialności. Szybciej pójdzie, jeśli powie nam pan, o co chodzi. Jak pan wie, *Rhabwar* jest stale utrzymywany w stanie gotowości, ale zarówno jego załoga, jak i przydzielony do niego personel medyczny niemal od sześciu miesięcy nie mieli okazji do wspólnych ćwiczeń. Jeśli zatem sprawa jest pilna... Cóż, nie przyspieszymy przelotu w nadprzestrzeni, ale możemy zaoszczędzić nieco czasu w trakcie przejścia z pańskiego biura do doku i przygotowań jednostki do skoku. — Zawahał się i zerknął na Priliclę. Mimo braku pewności decyzja była oczywista. — Zgłaszamy się na ochotnika.

Prilicla, istota nad wyraz krucha, należał do gatunku nienawykłego do podejmowania jakiegokolwiek ryzyka. Brak odwagi był uznawany wśród jego pobratymców za naturalny wyraz ostrożności. Posiadając silnie rozwinięty zmysł empatyczny, na wszelki wypadek zgadzał się z każdym, aby nie narażać się na konieczność odebrania nieprzyjemnej emanacji emocjonalnej.

— Przyjacielu Braithwaite — zaczął ostrożnie. — Do czego właśnie się zgłosiliśmy?

— Dziękuję wam obu — powiedział administrator i było widać, że mu ulżyło. Zanim podjął temat, wcisnął jakiś klawisz na stojącej na biurku konsoli. — Wszystkie dostępne informacje przesłałem do waszego komputera pokładowego. Potem się z nimi zapoznacie.

Nie ma tego wiele i pewni jesteśmy jedynie tego, że w ciągu jednego standardowego dnia wybuchły aż trzy boje alarmowe, przy czym wszystkie sygnały pochodzą z osiemnastego sektora. Jest to obszar niezbadany i — jak można się spodziewać — pierwsze dwa impulsy noszą całkiem nieznane nam sygnatury. Dodatkowo różnią się między sobą zarówno siłą, jak i czasem trwania. Trzeci sygnał jest typowy i został wysłany zapewne przez jednostkę zwiadowczą Korpusu, krążownik *Terragar,* który odbywa w tym sektorze misję badawczą.

Sądzimy, że zareagował w ten sposób na wcześniejsze sygnały. Łącznościowcy nie umieją jednak ich zinterpretować. Nie potrafią nawet orzec, czy faktycznie jest to wołanie o pomoc.

To dlatego wahałem się z wysłaniem *Rhabwara.*Zaskoczony Prilicla postanowił na razie się nie odzywać, ale wiedział, że kapitan Fletcher zada kilka pytań, które również empacie chodziły po głowie.

— Sir, zajmuje się pan psychologią obcych, może pan zatem nie znać się na kwestiach technicznych — zaczął z szacunkiem w głosie — ale jeśli uzna pan ten krótki wykład za zbędny, proszę mi po prostu przerwać. Z tego, co na razie wiemy, istnieje tylko jeden sposób na podróżowanie w nadprzestrzeni i jedna metoda wysłania sygnału alarmowego, gdy statek dozna poważnej awarii i utknie w zwykłej przestrzeni międzygwiezdnej. Proste radio nadprzestrzenne nie nadaje się do tego, ponieważ generowana przez nie wąska wiązka ulega zakłóceniom stwarzanym przez gwiazdy i potrzebuje silnego źródła energii, którym uszkodzona jednostka zazwyczaj nie dysponuje. Ale w tej sytuacji złożony i modulowany sygnał nie jest konieczny. Boja to proste urządzenie jednorazowego użytku, zasilane energią atomową i wysyłające impuls pozwalający na lokalizację rozbitków — nadprzestrzenne wołanie o pomoc, które trwa kilka minut albo godzin. *Rhabwar* został zbudowany właśnie po to, abyśmy mogli sprawnie reagować na podobne sygnały, zwłaszcza wysyłane przez nieznane nam rasy podróżujące w kosmosie — podsumował Fletcher. — Nie rozumiem zatem przyczyn pańskiego wahania, sir.

— Dziękuję, kapitanie — powiedział Braithwaite, pokazując przy tym zęby w grymasie, który u Ziemian był znakiem rozbawienia. — Wyjaśnił pan rzecz przystępnie, ale rzeczywiście niepotrzebnie. Moje wahanie wynika z tego, że te trzy wezwania — przy czym dwa sugerują niski poziom rozwoju techniki kosmicznej pochodzą z tego samego obszaru. Być może naprawdę przebywają tam trzy jednostki, z czego dwie należą do nieznanej nam rasy, i wszystkie znalazły się w sytuacji zagrożenia, ale łącznościowcy zasugerowali mi, że być może dwa pierwsze sygnały nie zostały w ogóle wygenerowane przez nasze boje alarmowe.

Nie wykluczają oni, że mogły być skutkiem ubocznym użycia jakiejś broni. Krótko mówiąc, być może nikt nie wzywa tam pomocy, tylko wręcz odwrotnie. Może się zdarzyć, że będzie trzeba ratować tam ofiary zastosowania przemocy i istoty zaangażowane w międzygwiezdny konflikt. Uważajcie zatem zarówno na siebie, jak i na nasz statek szpitalny. Oczywiście pod warunkiem, że Prilicla weźmie udział w wyprawie.

Braithwaite spojrzał na małego empatę, a jego uczucia sugerowały, że coś jeszcze ukrywa.

— Ma pan tutaj sporo ważnych obowiązków, starszy lekarzu Prilicla. Wiele się zmieniło, odkąd został pan szefem zespołu medycznego *Rhabwara,* i pana obecne kwalifikacje wykraczają poza związane z tym stanowiskiem wymagania. Byłoby więc zupełnie zrozumiałe, gdybym mianował teraz kogoś na pańskie miejsce — podsunął Prilicli całkiem zgrabną wymówkę, która pozwoliłaby mu wycofać się z misji bez utraty twarzy, ale zażądał tym samym natychmiastowej odpowiedzi.

— Patolog Murchison, moja zastępczyni, ma wystarczające doświadczenie w wyprawach ratunkowych, aby zastąpić mnie na stanowisku szefa zespołu — odparł Prilicla. — Jeśli jednak wybaczy mi pan napomknienie o pańskich emocjach, to czuję, że przykłada pan szczególne znaczenie do powodzenia tej misji. Dlatego raczej nie złożę rezygnacji i widzę, że... panu ulżyło, przyjacielu Braithwaite.

Administrator wypuścił powoli powietrze i ponownie pokazał zęby. Potem musnął palcami sensor komunikatora.

— Dziękuję. Członkowie załogi *Rhabwara* zostali już powiadomieni i znajdują się w drodze na pokład. Nie zatrzymuję was dłużej. Powodzenia, panowie.

Prilicla nie był pewien, czy podobało mu się nazwanie go panem, nie należał bowiem do rasy zamieszkującej Ziemię, ale rozumiał, że w tym wypadku chodziło raczej o zwrot grzecznościowy. Zresztą wypowiadając go, Braithwaite emanował szczerą życzliwością.

Empata zawrócił więc w miejscu i szybko podążył do wyjścia. Wiedział z doświadczenia, że nawet gdyby pędził niczym błyskawica, drzwi i tak otworzą się odpowiednio szybko.

Nie wątpił też, że kapitan nie będzie miał mu za złe, iż dzięki skrzydłom szybciej od niego pokona sześć poziomów i plątaninę korytarzy dzielących ich od śluzy doku z *Rhabwarem.* Zresztą cała załoga statku szpitalnego odbywała w tej chwili podobny wyścig z czasem. Fletcher jako człowiek musiał pokonać tę drogę na nogach, chwilami posługując się też łokciami i tubalnym głosem, aby utorować sobie drogę na zatłoczonych korytarzach.

Prilicla zaś leciał albo dzięki sześciu przyssawkom pajęczych nóg po prostu biegł po suficie, ponad kłębiącą się masą czasem przerażających, a czasem pięknych istot, nierzadko silnych i wyposażonych w naturalną broń, z której jednak rzadko korzystały, będąc cywilizowanymi członkami medycznego bractwa obsługującego szpital.

Prilicla po raz kolejny zastanowił się, dlaczego on, kruchy i wrażliwy cinrussański empata, postanowił związać swe życie zawodowe ze Szpitalem Sektora Dwunastego, jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc pracy w galaktyce, zwłaszcza dla kogoś należącego do owadopodobnego typu GLNO. I niezależnie od tego, jak długo by nad tym myślał, odpowiedź zawsze była taka sama.

Chociaż cały czas, wyjąwszy godziny przeznaczone na sen, musiał stawiać czoło zagrożeniom, jakie większość jego pobratymców wpędziłyby w szaleństwo, dawno już odkrył, że ta praca odpowiada mu najbardziej, i nie zamieniłby tego szpitala na żadne inne miejsce. Każdy uzdrawiacz umysłu dopatrzyłby się u niego na pewno głęboko ukrytego pragnienia śmierci, objawów zawodowego masochizmu i patologicznego zamiłowania do ryzyka, a także niezrównoważenia i silnych zaburzeń emocjonalnych, ale to samo można by powiedzieć o większości istot starających się o stanowisko w tej medycznej menażerii, jaką był Szpital Sektora Dwunastego.

Na statek rzeczywiście dotarł pierwszy. Szybko zameldował się i podążył do swojej niewielkiej grubo wyściełanej kabiny, do złudzenia przypominającej pomieszczenie mieszkalne z jego ojczystego świata. Ciążenie też było w niej ustawione na naturalnym dla niego poziomie jednej czwartej ziemskiego. Skrywszy się tu niczym w kokonie, sprawdził jeszcze oba zapasowe moduły antygrawitacyjne i rozprostował skrzydła oraz nogi, przybierając jak najwygodniejszą pozycję do spania. Delikatni, ale nad wyraz aktywni Cinrusskanie potrzebowali wiele snu, a Prilicla wiedział świetnie, że przez pierwszych kilka godzin lotu i tak nie będzie się działo na pokładzie nic istotnego.

Kilka minut później usłyszał kapitana, który skierował się z rękawa prosto do centrali.

Chwilę po nim nadciągnęli pozostali trzej kontrolerzy stanowiący załogę *Rhabwara* oraz narzekający głośno na nagłe oderwanie od codziennych obowiązków personel medyczny.

Prilicla wyczuwał w nich jednak więcej zainteresowania nowym zadaniem niż rzeczywistego niezadowolenia.

Przez chwilę chłonął emocje napływające z pokładu medycznego i centrali. A oni, świadomi, że mały empata nie może się od nich odizolować, starali się panować nad sobą, aby nie narażać go na żadne, przypadkowe nawet nieprzyjemne doznania. Zwłaszcza teraz, gdy ich szef próbował zasnąć.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Po odtworzeniu nagrania dostarczonego przez Braithwaite’a Prilicla wyczuł u wszystkich zaciekawienie, rezerwę i narastającą chęć, aby jak najszybciej dowiedzieć się reszty.

Znajdowali się na pokładzie medycznym. Kapitan Fletcher siedział na łóżku przeznaczonym dla Kelgian, po jego bokach usadowili się Dodds i Chen, porucznicy odpowiedzialni za łączność i napęd statku. Astrogator i aktualny wachtowy pozostawali w kontakcie dzięki pokładowej sieci wideo. Patolog Murchison zajmowała fotel obrotowy przy module diagnostycznym, tyle że obróciła się na nim twarzą do nich. Siostra przełożona Naydrad zwinęła się w futrzany znak zapytania na najbliższym ludzkim łóżku, a polimorficzny doktor Danalta zaległ na podłodze pod postacią niewielkiego zielonego stogu, wypączkowując na potrzeby dyskusji jedno ucho i osadzone na szypułce oko. Obawiający się energicznej gestykulacji Prilicla zawisł tuż pod sufitem, dokładnie przed ekranem, w który wszyscy się jeszcze wpatrywali.

— A więc to wyjątkowa sytuacja, dlatego musimy zachować szczególną ostrożność... — powiedział.

— Zawsze jesteśmy ostrożni — przerwała mu Naydrad, falując energicznie sierścią. — To niby za mało?

Kelgianie z natury mówili dokładnie to, co myśleli. Przyczyną były odbijające każdą emocję poruszenia futra. Nie będąc zdolnymi do świadomego kłamstwa, mogli co najwyżej powstrzymać się czasem od wypowiedzi. Prilicla wyczuwał wątpliwości Naydrad, także te niewyartykułowane, zignorował jednak pytanie, ponieważ i tak chciał wyjaśnić szerzej sprawę.

— Nie wiemy prawie niczego pewnego — zaczął. — Możemy się spodziewać, że przyjdzie nam ratować załogi dwóch zagrożonych jednostek. Pierwsza akcja nie powinna nastręczyć trudności, chodzi bowiem o należący do Korpusu Kontroli statek badawczy *Terragar.* Jego załogę tworzą ziemskie istoty typu DBDG. Klasyfikacja fizjologiczna drugiej załogi pozostaje nieznana. Być może jednak jeden z tych dwóch gatunków...

— To nie ma znaczenia — wtrąciła cicho patolog Murchison. — Liczy się tylko to, kto bardziej będzie potrzebował pomocy medycznej.

Prilicla wyczuł w niej niecierpliwość, zaciekawienie i pewność siebie właściwą komuś, kto przywykł do sporych wyzwań zawodowych.

— Zawsze tak postępujemy — dokończyła Murchison.

— ...jest odpowiedzialny za sytuację, w jakiej znalazła się druga załoga — dokończył Prilicla. — Możliwe też, że w sektorze przebywa jeszcze ktoś. Jednostka albo jednostki, nieuszkodzone, będące sprawcami wszystkich problemów albo ich części. Musimy więc być przygotowani na podobną ewentualność i ustalić zawczasu zasady postępowania podczas tej akcji.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. U wszystkich wzrosło napięcie, ale nie w stopniu, który upośledzałby zdolność oceny sytuacji. Oficerowie Korpusu zareagowali zwiększeniem koncentracji, co było typowe dla wojskowych szykujących się do stawienia czoła niebezpieczeństwu. Murchison nie wydawała się zachwycona, ale podobnie jak Naydrad powstrzymała się od komentarza. Jedynie Danalta wyglądał na całkiem nieporuszonego sytuacją. Tak jak wszyscy zmiennokształtni miał się za odpornego na proste fizyczne zagrożenia.

— W normalnych okolicznościach przyjaciel Fletcher dowodziłby do chwili naszego przybycia na miejsce katastrofy, gdzie powinien ustąpić miejsca kierownikowi personelu medycznego, czyli mnie. Możliwe jednak, że podczas tej akcji, przynajmniej z początku, wiedza wojskowa okaże się bardziej przydatna niż medyczna. Wyczuwam twoją zgodę, przyjacielu Fletcher, no i to, że chcesz coś powiedzieć. Słuchamy.

Kapitan kiwnął głową.

— Czy rozważył pan, starszy lekarzu Prilicla, wszystkie konsekwencje tej sytuacji? Czy uczynili to pozostali obecni na pokładzie lekarze? Rozumiem, że na razie to tylko spekulacje, ale w wypadku natrafienia na konflikt zbrojny niektóre moje rozkazy mogą się okazać sprzeczne z waszymi zawodowymi zasadami. I jeśli dojdzie do tego, będę oczekiwał pełnego podporządkowania się, bez dyskusji czy podawania moich racji w wątpliwość, niezależnie od tego, jakie konflikty sumienia mogłyby z tego wyniknąć. W tej kwestii musi panować jasność i już teraz powinienem mieć waszą zgodę i usłyszeć deklarację pełnej współpracy. Zależy mi, abyście wszyscy zrozumieli wymogi sytuacji przed akcją, aby w jej trakcie nie powstały żadne tarcia.

— Dokładnie tak podczas każdej sytuacji awaryjnej traktujemy polecenia doktora Prilicli — powiedziała Naydrad, falując ze zdumienia sierścią. — To zwykła procedura.

Dlaczego kładziesz taki nacisk na coś oczywistego? A może coś mi umyka?

— Owszem — powiedział kapitan spokojnie, chociaż wolałby nie mówić o tym głośno. — Nasza jednostka nie jest uzbrojona, ale nie oznacza to, że jesteśmy całkiem bezbronni.

Poruczniku Chen?

Inżynier pokładowy odchrząknął.

— Istnieje możliwość kilkugodzinnego przeciążenia naszych emiterów osłon przeciwmeteorytowych w taki sposób, aby chroniły nas przed odłamkami powstałymi podczas eksplozji klasycznych głowic. Ale jeśli natrafimy na głowicę atomową, będziemy bez szans.

— Emitery wiązek przyciągająco‑odpychających, z których korzystamy podczas dokowania albo unieruchamiania przy burcie wymagających zbadania wraków, też mogą być wykorzystane jako broń — odezwał się bez wywoływania porucznik Haslam, do którego obowiązków należała astrogacja, ale i utrzymanie systemów statku. — Nie będą szczególnie destruktywne, ale przy utrzymaniu stałej odległości od obiektu i idealnym dopasowaniu prędkości można osiągnąć na tyle wąskie skupienie wiązki, aby wybić nią kilkustopową dziurę w poszyciu nieprzyjaciela. Problem polega na tym, że podobna operacja wymaga dużej energii. Musielibyśmy wówczas wyłączyć tarcze, co uczyniłoby nas bardziej podatnymi na ewentualny atak.

— Dziękuję, poruczniku — powiedział kapitan i spojrzał na pozostałych. — Jak sami widzicie, nie jesteśmy dobrze wyposażeni do prowadzenia działań militarnych. Tym bardziej więc w wypadku konfliktu zbrojnego taktyczna ocena sytuacji będzie miała decydujące znaczenie. Zaważy na charakterze moich rozkazów. Gdyby walka jeszcze trwała, zarządzę natychmiastową ucieczkę w nadprzestrzeń. Jeśli zaś trafimy na pobojowisko, rozważę udzielenie pomocy rozbitkom — pod warunkiem że nie zagrozi to bezpośrednio *Rhabwarowi.*Wówczas będę zapewne oczekiwał porady personelu medycznego w kwestii kolejności podchodzenia do uszkodzonych jednostek. Może jednak zdarzyć się i tak, że sam o tym zadecyduję. Uważam, że w pierwszym rzędzie powinniśmy się zająć statkiem badawczym Korpusu i załogą złożoną z przedstawicieli znanego nam gatunku, a nie obcymi, ponieważ...

— Kapitanie Fletcher! — przerwała mu Murchison z taką złością, że Prilicla zatoczył się w powietrzu jak uderzony czymś ciężkim. — Nie zwykliśmy tak postępować!

Reszta personelu medycznego podzielała jej odczucia. Kapitan zamilkł więc na chwilę, aby uporządkować myśli, które nie różniły się zbytnio od refleksji reszty dyskutantów.

— Owszem, proszę pani, zwykle tak nie postępujemy. Chciałem jednak wyjaśnić, dlaczego uważam, że w pierwszym rzędzie powinniśmy ratować naszych ludzi. Ma to zarówno taktyczne, jak i psychologiczne uzasadnienie. Oni wiedzą świetnie, kim jesteśmy i po co przybyliśmy, i mogą wspomóc nas istotnymi informacjami na temat tego, co się stało.

Druga strona będzie najprawdopodobniej zagubiona i na tyle wystraszona, że uzna nas po prostu za kolejne zagrożenie. Na pewno zgodzicie się, że lepiej byłoby wiedzieć coś o obcych, zanim przystąpimy do próby ratowania ich czy udzielania im pomocy. My będziemy dla nich zapewne kompletnym zaskoczeniem — dodał, spoglądając po otaczającej go menażerii. — Możliwe, że podobna trudność nie wystąpi — powiedział po chwili, patrząc na unoszącego się pod sufitem Priliclę. — Jeśli jednak sprawa się skomplikuje, wówczas musicie być gotowi do udzielania pomocy we wskazanej przeze mnie kolejności. Czy to jasne?

Prilicla wiedział, że przekonało to wszystkich. Nikt nie zdradzał skłonności do buntu, a ogólne natężenie emocji spadło do poziomu pozwalającego empacie na stabilny zawis tuż pod sufitem. Przedłużającą się ciszę przerwała dopiero Naydrad, specjalistka od akcji ratunkowych prowadzonych w trudnych warunkach.

— Jeśli nikt nie ma nic więcej do dodania, chciałabym odświeżyć sobie teraz wszystkie procedury — stwierdziła bez wstępów. — Po sześciu miesiącach spędzonych przy grzecznie leżących w łóżkach pacjentach odwykłam od zajmowania się bardziej kłopotliwymi przypadkami.

Kapitan nie odezwał się już więcej, tylko wraz z dwoma młodszymi oficerami opuścił pokład medyczny, a Naydrad wzięła się do przeglądania nagrań z poprzednich akcji ratunkowych *Rhabwara,* zwłaszcza tych, które wymagały zastosowania nietypowych procedur. Dołączyli do niej Murchison i Danalta — zapewne dlatego, by zająć się czymkolwiek. Byli zasadniczo spokojni, ale widać było, że z coraz większym trudem powstrzymują się od komentarzy. Prilicla przeprosił ich i odleciał szybem komunikacyjnym do swojej kabiny. Chciał się trochę zastanowić we względnej samotności, dając jednocześnie podwładnym szansę na werbalne rozładowanie napięcia.

Krótka wypowiedź Murchison dała mu do myślenia. Owszem, nie zwykli postępować w ten sposób, ale pamiętał przecież, ile razy musieli nagiąć albo i złamać zasady. Odtworzyć tamte akcje potrafił i bez sięgania do nagrań. Wpatrując się przez bulaj w szare migotanie nadprzestrzeni, zaczął wspominać, jak się to wszystko zaczęło.

Jeszcze przed pierwszym wylotem — w założeniu rutynowym testem jednostki — wyjaśniono im obszernie genezę jej powstania. Korpus Kontroli, instytucja powołana do utrzymywania Pax Galactica, miał przez ostatnie stulecie tak mało do roboty, że zdecydowano się w końcu rozszerzyć jego zadania o badanie nieznanych obszarów kosmosu.

W ślad za tym zaś zwiększono monstrualnie jego budżet, oczekując, że w razie natrafienia podczas misji zwiadowczych na planetę zamieszkaną przez istoty inteligentne organizacja weźmie na swoje barki odpowiedzialność za ciągnące się latami, bardzo złożone procedury kontaktowe. Od powołania jednostki zdarzyło się to trzy razy i specjaliści od komunikacji interkulturowej zdołali wprowadzić wszystkie trzy nowo odkryte cywilizacje do Federacji Galaktycznej.

Ale inną sprawą były spotkania w próżni — częstsze i przebiegające w odmiennych warunkach. Przede wszystkim dotyczyły ras, które dzięki przekroczeniu bariery podróży kosmicznych były poniekąd przygotowane na spotkanie braci w rozumie i nie przerażała ich często odmienna powierzchowność obcych — główna przeszkoda podczas kontaktów z mniej rozwiniętymi kulturami planetarnymi, widzącymi w członkach ekip kontaktowych przede wszystkim podejrzane potwory spadające niespodziewanie z nieba. Należało jednak również pamiętać, że załogi wędrujących po kosmosie statków działały często w stresie związanym z wielką odległością od domu, co wynikało ze specyfiki wypraw międzygwiezdnych.

Do tej pory wynaleziono tylko jeden sposób podróżowania z wykorzystaniem nadprzestrzeni i tylko jedną metodę wzywania pomocy w razie katastrofy, która unieruchomiłaby statek w zwykłej przestrzeni. Była to właśnie wyposażona w energię atomową boja sygnałowa. Jednostki zwiadowcze, odpowiadające na rozpaczliwe wołania wysyłane za jej pomocą, odkrywały wiele nowych i często wysoko rozwiniętych technologicznie istot, z którymi jednak nie mogły nawiązać kontaktu, gdyż na miejscu katastrofy znajdowały zwykle ich szczątki uwięzione w porozrywanych kadłubach. Czasem wprawdzie trafiano na żywych rozbitków, ale wtedy niezdolni do udzielenia pomocy obcym istotom kontrolerzy przekazywali ich do szpitala. Niektórych udawało się uratować, większość zaś stawała się jedynie preparatami i trafiała do działu patologii, gdzie rzadko udawało się ustalić, jaki świat ich zrodził.

Dlatego właśnie postanowiono zbudować specjalny statek szpitalny, który otrzymał nazwę *Rhabwar.* Jego dowódcą został inżynier specjalizujący się w technologii obcych, ekipa medyczna zaś składała się z lekarzy znających się zarówno na operacjach ratunkowych, jak i fizjologii różnych gatunków. Dzięki temu udało się nawiązać kontakt z siedmioma całkiem nowymi rasami, które stosunkowo szybko przystąpiły do Federacji.

W każdym z tych przypadków dokonano tego nie poprzez powolne budowanie porozumienia, ale dzięki demonstracji dobrej woli i udzieleniu daleko idącej pomocy medycznej i nie tylko.

Wspomnienia z tych akcji były silne i wyraźne. Prilicla nie ponosił za nie żadnej odpowiedzialności, ponieważ szefem personelu medycznego na *Rhabwarze* był wtedy starszy lekarz Conway, a on służył jedynie pomocą jako osoba zdolna odróżnić po emanacji emocjonalnej martwych od ledwie żywych i potrafiąca wskazać miejsce, gdzie należy ich szukać. Zdarzyło im się trafić na skrajnie niebezpiecznych i pozbawionych rozumu opiekunów nienarodzonych, noszących w łonie telepatyczne i wysoce inteligentne potomstwo, ale byli wśród nich też Niewidomi, których zmysły słuchu i dotyku były na tyle czułe, że zdołali dzięki nim zbudować urządzenia odbierające promieniowanie wszechświata i w ten sposób poznać to, czego nie mogli zobaczyć. W końcu wyruszyli nawet w podróże międzygwiezdne. I jeszcze Duwetti, Dwerlanie, Gogleskanie i inni. Wszyscy stwarzali swoiste problemy medyczne i wszyscy byli w pewien sposób groźni, zwłaszcza dla tak kruchej formy życia, jaką reprezentował Prilicla, którego zabić mógł silniejszy podmuch wiatru.

Mały empata zastanowił się, jak jego dawny przełożony, a obecnie już diagnostyk Conway, zachowałby się w sytuacji, w której jego ukochanemu statkowi szpitalnemu groziłaby przemiana w okręt wojenny. Jedno było pewne — bez dwóch zdań nie odleciałby, aby się ukryć w swojej kabinie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cztery dni później wyszli z nadprzestrzeni. Jej szare smugi zamigotały w oknach i na głównym ekranie, aby w ostatnim, dokuczliwym dla oczu błysku ustąpić miejsca czerni zwykłej próżni kosmicznej. Kilka chwil później porucznik Dodds przekazał odczyty z przyrządów, które potwierdziły to, co już widzieli.

— Wyszliśmy w pobliżu jakiejś planety, kapitanie. Jej barwa i pokrywa chmur sugerują obecność atmosfery odpowiedniej dla ciepłokrwistych tlenodysznych oraz odpowiadającej im wegetacji roślinnej. Na niskiej orbicie planety znajdują się dwa statki krążące w odległości pięćdziesięciu mil jeden od drugiego. Jeden z nich to *Terragar,* drugi reprezentuje nieznaną nam konstrukcję. Nie nosi też raczej śladów zniszczeń.

— Proszę podzielić ekran — zażądał kapitan. — Chcę maksymalnego zbliżenia obu jednostek. Haslam, wywołaj *Terragara.*Ekran na pokładzie medycznym nagle zajaśniał i pokazały się na nim obrazy dwóch statków, które szybko urosły tak, że ich sylwetki wypełniły pole widzenia.

— *Terragar* nie jest uszkodzony — powiedział Dodds, ponownie nie oznajmiając niczego nowego. — Koziołkuje jednak powoli i nie widać światła w oknach centrali.

Iluminatory też są ciemne. Wydaje się, że brakuje im zasilania, potrzebnego zwłaszcza do przywrócenia właściwej orientacji w przestrzeni...

— ...oraz nawiązania łączności — wtrącił Haslam. — Nie odpowiadają na nasze wezwania.

— Ten drugi statek też jest ciemny — ciągnął Dodds. — Chociaż to może mieć związek z cechami załogi. Kadłub wydaje się nienaruszony, poza dwoma śladami na śródokręciu. Jeden ma trzy, drugi cztery metry średnicy. Oba przypominają głębokie kratery, co sugeruje działanie wysokiej temperatury połączonej z silną eksplozją. Nie ma wkoło nich zamglenia, które oznaczałoby ucieczkę powietrza. Możliwe zatem, że grodzie skutecznie izolują miejsca zniszczeń. Albo uszkodzenia okazały się fatalne i cały statek został pozbawiony atmosfery.

Nie dostrzegam nigdzie śladów broni ani pokryw, które mogłyby skrywać uzbrojenie.

Skłonny jestem więc przyjąć, że statek ten nie był agresorem. Raczej sam padł ofiarą czyjegoś ataku.

Mimo sporej odległości dzielącej go od Fletchera Prilicla wyczuł, że kapitan dojrzał do podjęcia decyzji.

— Dobrze zatem — powiedział. — Podchodzimy. Proszę nadal wywoływać *Terragara* .

Chcę wiedzieć, co się tam stało... Maszynownia. Chen, jesteśmy zbyt blisko planety, aby wykonać skok, daj więc maksymalny ciąg na główny napęd. Haslam, bądź gotów do wykonania manewru odwrotu na pierwszy znak jakiegoś wrogiego działania. To ma być naprawdę błyskawiczna reakcja.

— Zrozumiałem — odparł Haslam.

Pokład niemal niewyczuwalnie drgnął pod ich stopami, gdy system kompensacyjny zneutralizował skutki nagłego zwiększenia ciągu. Na ekranie pokazał się ponownie rzeczywisty obraz statków. Rosły teraz powoli, w miarę zbliżania się do nich.

Prilicla opadł na podłogę, złożył skrzydła i podwinął nogi, aby włożyć skafander.

Murchison, Danalta i Naydrad byli już ubrani i z lekkim niepokojem czekali na rozwój wypadków. Empata sprawdził swój zapas powietrza, moduły antygrawitacyjne i silniczki manewrowe, po czym spojrzał na podwładnych.

— Zespół medyczny w gotowości, przyjacielu Fletcher — zameldował. — Samobieżne nosze także.

— Dziękuję, doktorze — odparł kapitan. — Jesteśmy już blisko *Terragara.*Prilicla zaczynał się niepokoić. Wprawdzie *Rhabwar* nie posiadał żadnego uzbrojenia, ale przy jego budowie wykorzystano kadłub ciężkiego krążownika Korpusu Kontroli — jednostki z szerokimi deltoidalnymi skrzydłami pozwalającymi na swobodne wchodzenie w atmosferę planet. Wydawał się przez to nazbyt masywny na tak precyzyjne manewry. Gdyby zderzył się przez nieuwagę z *Terragarem,* nie doznałby zapewne większych uszkodzeń, ale drugiej jednostce groziłoby nawet naruszenie konstrukcji kadłuba. Bez wątpienia z fatalnym skutkiem dla załogi.

Statek medyczny sam w sobie nie był dobrym narzędziem do ratowania życia.

Prilicla nie wyczuł jednak wśród załogi ani śladu niepokoju. Oficerowie zdawali się świetnie wiedzieć, co mają robić. Przysunął się więc do iluminatora i spojrzał na planetę w dole oraz dwa wyraźnie widoczne na tle jasnych chmur statki, a w duchu stwierdził, że jego specjalnością jest medycyna obcych, a nie manewrowanie ciężkimi jednostkami w próżni.

Zastanowił się więc, na jakie nowe istoty tym razem mogą natrafić.

— Obcy statek nadal nie wykazuje żadnej aktywności — zameldował Haslam spokojnie, chociaż podobnie jak wszyscy w centrali odczuwał ulgę, że nie spotkali się z wrogim przyjęciem. — Czujniki wykryły dwa źródła energii w okolicy śródokręcia, ale są zapewne zbyt słabe, aby zasilać systemy uzbrojenia. Poza tym temperatura w środku jest niska. Statek już od kilku dni traci ciepło i wydaje się, że nie zrobiono na nim nic, aby temu zapobiec.

Powiedziałbym, że w tej sytuacji możemy odłożyć jego zbadanie na później.

— Zgadzam się — powiedział kapitan. — Proszę jednak nie spuszczać go z oka. Nigdy nic nie wiadomo. Pokład medyczny?

— Tak, przyjacielu Fletcher.

— Za jedenaście minut znajdziemy się w odległości stu metrów od *Terragara* i zsynchronizujemy nasze orbity. Wiem, że to daleko, ale proszę chociaż spróbować wychwycić emocjonalną emanację załogi. Jeśli takowa w ogóle się pojawi.

— Oczywiście, przyjacielu Fletcher.

Kapitan również wyglądał na spokojnego, ale musiał być bardzo spięty, inaczej nie poprosiłby bowiem głośno empaty o zrobienie czegoś, co i tak należało do jego obowiązków.

Załoga statku zwiadowczego składała się jednak z Ziemian i mogli być wśród nich nawet przyjaciele Fletchera.

Prilicla wraz z innymi przyglądał się coraz bliższemu *Terragarowi.* Statek obracał się nieustannie i ciemne okna centrali przemykały przed ich oczami zbyt szybko i pod nazbyt małym kątem, aby udało się im zajrzeć do środka. W pewnej chwili jednak Prilicla dojrzał na pokładzie jakiś ruch.

— Przyjacielu Fletcher — odezwał się natychmiast. — Chyba coś zauważyłem wewnątrz.

Nikt inny niczego nie dostrzegł, bo poznałbym to po zmianie stanu emocjonalnego załogi. Ale choć był to tylko moment, jestem pewien, że zauważyłem twarze, ręce i barki przynajmniej trzech Ziemian. Żyją, ale duża odległość nie pozwala mi wychwycić ich emocji.

— My też niczego nie widzieliśmy, ale nasze zmysły nijak nie mogą się równać z wyposażeniem GLNO. Haslam, włącz emitery wiązki i ustabilizuj *Terragara* w taki sposób, aby dać nam dobry widok na okna centrali. Potem wystrzel kabel z modułem komunikacji głosowej i przyczep go, tylko ostrożnie, na osłonie centrali. Musimy się dowiedzieć, co tam zaszło i czy potrzebują pomocy medycznej.

Błękitnawe promienie dwóch wiązek skupiły się na rufie i dziobie statku Korpusu, z wolna wyhamowując jego ruch obrotowy. Chwilę później pojawił się trzeci, bardziej skoncentrowany promień prowadzący komunikator, który jednak zatrzymał się w połowie drogi między jednostkami w oczekiwaniu na całkowite ustabilizowanie *Terragara.* Teraz Prilicla mógł lepiej przyjrzeć się oknom centrali, zanim zniknęła z pola widzenia.

— Przyjacielu Fletcher — odezwał się czym prędzej, wyczuwszy wreszcie coś, co na pewno nie było jego emocjami. — Dostrzegłem czterech członków załogi, czyli wszystkich, którzy powinni znajdować się na pokładzie. Machali do nas i kręcili głowami, co w wypadku waszego typu DBDG jest znakiem przeczenia. Dodatkowo pokazywali wnętrza dłoni, jakby chcieli nas odepchnąć, a jeden wskazywał na zmianę na obcy statek i nasz komunikator.

Ledwie wyczuwam ich emocje, ale jestem pewien, że są znacznie pobudzeni.

— Też ich widziałem — powiedział kapitan. — Nie wyglądają na poważnie rannych.

Ratunek jest o krok i w zasadzie nie powinni mieć powodów do niepokoju, mimo to...

Haslam, czy obcy statek zachowuje się podejrzanie?

— Nie, sir — odparł porucznik. — Można nawet uznać, że leży w dryfie.

Prilicla zamilkł na chwilę, przygotowując się do powiedzenia czegoś, co mogło zostać odczytane jako sprzeciw i wzbudzić przykrą dla niego gniewną reakcję.

— Na razie odebrałem tylko ich ogólne odczucia — zaczął ostrożnie. — Zaburzenia stwarzane przez emocje naszej załogi nie pozwalają mi niczego sprecyzować. Na pewno jednak pobudzenie zaistniało, i to bardzo silne, skoro odebrałem je nawet mimo takiej odległości. Czy mogę o coś prosić?

Kapitan nieco się zirytował, co było typowe dla istoty uważającej, że ktoś wkracza w zakres jej władzy. Szybko jednak się opanował.

— Słucham, doktorze.

— Dziękuję — odparł empata i rozejrzał się po pokładzie, aby uświadomić obecnym, że prośba będzie skierowana również do nich. — Czy mógłby pan polecić swoim podkomendnym, aby spróbowali na jakiś czas wytłumić swoje emocje? Najlepiej, aby postarali się przez chwilę nie myśleć o niczym konkretnym. Chciałbym ustalić dokładniej, co tak zaniepokoiło załogę *Terragara.* Coś mi się tu bardzo nie podoba, przyjacielu Fletcher.

— Z doświadczenia wiem, że odczucia Prilicli z reguły bywają trafne — szepnęła Murchison, ale niezbyt cicho.

— Tak jak mówi doktor, panowie — stwierdził Fletcher, udając, że nie usłyszał słów pani patolog — macie przestać myśleć. Albo przynajmniej zacząć myśleć jeszcze mniej niż zwykle — dodał z uśmiechem.

Wszyscy obecni na pokładzie wpatrzyli się w ściany, podłogę albo po prostu zamknęli oczy, aby ograniczyć do minimum aktywność korową i towarzyszące jej emocje. Prilicla wiedział najlepiej, jak trudne było to zadanie, i musiał przyznać, że naprawdę się starali.

Centrala *Terragara* ponownie zniknęła z pola widzenia, ale w wypadku odbioru emocji jego załogi nie miało to już znaczenia. Prilicla nadal wyczuwał napięcie i zagubienie, z początku bardzo słabe, na granicy czytelności, ale w końcu z wolna zaczął wychwytywać szczegóły. Nie były wcale przyjemne.

— Przyjacielu Fletcher — powiedział. — Wyczuwam strach i intensywną chęć sprzeciwienia się czemuś. Skoro odbieram ich na podobny dystans, te emocje muszą być naprawdę silne. Strach wydaje się związany zarówno z obawą o własny los, jak i ogólną sytuacją, najpewniej jakimś czynnikiem zagrażającym życiu innych. Nie jestem telepatą, aby móc określić dokładnie ich intencje, ale powiedziałbym... Proszę, znowu ich widać.

Nie potrafił dostrzec dokładnie ich twarzy, widział jednak wyraźnie, jak otwierali i zamykali usta, machając przy tym rękami. Niekiedy wskazywali na obcy statek, częściej jednak na *Rhabwara* i unoszący się niedaleko w próżni komunikator. Blade wnętrza ich dłoni stawały się jasnymi plamami, gdy przyciskali je mocno do szyb centrali.

Co chcieli im przekazać?

— Wskazują na obcą jednostkę i na nas — powiedział Prilicla szybko. — Najczęściej jednak na moduł komunikacyjny. Wykonują przy tym gesty, jakby coś odpychali. Ich strach narasta. Jestem pewien, że chcą, abyśmy odlecieli.

— Ale dlaczego, u licha? — mruknął kapitan. — Postradali zmysły? Próbuję tylko ustabilizować ich statek i nawiązać łączność.

— Cokolwiek pan robi, bardzo ich to niepokoi — zauważył zdecydowanie empata. — Chcą, aby pan przestał.

Jeden z gestykulujących załogantów zniknął z pola widzenia. Zanim Prilicla zdążył o tym poinformować, Fletcher znów się odezwał.

— Z całym szacunkiem, doktorze, to, co pan odbiera, nie ma sensu. — Był pewien swego i przemawiał tonem osoby nawykłej do wydawania rozkazów. — Nie będziemy o tym dyskutować, dopóki nie skomunikujemy się z nimi i nie usłyszymy relacji z pierwszej ręki.

Bez tego nie zaryzykuję wejścia na pokład obcej jednostki. Haslam, proszę zbliżyć komunikator i przyczepić go do kadłuba, gdy tylko wyhamuje pan ruch obrotowy.

— Proszę poczekać — zaprotestował gwałtownie Prilicla. — Proszę się chwilę zastanowić.

Nie są ranni, nie odczuwają bólu ani innych fizycznych dolegliwości. Wyczuwam w nich wyłącznie niepokój, tym silniejszy, im bliżej jesteśmy. Nie ma zatem przesłanek klinicznych, aby dotrzeć do nich jak najszybciej. Nic się nie stanie, jeśli trochę się odsuniemy. I tak proponuję zrobić, przyjacielu Fletcher. Uważam, że coś tu jest bardzo nie tak.

Kapitan nadal był pewny swego, choć pojawiły się w nim pierwsze oznaki wahania.

Na razie jednak nie dał im wyrazu.

— Przykro mi, doktorze, ale przede wszystkim muszę z nimi jak najpilniej porozmawiać — powiedział zdecydowanym tonem.

— Sir! — odezwał się nagle Haslam. — Wyrywają się z naszych wiązek. Mają trzy g na głównym napędzie. Sami go nie kontrolują, bo inaczej dawno ustabilizowaliby statek. To niemądre i samobójcze działanie! Schodzą na niższą orbitę, prosto w atmosferę. Gdy odsuną się jeszcze trochę, strumień odrzutu z ich silników jonowych trafi prosto w *Rhabwara.*Upiecze nas jak...

— Przyjacielu Fletcher — powiedział Prilicla spokojnie. — Ostrzegałem, że nie chcą, abyśmy podchodzili za blisko. Jestem jednak pewien, że nie chcą również nas zabić.

— Kapitan wydał jakiś odgłos, który oparł się wysiłkom autotranslatora.

— Ma pan rację, doktorze — stwierdził. — Teraz jednak naprawdę musimy się nimi zająć, w przeciwnym razie spłoną w atmosferze.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Terragar* należał do jednostek zaprojektowanych wyłącznie do eksploatacji w próżni.

Nie lądował nigdy na powierzchni planet; zatrzymywał się na orbicie, gdzie dokował do stacji kosmicznych albo innych statków. Obudowany dalekosiężnymi czujnikami i kamerami mapującymi, z dalekim od opływowych kształtów kadłubem przypominał skrzyżowanie cegłówki z patyczakiem. Mało taktowna Naydrad zauważyła nawet głośno, że jej zdaniem *Terragar* ma w sobie coś z ich szefa.

Prilicla, który uważał ciało Cinrusskanina za naturalnie kształtne i piękne, nie poczuł się urażony. Wiedział, że Kelgianie mówią to, co czują, i nawet nie próbują kłamać.

Ważniejsze było to, że Naydrad odnosiła się do niego z szacunkiem. Co do tego empata nie miał wątpliwości. Poza tym teraz musiał skupić się na czymś innym.

— Przechwyć ich i ustabilizuj — polecił gorączkowo kapitan. — Bez zbędnych ceregieli, do licha! Daj wiązkę na pełną moc i już. Starczy nam energii.

— Starczy, ale nie o to chodzi, sir — odparł Haslam wyraźnie zdenerwowany, ale w pełni panując nad sobą. — Promień ściągający działa na pierwszą napotkaną powierzchnię. Jeśli postąpimy zbyt gwałtownie, zerwę im poszycie. Muszę działać ostrożnie, aby nie rozerwać *Terragara.*— Rozumiem — mruknął kapitan. — Uważaj zatem, ale działaj jak najszybciej.

— Statek rozgrzewa się od tarcia atmosferycznego — zauważył Dodds. — Oni także musieli już je poczuć.

Prilicla widział przez iluminator, jak niebieskawa mgiełka ponownie ogarnia statek badawczy i przyciąga go bliżej. Koziołkowanie słabło wyraźnie, aż w końcu całkiem ustało.

Obie jednostki weszły już jednak w górne warstwy atmosfery i dla pozbawionego aerodynamicznych kształtów *Terragara* stało się to o wiele za szybko. Empata wyczuwał narastający strach jego załogi, ale połączony z osobliwą determinacją. Nie rozumiał tego i nie po raz pierwszy żałował, że nie potrafi odgadnąć, co obserwowane przez niego istoty naprawdę myślą.

— Masz ich — powiedział kapitan. — Gdy ustabilizujesz ich do końca, obróć statek tak, aby leciał rufą do przodu. Moduł napędowy ma mocniejszą konstrukcję niż sekcja mieszkalna i będzie się wolniej spalał. Nie możesz ich bardziej spowolnić?

— Tak, sir. Co do drugiego, próbuję, sir.

Statek badawczy znajdował się dokładnie przed nimi i nie koziołkował, widzieli zatem dobrze, co działo się w jego centrali. Załoga włożyła ciężkie skafandry i tylko przesłony hełmów trzymała na razie otwarte. Sądząc po poruszeniach ust, musiała coś krzyczeć i nadal pokazywała *Rhabwarowi,* aby się oddalił. Prilicla nie widział rufy *Terragara,* która musiała już chyba porządnie się nagrzać, ale pajęcze wysięgniki i moduły czujników przybrały wiśniową barwę i z wolna wyginały się pod wpływem owiewania przez coraz gęstszy strumień powietrza. W końcu jeden z nich oderwał się i uderzył z hukiem, aczkolwiek całkiem nieszkodliwie, w kadłub *Rhabwara.*— Dlaczego nie uruchomią ponownie głównego napędu? — zastanowił się wyraźnie zły i zniecierpliwiony Dodds. — Byłoby nam łatwiej.

— Nie wiem dlaczego — odparł kapitan. — Doktorze, czy potrafi pan to wyjaśnić?

— Tak, przyjacielu Fletcher. Pomimo strachu i pewności bliskiego końca nie zdecydują się nam pomóc, ponieważ za żadną cenę nie chcą dopuścić nas w pobliże swojego statku. Nie wiem, dlaczego tak robią, ale muszą mieć po temu bardzo ważne powody.

Przez chwilę wyczuwał szalejące w centrali *Rhabwara* emocje, przy czym to kapitan stanowił chyba centrum tej zawieruchy, która jednak dość szybko się uspokoiła. To sugerowało podjęcie decyzji.

— Nie pojmuję, skąd u nich te samobójcze zapędy — powiedział Fletcher. — Włożyli jednak skafandry, a to sugeruje, że zachowali jakąś nadzieję na przetrwanie. Cokolwiek myślą, spróbuję ich uratować. Chyba że macie inne sugestie?

— W żadnym razie nie sugerowałbym innego działania, przyjacielu Fletcher. Informuję jedynie o ich odczuciach. Żadna racjonalnie myśląca istota nie jest w stanie zrozumieć kogoś, kto chce popełnić samobójstwo, i we wszystkich kulturach odnajdziemy jednoznaczne nakazy moralne, aby ratować takie osoby, nawet wbrew ich woli.

Kapitan nie odpowiedział, ale bez wątpienia słowa Prilicli go uspokoiły.

— Zwolnij ich, Haslam — rozkazał po chwili. — Nie przesadzaj z ostrożnością.

Prilicla mógł teraz dokładniej obejrzeć rufę *Terragara,* której kolor zmieniał się z wolna od metalicznej szarości do matowej czerwieni, by na samym końcu rozjarzyć się pomarańczowo. Plątanina wsporników przypominała jaśniejącą bielą sieć pajęczą, która gięła się, topiła i odpadała kawałek po kawałku od kadłuba. Empata obawiał się, że jeszcze chwila, a statek badawczy zniknie w oślepiającej kuli ognia. Oficerowie pokładowi wydawali się jednak zadowoleni z rozwoju sytuacji.

— Chyba się udało, sir — powiedział Haslam. — Za kilka sekund zwolnią na tyle, że nie będą się już bardziej nagrzewać. Ale to jeszcze nie koniec kłopotów...

Prilicla zauważył, że *Terragar* przestał zostawiać za sobą kometarny ogon szczątków, poza tym jednak chyba nic się nie zmieniło.

— Wedle moich obliczeń ciepło wytworzone na rufie dotrze za jakieś dwadzieścia minut do sekcji mieszkalnej. A to nie wróży dobrze załodze.

— Zatem wyjdźmy z nimi poza atmosferę — powiedział kapitan. — Energia wypromieniuje w próżnię. Możesz to zrobić, nie ryzykując rozpadnięcia się ich kadłuba?

Oficerowie rozmawiali spokojnie, ale ich emocje dalekie były od beztroski. To samo zresztą dotyczyło zespołu medycznego. Załoga drugiego statku czuła się jeszcze gorzej.

— Tak, sir, ale to potrwa co najmniej godzinę — odparł Haslam. — Dla nich będzie już za późno. Sądzę, że już teraz są w kiepskiej sytuacji i wkrótce ugotują się we własnym sosie.

— Proszę wybaczyć porucznikowi, doktorze — rzucił kapitan. — Czasem wykazuje się taktem godnym pijanego Kelgianina. Jak rozbitkowie?

Prilicla milczał przez chwilę, wpatrując się w szkarłat pochłaniający coraz większą część kadłuba *Terragara.* W dole przesuwały się łąki chmur i jasne połacie oceanu. Nagle coś przyszło mu do głowy.

— Żyją, chociaż wypełnia ich lęk i odczuwają wyraźny dyskomfort. Nie znam się na pilotażu, przyjacielu Fletcher, ale czy mógłbym coś zaproponować?

— Ma pan pomysł, jak uratować ich z rozgrzanego do czerwoności statku? — spytał kapitan z niedowierzaniem. — Ktokolwiek by tego spróbował, wystawi się na pewną śmierć.

Nie zgadzam się.

— Nie jestem zdolny do podobnych czynów. Nie umiałbym sobie nawet wyobrazić własnego udziału w tak bezsensownej akcji. Chcę tylko zaproponować, aby sprowadzić jak najszybciej oba statki na powierzchnię planety. Jesteśmy obecnie niecałe pięćdziesiąt mil od niej, a pod nami rozciąga się usiany wyspami równikowy ocean. Wiele z tych wysp ma łagodne, piaszczyste brzegi z rozległymi płyciznami. Jedna jest dokładnie przed nami. Może dałoby się schłodzić *Terragara* w oceanie...

Porucznik Haslam zaklął głośno, co zdarzało mu się nader rzadko na służbie i nigdy jeszcze nie zostało utrwalone na żadnym nagraniu.

— Boże, on chce, abyśmy ich wodowali! — zakrzyknął.

— To wykonalne? — spytał kapitan. — Zdążymy?

— Z małym marginesem — odparł oficer. — Ale powinno się udać.

— Proszę więc to zrobić z takim wyliczeniem hamowania, aby prędkość spadła do zera tuż nad powierzchnią oceanu. Samo hamowanie jednak proszę rozpocząć dopiero na wysokości kilku mil. To pozwoli zaoszczędzić nieco czasu. I z wyczuciem, aby nie rozerwać ich pod sam koniec. Dobry pomysł, doktorze, dziękuję. Jak z nimi?

Wdzięczność kapitana i towarzysząca jej nadzieja były na tyle silne, że Fletcher nie musiał wyrażać ich głośno na użytek Prilicli, ale ponieważ cały przebieg akcji ratunkowej był rejestrowany dla celów poznawczych oraz na wypadek pojawienia się niespodziewanych problemów, oficer chciał, aby zasługa empaty została odnotowana i doceniona.

— Nadal żyją, przyjacielu Fletcher — odparł Prilicla. — I choć przeważa w nich strach przed utratą życia, to dalecy są od paniki. Wyraźnie dokucza im gorąco. Nie widzę ich obecnie, ale wszystko wskazuje na to, że trzech pozostało w centrali, która jest chyba najchłodniejszym miejscem na statku, czwarty zaś przebywa w tylnej części kadłuba. Zespół ratunkowy gotowy jest do działania na sygnał.

Prilicla wyczuwał wokół siebie niepokój i atmosferę oczekiwania. Jego podwładni sprawdzali po raz kolejny już wcześniej wielokrotnie sprawdzone wyposażenie. Sam empata zaś milczał, ponieważ nie miał akurat nic pomocnego do przekazania, i wpatrywał się w coraz czerwieńszą sylwetkę *Terragara.* Drgnął zaskoczony, gdy oba statki zniknęły nagle w półmroku tropikalnej burzy. Kilka chwil później uszkodzona jednostka ponownie pojawiła się w polu widzenia. Leciała okryta białą parą, a po jej burtach spływały potoki wody. Na powierzchni oceanu rysowały się coraz wyraźniejsze fale. Zwalniali już, czego sami nie odczuwali, ponieważ kompensatory grawitacyjne *Rhabwara* utrzymywały na pokładzie stałą wartość jednego g, ale załoga *Terragara* musiała znajdować się pod sporą prasą przeciążeniową — poszycie bowiem wybrzuszyło się w dwóch miejscach, chociaż nie odpadło.

Po chwili lecieli z szybkością najwyżej kilkudziesięciu mil na godzinę.

— Nie nazwałbym tego skrytym podejściem do nowo odkrytej planety — mruknął kapitan, ogarnięty nagle nowymi obawami. — Ale nie mamy wyboru. Czy ktoś sprawdził ją na okoliczność inteligentnych form życia?

— Owszem, kapitanie — odparł Haslam. — Po drodze na dół uruchomiłem krótki program skanujący, ale nie przeprowadziłem jeszcze szczegółowej analizy wyników. Na razie wiem tylko, że czujniki nie wykryły przemysłowych zanieczyszczeń powietrza ani aktywności radiowej na częstotliwościach używanych zwykle do przekazów audio i wideo. Inteligentne życie wydaje się nieobecne. Wysokość: pięćset metrów i szybko maleje. Brzeg wyspy jest już blisko.

— Dobrze. Proszę tak zredukować szybkość, aby miejsce wodowania wypadło nie dalej niż trzysta metrów od plaży. Zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu. Pod warunkiem że dno jest równe, oczywiście.

— Jest — zameldował Haslam. — Odczyty pokazują, że to gładki i ubity piasek, bez raf czy występów skalnych.

— Świetnie — rzucił Fletcher. — Maszynownia, za pięć minut będę potrzebował więcej mocy na emiterach.

— Będzie — odparł porucznik Chen.

Zatrzymali się kilkaset metrów nad łagodnie falującym oceanem. Woda odbijała rytmicznie blask słońca. Kadłub *Terragara* wyraźnie pociemniał, ale emocje jego załogi dalekie były od spokoju.

Zespół medyczny czekał już w skafandrach i wpatrywał się w drżącego z lekka Priliclę. Murchison współczuła mu wyraźnie i chętnie by mu pomogła, podsuwając jakiś inny temat do rozmyślań, nie było jednak po temu szans.

— Sir, wcześniej powiedział pan, że ich charakterystyka emocjonalna nie wskazywała, aby odnieśli jakieś obrażenia — powiedziała w końcu. — Czy nie było śladów żadnych psychicznych zaburzeń? Szukam wyjaśnienia faktu, dlaczego woleli popełnić samobójstwo, niż spotkać się z nami. Teraz mogli wprawdzie odnieść rozległe oparzenia i nawet jeśli ich skafandry pozostały szczelne, a systemy chłodzenia sprawne, należy liczyć się z daleko posuniętym odwodnieniem i udarem cieplnym, ale — z całym szacunkiem — to na pewno nie wszystko, czego powinniśmy się spodziewać.

— Być może, przyjaciółko Murchison — odpowiedział Prilicla. — Ale pamiętaj, że im nie chodziło o popełnienie samobójstwa. Desperackie postępowanie było próbą niedopuszczenia nas w bezpośrednie sąsiedztwo ich statku. Bardzo im na tym zależało i sądzę, że wejście w atmosferę było kwestią przypadku.

Zastanowił się jeszcze, czy na pokładzie *Terragara* nie było czegoś jeszcze — albo kogoś, zapewne już nieżywego, co załoga chciała odizolować od *Rhabwara —* ale zachował te spekulacje dla siebie. Patolog też milczała.

— Uruchomić dodatkowe emitery — rozkazał kapitan, przerywając ciszę. — Proszę ich opuścić, tylko powoli. Zanurzenie na pięć minut.

*Rhabwar* zawisł dokładnie nad jednostką zwiadowczą, która trwała nieruchomo, podtrzymywana jedną silną wiązką. Nagle obok niej pojawiły się cztery następne, które objęły kadłub błękitną piramidą i sięgnęły do dna oceanu. *Terragar* opadł powoli ku falom.

Rozległ się piekielny syk i woda zagotowała się wkoło. Okolica skryła się na kilka minut w oparach gęstej mgły. Gdy wiejący od brzegu wiatr w końcu ją rozproszył, ujrzeli pod sobą wrzący krąg na powierzchni oceanu.

— Wyciągnąć — rozkazał kapitan.

Wrak, który wynurzył się z wody, prawie w niczym nie przypominał *Terragara.*Wrząca woda wylewała się z wielkich otworów powstałych w wyniku oderwania się — z powodu nagłego kontaktu z zimną wodą — płatów poszycia. Osłona centrali również zniknęła i wydawało się, że konstrukcja nie rozpadła się jeszcze tylko dzięki obejmującym ją wiązkom.

Prilicla odpowiedział na podstawowe teraz pytanie, jeszcze zanim kapitan zdążył je zadać:

— Nadal są w środku, przyjacielu Fletcher, ale nieprzytomni i bliscy śmierci. Musimy czym prędzej do nich zejść.

— Przykro mi, doktorze, ale to jeszcze niemożliwe — odparł Fletcher. — Czujniki pokazują, że zewnętrzny kadłub jest nadal zbyt gorący, aby ktokolwiek mógł się do niego zbliżyć, o ratowaniu rozbitków nie wspominając. Haslam, zanurz ich ponownie, tym razem na dziesięć minut.

Statek znowu zniknął, ale woda nad nim nie zawrzała już tak silnie, pojawiło się tylko sporo pary. Gdy *Terragar* pojawił się znowu na powierzchni, był już tylko ciepły, nie gorący, i tym samym nie stwarzał zagrożenia dla ekipy ratunkowej. Emocje ofiar zaś pozostały te same.

— Jakie instrukcje, doktorze? — spytał kapitan.

Bez dwóch zdań uznał, że sytuacja nie wymaga już militarnego podejścia, i zamierzał przekazać dowodzenie kierownikowi personelu medycznego.

— Proszę przesunąć wrak w kierunku plaży, przyjacielu Fletcher, i złożyć go w wodzie, która nie będzie dla nas za głęboka, ale pozwoli na dalsze schładzanie kadłuba. Wyruszymy z czterema samobieżnymi noszami, podczas gdy przyjaciółka Murchison pozostanie na pokładzie, aby dopilnować rozładowania i rozłożenia naszego szpitala polowego. Pokład medyczny zamierzam przeznaczyć dla ewentualnych rozbitków ze statku obcych. Gdy tylko będzie to możliwe, proszę przetransportować szpital, przyjaciółkę Murchison i wybrane przez nią wyposażenie na brzeg, nie dalej jednak niż trzysta metrów od wraku. Gdyby musiał pan wystartować albo podjąć jakiekolwiek inne manewry, proszę nie zbliżać się potem do wraku ani szpitala na odległość mniejszą niż wspomniane trzysta metrów, chyba że otrzyma pan inne instrukcje.

Kapitan był wyraźnie zdumiony, a odczucie to podzielała również reszta załogi.

— To dość niezwykłe zarządzenie, doktorze. Sądzę, że przesadza pan ze środkami ostrożności. To przecież tylko pozbawiony zasilania i mocno zdekompletowany wrak.

Prilicla nie odpowiedział od razu. Wygłoszenie zdecydowanego i jednoznacznego protestu kosztowało go wiele wysiłku, nawet jeśli nosił w głowie hipnozapisy przygotowane przez znacznie bardziej asertywne jednostki niż on.

— Gdy podeszliśmy do nich na orbicie, zużyli ostatnie rezerwy mocy, aby się od nas odsunąć — powiedział w końcu. — Woleli zginąć, niż pozwolić nam wejść na pokład. Mimo to zespół ratunkowy niebawem do nich dotrze. Oczywiście zachowamy ostrożność, ale dopóki nie odkryjemy przyczyn tak niezwykłego zachowania załogi, dopóty *Rhabwar* ma trzymać się od niej z daleka.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Blask słońca wpadał do wnętrza kadłuba przez poszarpany otwór po osłonie centrali.

Odbarwione przez wysoką temperaturę tablice przyrządów, których woda nie zdołała wymyć, były martwe i niczego nie pokazywały. Szczątki czterech foteli były puste, a ściekająca powoli między ich wspornikami woda znikała w szczelinach pokładu. Statek jednak nie był martwy. Prilicla wyczuwał na nim oznaki życia, chociaż nie potrafił go jeszcze zlokalizować.

Emocje reszty zespołu były chwilowo zbyt silne.

— Naydrad, Danalta, uspokójcie się, proszę — powiedział naglącym tonem. — Zaburzacie odbiór.

Po chwili wskazał na grupę czterech wysokich szaf przymocowanych do przedniej grodzi. W jednej gorąco wypaczyło drzwi, które uchyliły się lekko, a pozostałe żar zapiekł chyba na dobre. Były to standardowe schowki na skafandry kosmiczne, które w tym wypadku posłużyły za schronienie załodze — miały bowiem dodatkową izolację termiczną.

Prilicla zastanowił się nad tym fenomenem. Z jednej strony obsługa *Terragara* gotowa była na śmierć, z drugiej — zrobiła wszystko, co mogła, aby pozostać przy życiu.

Naydrad rozcięła szybko palnikiem drzwi szafek. Jedna tylko była pusta, ale Prilicla pamiętał, że jeden z członków załogi już wcześniej udał się na dziób, aby ręcznie uruchomić napęd. We wraku panowało jednak teraz zbyt wielkie zamieszanie, aby ustalić położenie zaginionego. W dodatku empata odbierał jeszcze czyjąś emanację emocjonalną, tyle że tak słabą, iż trudno było orzec jednoznacznie, czy to rzeczywisty ślad, czy może tylko wywołana silną nadzieją na odnalezienie rozbitka autosugestia. Teraz jednak nie było czasu na dalsze poszukiwania, ponieważ odnaleziona właśnie trójka wymagała pilnej pomocy. Naydrad i Danalta wyłuskiwali już ich z szafek. Wizjery hełmów mieli tak zaparowane, że nie dało się przez nie nic dojrzeć, a metalowe części skafandrów nadal parzyły.

— Ułóżcie ich w noszach — powiedział Prilicla, przysuwając się bliżej i dotykając ich kolejno jedną z górnych kończyn. — Potem zdejmijcie z nich kombinezony i całe ubranie.

Przyjaciółko Murchison, czy odbierasz obraz poszkodowanych i czy jesteś gotowa na ich przyjęcie?

— Tak — odparła pani patolog. — *Rhabwar* przeniósł mnie już wraz ze szpitalem i ludzkim zestawem do leczenia oparzeń na wyspę. Znaleźliśmy miejsce tuż powyżej linii przypływu. Aż do teraz byłam zbyt zajęta, aby zauważyć, że ta planeta ma księżyc i że występują na niej pływy. Za piętnaście minut będę mogła się nimi zająć. Macie wstępne podsumowanie?

Prilicla przeleciał powoli nad trójką Ziemian. Skafandry już zniknęły, a po ubraniach zostały tylko niewielkie, starannie wycięte, płatki materii, które wtopiły się w skórę pod wpływem gorąca. Rozbitkowie byli głęboko nieprzytomni i nie doznawali żadnych emocji, ale sama świadomość, ile musieli wycierpieć, zachwiała skrzydlatym empatą. Nawet w szpitalnej kuchni głównego dietetyka Gurronsevasa zdarzało mu się widywać mniej wypieczone dania.

— Wszyscy trzej ucierpieli na skutek udaru cieplnego i zaawansowanego odwodnienia — powiedział chłodnym tonem klinicysty. — Bez wątpienia musiało dojść do awarii systemów chłodzących skafandrów, najpewniej na skutek przeciążenia, wszystko jednak zdaje się świadczyć o tym, że układy odmówiły posłuszeństwa dopiero pod koniec lotu. W przeciwnym razie żaden z nich nie miałby szansy przetrwać. Rozpoznaję miejscowe oparzenia powierzchniowe oraz głębokie, przenikające zapewne do dwóch centymetrów, zwłaszcza w miejscach, gdzie metalowe usztywnienia skafandra stykały się z odzieżą, oraz na głowach. Te ostatnie powstały zapewne w chwili, gdy po utracie przytomności rozbitkowie nie mogli utrzymać czół z dala od rozgrzanych powierzchni hełmów. Oparzenia trzeciego stopnia występują także na rękach, nogach i szyi oraz otaczają tułowia rannych w pasie.

Łączną powierzchnię wszystkich oparzeń oceniam, zależnie od przypadku, na dziesięć do piętnastu procent. Wstępne leczenie będzie polegało na umieszczeniu poszkodowanych w osobnych komorach noszy z zahermetyzowanymi osłonami i chłodzeniem nastawionym na odpowiednią dla nich temperaturę — przekazał Murchison, jednocześnie informując dwoje pracujących tuż obok podwładnych, co mają zrobić. — Z nawadnianiem pacjentów musimy poczekać, aż szpital będzie gotowy. Przyjaciółka Naydrad odprowadzi nosze na ląd i zostanie, aby pomagać, podczas gdy ja...

— Czy to znaczy, że czwarty rozbitek nie przeżył? — przerwała mu cicho Murchison.

— Nie jestem pewien — odparł Prilicla. — Odbieram bardzo słaby sygnał jego obecności, ale może to tylko złudzenie. Przyjaciel Danalta pozostanie ze mną i razem spróbujemy go znaleźć.

Nawet z odległości wielu metrów wyczuł nagły wzrost zaniepokojenia Murchison.

— Kapitan właśnie przekazał mi ostrzeżenie, że nagłe wyrwanie się statku z pola działania wiązki i późniejsze wejście w atmosferę osłabiło zapewne jego konstrukcję na tyle, że kadłub może w każdej chwili się rozpaść. Poza tym temperatura we wnętrzu części rufowej nadal przekracza bezpieczny poziom. Podejmujecie wielkie ryzyko i być może należałoby zastanowić się nad jakimś innym postępowaniem. Sugerowałabym wysłanie raczej Danalty z Naydrad...

— Rozumiem, że jestem tym samym mniej cenna? — rzuciła Kelgianka, falując futrem.

— To raczej pan powinien przyprowadzić nosze — powiedziała Murchison, nie reagując na tę uwagę. — Sądząc po opisie stanu poszkodowanych, pańskie umiejętności chirurga bardzo się tu przydadzą.

— Zgadam się, przyjaciółko Murchison, przynajmniej w ostatniej kwestii. Jeśli jednak Danalta i Naydrad natrafią na czwartego rozbitka, nie zdołają sprawdzić bez zdejmowania skafandra, czy w ogóle jeszcze żyje. To z kolei byłoby wysoce niepożądane, zważywszy na podwyższoną temperaturę panującą we wnętrzu wraku. Ja zaś, jak sama wiesz, potrafię na odległość odróżnić rannego wymagającego pilnej pomocy od martwego. — Podleciał do czwartych noszy, wsiadł do środka i zamknął osłonę, po czym skinął przednią kończyną, dając Danalcie znak, że mogą ruszać. — Proszę uprzejmie, abyś opanowała swoje macierzyńskie zapędy, przyjaciółko Murchison — dodał. — Obiecuję, że będę bardzo ostrożny.

Wnętrze wraku wyglądało gorzej, niż przypuszczał. Drogę tarasowały rumowiska blach, konstrukcji nośnej i wyposażenia. Działające na kadłub siły odkształciły pokrycie pokładu i wewnętrzne poszycie burt i wszędzie było widać poszarpane krawędzie porwanych metalowych płyt. Tu i ówdzie słońce przeświecało przez szczeliny, kładąc na szczątkach trójkątne plamy blasku. Nawet skryty w klimatyzowanej komorze noszy Prilicla czuł panujące tu ciepło. Ale to Danalta znowu pokazał, że jest najbardziej uniwersalnym ratownikiem znanego wszechświata.

Kończyny empaty drżały lekko, co jego polimorficzny przyjaciel zauważył, ale nie skomentował. Wiedział, że lęk pająkowatego brał się z wrodzonego braku odwagi cechującego wszystkich mieszkańców planety Cinruss.

Była to prawdziwa udręka, Prilicla bał się bowiem wszystkiego, w tym każdej napotkanej istoty, która mogłaby przypadkiem lub celowo wyrządzić mu krzywdę. Ewolucja podsunęła mu jednak sposób radzenia sobie z tym. Żadna forma życia nie mogła ukryć swoich zamiarów przed silnym empatą, co pozwalało na uniknięcie zagrożenia, a w wypadku istot inteligentnych mogło zaowocować próbą zmiany nastawienia drugiej strony i skłonienia jej do obojętności albo nawet zawarcia przyjaźni. W ten sposób — i dążąc przede wszystkim do zapewnienia sobie pozytywnej emocjonalnej atmosfery w najbliższym otoczeniu — Prilicla pozyskał wielu życzliwych i nastawionych opiekuńczo wobec niego przyjaciół. Nic jednak nie mógł poradzić na martwą materię, która czaiła się wkoło pod postacią ostrych fragmentów blach. Zostało mu jedynie cierpliwe ich omijanie.

Mając pilne zadanie do wykonania, mały empata próbował wygasić własne emocje i nastawić się raczej na odbiór. Cały czas musiał też uważnie manewrować noszami, starając się nie pozostać w tyle za zmiennokształtnym.

Danalta nigdy nie stwarzał problemów, jeśli chodziło o przykre doznania, sam bowiem rzadko napotykał sytuacje, które mogłyby mu zagrozić. Nie bał się niemal niczego, wyjąwszy silne eksplozje czy zderzenia z wielkimi i gotowymi zmiażdżyć każde życie masami. Obecnie torował sobie drogę przez rozgrzane wnętrze wraku, usuwając wypączkowanymi na poczekaniu kończynami przeszkody, niekiedy zaś przybierając kształt wiertła, aby w tej postaci przebić się przez większe rumowiska.

Fotawn, rodzima planeta Danalty, uchodziła za jedno z najmniej przyjaznych życiu środowisk w Federacji. Krążyła po wysoce ekscentrycznej orbicie, co skutkowało bardzo niestałym klimatem. Zwykłe istoty nie miały szans zaadaptować się do wymogów podobnego środowiska, dlatego zarówno flora, jak i fauna Fotawnu rozwinęły cechy polimorficzne.

Sam Danalta należał do typu TOBS, czyli istot tworzących cywilizację opartą nie tyle na technice i naukach fizycznych, ile na filozofii i doskonaleniu narzędzi adaptacyjnych. W dawnych czasach, gdy zdarzało im się spotykać naturalnych wrogów, najpierw sięgali po mimikrę, potem próbowali ucieczki, a gdy to nie pomagało, próbowali przybrać kształt mający wystraszyć agresora. Umiejętność szybkich przemian i łatwość, z jaką wybierali właściwą w danych okolicznościach postać, sugerowały, że byli również silnymi empatami receptywnymi, chociaż sami długo pozostawali nieświadomi tej umiejętności.

I chociaż mimo tych zdolności i wysokiej odporności na choroby oraz zranienia nie rozwinęli nigdy nauk medycznych, zwłaszcza chirurgii, Danalta złożył wniosek o staż w szpitalu i został przyjęty. Jak sam twierdził, nie kierowały nim żadne szlachetne pobudki, tylko swoisty egoizm. Chciał się znaleźć w miejscu, gdzie pracowali razem przedstawiciele ponad sześćdziesięciu ras i które stawiało w ten sposób nieustannie nowe wyzwania jego talentowi do mimikry. Co rusz musiał wykorzystywać zmiennokształtność, aby dodawać ducha istotom cierpiącym na skutek fizycznych albo psychicznych urazów i dodatkowo osamotnionym, w szpitalu bowiem rzadko byli inni przedstawiciele ich rasy. Czasem pomagał w nagłych przypadkach, dostosowując swą postać do obcego czy toksycznego środowiska, dzięki czemu jako jedyny nie musiał tracić czasu na wkładanie ubioru ochronnego. W innych jeszcze sytuacjach przydawał się podczas operacji chirurgicznych, gdyż zdolny był sięgnąć uformowaną wedle potrzeb kończyną w trudno dostępny dla innych zakątek ciała pacjenta. Doświadczał sytuacji, jakie nie były wcześniej dane nikomu z jego rasy. I chociaż czerpał z tej działalności wielką satysfakcję, nie był lekarzem i nigdy nie pozwalał się tak nazywać.

Władze szpitala twardo jednak uważały, że jeśli postanowi pozostać w szeregach personelu, aby kontynuować swoje obecne zadania, bez dwóch zdań lekarzem zostanie.

— Dotarliśmy do maszynowni — powiedział nagle Danalta, przywracając Priliclę do rzeczywistości. — Panuje tu temperatura, w której pozbawiony skafandra DBDG nie miałby szansy przetrwać, ale ten przedział statku ma wyjątkowo mocną konstrukcję i nie grozi raczej zawaleniem. Może pan bezpiecznie opuścić nosze. Postaram się jak najbardziej wygasić moją aktywność emocjonalną. Czy wyczuwa pan rozbitka?

— Nie — powiedział Prilicla, ale zaraz zaprzeczył sam sobie.

— Tak.

To, co odbierał, nie było zasadniczo przekazem emocjonalnym, ale znakiem obecności istoty, która znalazła się na krawędzi śmierci. Poszkodowany był albo bardzo słaby, albo odległy. Lub jedno i drugie. Prilicla chciał już dać znak, aby ruszać dalej, ale wcześniej rozejrzał się po pomieszczeniu. Tutaj też poszycie było popękane, w porównaniu jednak z innymi przedziałami maszynownia była mało zniszczona i panował w niej niemal porządek, jeśli nie liczyć dziesiątków narzędzi, które musiały chyba zostać wyrzucone w pośpiechu z niskiej metalowej szafy przymocowanej do przedniej grodzi. Całkiem jakby ktoś gorączkowo szukał w niej schronienia...

— Tutaj — powiedział Prilicla, wskazując na szafę.

Gdy Danalta zdołał ją w końcu otworzyć, z wnętrza buchnął tłusty i czarny pył powstały z resztek zwęglonej wyściółki. Pod nim znaleźli czwartego rozbitka, który leżał niemal złożony wpół. Skafander miał cały, nie nałykał się zatem trujących wyziewów. Nie tracili czasu na rozprostowanie go, tylko szybko przenieśli nieprzytomnego na nosze i ułożyli na boku. Twarz miał prawie niewidoczną i przez zaparowaną szybę hełmu zdołali dojrzeć tylko tyle, że skóra przybrała intensywnie czerwoną barwę. Słaba emanacja sugerowała, że pozostały mu nie tyle godziny, ile raczej minuty życia.

— Przyjacielu Danalta — powiedział Prilicla, oglądając się na drogę, którą przybyli. — Ten ranny jest naprawdę bliski śmierci, co oznacza, że nie możemy ryzykować wydobywania go ze skafandra w tak nieprzyjaznym miejscu. Musisz zabrać go stąd jak najszybciej, nawet gdyby trzeba było przeciskać się z noszami przez jakąś szczelinę w kadłubie...

— Doktorze — odezwał się nagle kapitan Fletcher. — Możemy utorować wam przejście.

Śledzę przebieg waszych poszukiwań i wiem dokładnie, gdzie jesteście.

— Odsuńcie się od strony kadłuba, która zwrócona jest ku wyspie, i przytrzymajcie się czegoś. Haslam — rzucił po chwili kapitan. — Jedna wąska wiązka na statek wedle podanych koordynatów z sekundowymi zmianami wektora.

Maszynownia zaczęła wibrować, a płyty poszycia rozjęczały się donośnie, na zmianę wybrzuszając się do środka i na zewnątrz. Istniejące szpary powiększyły się gwałtownie, aż w końcu blachy poddały się i odpadły niczym porwane wichurą. Do wnętrza wdarły się blask słońca i szum morza. Prilicla i Danalta dojrzeli całkiem bliską plażę i rozstawiony na niej szpital polowy.

— Dziękuję, kapitanie — powiedział empata. — Przyjaciółko Murchison, aby oszczędzić czas, wysyłam Danaltę samego z pacjentem. Osłona noszy będzie zamknięta, z systemem chłodzącym nastawionym na maksymalną wydajność, co powinno pomóc poszkodowanemu.

Nadal znajduje się w skafandrze, który trzeba będzie jak najszybciej usunąć. Sam też zaraz ruszę do brzegu, aby do was dołączyć.

— Może nie tak od razu, doktorze — powiedział Danalta. Jego głos dochodził z pakamery mieszczącej się bliżej dziobu.

Sekundę wcześniej Prilicla wyczuł zasadniczą zmianę emocji metamorfa — stanowiła teraz konglomerat doznań, pośród których dominowały zdumienie i ciekawość. Zanim empata zdążył zadać oczywiste w tej sytuacji pytanie, Danalta dodał:

— Nie wiem, kto to jest ani jaki typ fizjologiczny reprezentuje, ale moim zdaniem znaleźliśmy pasażera na gapę.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Istota wydawała się odziana w tak dokładnie dopasowany skafander, że można było sądzić, iż ma identyczny kształt jak jej odzienie ochronne. Przypominała spłaszczone jajo z sześcioma wyrostkami rozmieszczonymi w regularnych odstępach na obwodzie. Każdy z nich kończył się giętkimi manipulatorami chronionymi przez rękawice, które przylegały niczym warstwa metalizowanej farby. Zakończenia manipulatorów miały różny kształt i przypominały wyspecjalizowane w jakichś funkcjach narzędzia. Zaokrąglony występ w przedniej — zapewne przedniej — części ciała kojarzył się z głową, okrywała go jednak maska z zakończeniami sensorów, nie zaś przejrzysty wizjer, przez co nie dawało się dojrzeć twarzy.

Na górnej — a może dolnej? — części ciała widać było rozległy obszar poddany wcześniej działaniu wysokiej temperatury. Trudno było powiedzieć coś więcej o tej istocie, nie wyjmując jej ze skafandra.

— Co to jest, doktorze? — spytał Danalta. — Czy to żyje?

— Trudno powiedzieć — odparł Prilicla, wskazując na czwarte nosze. — Proszę jak najszybciej odtransportować Ziemianina na brzeg. Tam pomoże pan Naydrad i Murchison, aż sam do was dołączę albo poproszę o przysłanie noszy. Potrzebuję teraz pełnego wyciszenia emocjonalnego, aby sprawdzić, z czym albo kim mamy do czynienia.

Emanacja Danalty i jego pacjenta malała w miarę oddalania się ich od wraku. Z brzegu dobiegało słabe echo emocji reszty zespołu medycznego i pozostałych rozbitków.

Daleki od fałszywej skromności Prilicla wiedział, że jego zmysły należą do najczulszych wśród wszystkich przedstawicieli jego rasy i mało kto mógł się z nim równać w interpretacji tego, co dawało się nimi odebrać. Przez kilka długich chwil wsłuchiwał się w poszukiwaniu nowego źródła emocji.

Niczego nie znalazł.

Poczuł tak silne rozczarowanie, że zadrżał od własnej frustracji. Wiedział, że może wychwycić emocje przedstawiciela każdej znanej Federacji rasy i że umie rozpoznać nawet proste odczucia bezrozumnych owadów. A tu coś takiego! Czyżby napotkał właśnie jedną z istot, wobec których jego zdolności były niewystarczające? Przez chwilę zwątpił w siebie.

Cóż, zawsze musi się zdarzyć ten pierwszy raz, pomyślał rozczarowany i sięgnął po skaner. Nastawił go na funkcję przenikania metalowych powłok i zbliżył się na kilka cali do wybrzuszenia, które zgodnie z obserwowanymi w przyrodzie prawidłowościami powinno kryć centralny ośrodek nerwowy stworzenia. Powoli przesunął skanerem nad maską w poszukiwaniu skrytych głębiej tkanek. Z niedowierzaniem stwierdził, że w skafandrze brak było śladów materiału organicznego.

— Przyjaciółko Murchison — odezwał się, gdy udało mu się w końcu opanować zdumienie. — Mam tu rozbitka, który wymaga dokładnego zbadania. Czy jestem wam potrzebny?

— Owszem, chociaż niekoniecznie już teraz — odparła patolog i zamilkła na chwilę, aby opanować przypływ niepokoju. — U trzech zbadanych w niektórych miejscach spalone fragmenty odzieży przylgnęły do skóry na tyle, że trzeba będzie usunąć je operacyjnie.

Konieczne będzie też wycięcie obszarów ogarniętych martwicą i wszczepienie tam sztucznej skóry. To powinno wystarczyć do czasu pełniejszej interwencji w szpitalu. Obecnie rozbitkowie otrzymują nawadniające kroplówki z substancjami odżywczymi. Ich stan jest krytyczny, ale stabilny. Poza jednym. Możemy go stracić. Organy wewnętrzne Ziemian źle znoszą wysoką temperaturę. Ale czy dobrze zrozumiałam, że znalazłeś jeszcze kogoś? To ktoś nowy na naszym podwórku?

— Właściwie nie jestem pewien, czy to nowy pacjent, czy może raczej okaz do badania post mortem — odparł Prilicla po chwili wahania. — Z całą pewnością nie widziałem jeszcze podobnej istoty ani na żywo, ani w opracowaniach.

— Ciekawa sprawa — mruknęła Murchison coraz bardziej ciekawa. — Kiedy będziemy mogli go zobaczyć? Mam wysłać Naydrad z noszami?

— Nie — zarządził Prilicla, wyczuwając po drugiej stronie narastającą falę zdumienia.

Normalnie nigdy nie odezwałby się tak obcesowo do podwładnego. — Panujecie nad sytuacją.

Róbcie więc dalej swoje — dodał łagodniejszym tonem. — I nie podejmujcie żadnych innych działań dopóty, dopóki o to nie poproszę.

— Tak jest — odparła Murchison skrajnie zaskoczona.

Podobnie zareagowali Naydrad i Danalta, a nawet prowadzący nasłuch oficerowie z *Rhabwara.* Ale Prilicla musiał najpierw znaleźć kilka odpowiedzi. Uspokoiwszy więc drżące kończyny, wrócił do badania.

Ponieważ był jedynym empatą w najbliższej okolicy, nikt nie mógł wyczuć jego obaw. Zespół medyczny skupił się na pacjentach, załoga pokładowa zaś nie miała akurat nic pilnego do roboty, mogła więc śledzić jego poczynania. W końcu zauważą jego stan i przyjaciel Fletcher zrozumie, co to może oznaczać. Być może nawet już coś pojął.

Wszyscy przecież widzieli, z jaką determinacją załoga *Terragara* starała się uniknąć kontaktu z ratownikami. To musiało mieć jakiś związek z odnalezioną właśnie istotą i dlatego Prilicli tak bardzo zależało, aby dokładnie ją zbadać. Nie zdziwił się, gdy po dłuższej chwili usłyszał głos kapitana.

— Doktorze — powiedział Fletcher. — Być może wtrącam się w nie swoje sprawy, zrozumiem zatem, jeśli każe mi się pan zamknąć, ale zastanawia mnie pańskie postępowanie.

Od półgodziny obserwuję przebieg badania tej istoty. Na początku podchodził pan do niej ostrożnie, nie dotykając pod żadnym pozorem, teraz zaś utrzymuje pan z nią ciągły kontakt. O ile pierwszą metodę rozumiem, o tyle drugiej — nie. Czy coś się zmieniło? Czy uważa pan, że ta istota nie niesie ze sobą żadnego zagrożenia? Jeśli tak, dlaczego pański język ciała zdaje się temu przeczyć? I dlaczego bada pan dokładnie każdy cal ciała, włącznie z kończynami i chwytnymi wyrostkami? Jestem laikiem w tych sprawach, ale wydaje mi się, że obrażenia dłoni rzadko zagrażają życiu.

Prilicla nie odpowiedział od razu. Najpierw musiał zebrać w myśli dostępne informacje i tak je uporządkować, aby nadawały się do przedstawienia w półoficjalnym nagrywanym meldunku.

— Przystępując do badania, założyłem, że mam przed sobą istotę w skafandrze wypełnionym mieszanką oddechową typową dla ciepłokrwistych tlenodysznych. Wstępnie zaklasyfikowałem tę rasę jako CHLI. Ale zarówno powierzchniowe, jak i głębokie badanie skanerem nie ujawniło obecności żywych tkanek, tylko produkty zaawansowanej technologii, której funkcji nie potrafię ocenić. Wcześniejsze oględziny pozwoliły na wysnucie przypuszczenia, że uszkodzenia skafandra obejmujące okolice głowy i przednią parę kończyn, której manipulatory dosłownie się stopiły, zostały spowodowane urazem cieplnym, doszło do nich jednak wcześniej, a nie podczas upadku *Terragara* z orbity. Te zdarzenia nie zostawiły żadnych śladów. Sądzę, przyjacielu Fletcher, że sam będziesz chciał zbadać to znalezisko w dogodnym dla ciebie czasie. Podsumowując, w klinicznym znaczeniu to nie jest obiekt żywy.

Nie sądzę też, aby kiedykolwiek przejawiał jakieś funkcje życiowe.

Zajęty pacjentami zespół medyczny nie miał czasu zdumiewać się zanadto. Co innego kapitan.

— Chwilę, doktorze. Czy dobrze pana zrozumiałem? Czy chce pan powiedzieć, że to jest robot? Zaawansowany technologicznie robot nieznanego nam typu i być może ofiara działań wojennych jednocześnie?

— Sądzę, że za mało wiemy, aby wysnuwać jakieś wnioski, przyjacielu Fletcher. Ale biorąc pod uwagę, jak złożony wydaje się ten mechanizm, nie wykluczałbym ewentualności, że oto zetknęliśmy się z przejawem nieorganicznej inteligencji. Doradzałbym więc zachowanie szczególnych środków ostrożności podczas dalszych badań, gdyż ta właśnie istota albo inne jej podobne były najpewniej powodem, dla którego załoga *Terragara* starała się uniknąć kontaktu z nami. Więcej dowiemy się na ten temat od samych rozbitków.

Przyjaciółko Murchison — dodał po chwili. — Będę u was za pięć minut.

— Im szybciej, tym lepiej — powiedziała Naydrad, a Prilicla wyczuł, że mimo niedawnych uspokajających słów Murchison Kelgianka wyraziła opinię całego zespołu.

Szpital polowy był modułową konstrukcją przewidzianą do wykorzystywania w razie wypadków na stacjach kosmicznych albo podczas planetarnych katastrof czy kataklizmów.

Składał się z kontenerowej sali operacyjnej, do której w zależności od potrzeb można było dodawać kolejne moduły z izolatkami dla chorych, pomieszczeniami dla personelu i wyspecjalizowanym sprzętem. Częściowo już działał. Wiązki z *Rhabwara* ustawiały kolejne jego elementy, a uniwersalne roboty podłączały niezbędne instalacje.

Prilicla wiedział, że zaraz napotka kolejne problemy kliniczne, spróbował więc uspokoić się i oczyścić umysł z niedawnych rozterek. Podświadomość podsunęła mu wizje z dzieciństwa spędzonego na rodzinnej planecie. W tamtym czasie zwykł stawiać na piasku kolorowe budowle, które wyobraźnia zaludniała zaraz najróżniejszymi stworzeniami — legendarnymi bohaterami o wielkiej mocy czynienia dobra, ale czasem i zła, którzy rzadko ginęli, gdyż nawet dorosły Cinrusskańczyk niechętnie myślał o śmierci. Złocista plaża przypominała do złudzenia tamten brzeg morza, a odległy pas zieleni był zbyt słabo widoczny, aby zdradzać swoje obce pochodzenie. Ale na tym podobieństwa tego miejsca do rodzinnej planety się kończyły.

Zamiast stromych fal Cinrussa ocean toczył łagodne wały wody, załamujące się pieniście jedynie przy samym brzegu, a istoty krzątające się w kolorowych pudełkach były bardziej fantastyczne niż wszystko, co zdołała podpowiedzieć mu kiedyś dziecięca wyobraźnia. Poza tym tutaj otwarcie mówiło się o śmierci, chociaż w większości przypadków udawało się odprawić ją z kwitkiem.

Nie dzisiaj jednak.

Prilicla poczuł płynący od Murchison i pozostałych głęboki żal i poczucie winy typowe w sytuacji, gdy uzdrawiacz mimo wysiłków traci pacjenta.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy dołączył do nich kilka chwil później, Naydrad przesuwała zamknięte nosze ze zmarłym do sąsiedniego pomieszczenia. Kapitan Fletcher spoglądał na nich w milczeniu ze ściennego ekranu, a zaciśnięte usta podpowiadały to, czego Prilicla nie mógł wyczuć z racji dużego dystansu. Dwóch poszkodowanych zostało już wstępnie opatrzonych i unosili się teraz na poduszkach powietrznych ponad legowiskami zaprojektowanymi specjalnie dla cierpiących na rozległe poparzenia. Murchison i Danalta wycinali zwęglone tkanki, a łagodniej doświadczone miejsca pokrywali grubą warstwą leczniczego kremu opracowanego na potrzeby DBDG, który miał wspomóc regenerację skóry i złagodzić ból, gdy pacjent wróci już do przytomności. Dodatkowo chronił też przed infekcjami. A to właśnie ich ryzyko było powodem, dla którego patolog Murchison pracowała w pełnym ubiorze ochronnym.

Pozostałymi czynnikami mogli się nie przejmować, ponieważ mikroorganizmy powstałe w jednym ekosystemie nie były w stanie zarażać form życia zrodzonych w innych światach.

Naydrad poczuła podmuch powietrza wzbudzany przez skrzydła Prilicli i uniosła głowę.

— Zaczynam czuć się tu całkiem niepotrzebna — powiedziała i spojrzała z troską na nosze z ostatnim rozbitkiem, który doczekał się właśnie na swą kolej.

— Pomóc wam uwolnić go ze skafandra?

Jako specjalistka od trudnych akcji ratunkowych Naydrad miała największą praktykę w bezurazowym rozcinaniu najróżniejszych strojów ochronnych i odzieży, jeśli dana rasa akurat z niej korzystała. Nie starając się oszczędzać ubioru, wykonała szereg nacięć, które pozwoliły na zdjęcie skafandra kawałek po kawałku, podobnie jak obiera się jajko ze skorupki. Mundur został potraktowany tak samo, wyjąwszy miejsca, w których zwęglona tkanina przylgnęła do skóry. Zaraz potem pacjent trafił na niewywołujące podrażnień łóżko powietrzne i Prilicla zajął się usuwaniem tych kawałków. Naydrad podłączyła tymczasem kroplówkę nawadniającą, a Murchison i Danalta dołączyli do nich bez słowa, aby pomóc.

— Co z nim? — spytała Murchison.

Oboje wiedzieli, że nie chodzi jej o fizyczny stan rozbitka, bo ten łatwo mogli ocenić, ale o jego emocje, jeśli jakiekolwiek się pojawiały.

— Wytrzyma operację?

— Jest w lepszym stanie, niż się spodziewałem. Tak, wytrzyma — odparł Prilicla, unosząc się nad pacjentem. — Stracił przytomność na skutek szoku, ale jego głębokie emocje są w tej chwili charakterystyczne dla kogoś, kto walczy o przetrwanie. Nie wytrzyma jednak długo, jeśli nie pospieszymy się z pomocą. Ten pacjent — podjął po chwili na użytek rejestracji — poszukał schronienia w metalowej szafce na sprzęt, gdzie został znaleziony w pozycji klęczącej, z ciałem zgiętym ku przodowi w pasie, podparty na jednej ręce. Ta ręka i obie dolne kończyny miały przez dłuższy czas pełny kontakt z dobrze przewodzącą ciepło metalową powierzchnią, przez co doznały głębokich oparzeń upośledzających układ krwionośny, mięśnie i ważne drogi nerwowe. W wypadku dwóch zoperowanych już rozbitków konieczna była amputacja dolnych kończyn. Tutaj trzeba będzie postąpić podobnie, chociaż być może uda się uratować drugą rękę, która nie stykała się z metalem bezpośrednio.

Rozbitek trzymał w niej jakieś nieprzewodzące ciepła narzędzie. Twoje odczucia, przyjaciółko Murchison, potwierdzają moją diagnozę, ale zarówno ciebie, jak i pozostałych muszę prosić o głośne wyrażenie swego zdania. Czy zgadzacie się, że należy niezwłocznie amputować choremu obie nogi?

— Tak — powiedziała Murchison, która kierowała się przede wszystkim ziemską empatią i pomyślała, że przy podejmowaniu tak trudnej decyzji przyda się Prilicli wsparcie.

Zanim Naydrad zdążyła się odezwać, niespodziewanie rozległo się chrząknięcie.

— Nie lubię oglądać krwawych operacji, zwłaszcza gdy chodzi o moich znajomych, ale tym razem wytrwałem — powiedział nadal widoczny na ekranie Fletcher. — Powód jest prosty.

Brak mi wprawdzie wiedzy medycznej, aby prawidłowo rzecz ocenić, ale obawiam się, że po tym piekle, jakie rozbitkowie przeszli na statku, żadnemu z nich nie uda się z tego wyjść. — Zawahał się i Prilicla odniósł wrażenie, że kapitan szuka właściwych słów, aby powiedzieć coś, co niekoniecznie musi spotkać się z akceptacją. — Dla mnie najważniejszą kwestią jest obecnie pozyskanie informacji o zajściu. Ostatecznie wasi pacjenci próbowali popełnić samobójstwo. Nie znamy przyczyn ich postępowania, a mogą mieć one wielkie znaczenie dla wielu istot zamieszkujących światy Federacji. Tak więc przywrócenie chociaż jednego z nich do stanu, w którym mógłby opowiedzieć nam...

— Przyjacielu Fletcher — przerwał mu Prilicla łagodnie. — Twoje słowa spotykają się z coraz silniejszą reakcją emocjonalną całego zespołu medycznego, który robi, co może, aby nie wyrazić swojego sprzeciwu głośno. Twoje słowa nie pomagają nam. Stan pacjentów jest nadal krytyczny. Może się zdarzyć, że żaden z nich nie przeżyje, o odzyskaniu przytomności nie wspominając.

— Skoro tak, to czemu tym bardziej nie spróbować ocucić któregoś z nich, aby powiedział nam, co trzeba, zanim umrze? — spytał kapitan. — To będzie dla niego trudne, ale ostatecznie wszyscy są kontrolerami i bez trudu zrozumieją wymogi sytuacji.

Prilicla potrzebował dłuższej chwili, aby opanować drżenie wywołane propozycją Fletchera. Udało mu się to tylko częściowo, wobec kończyn, którymi operował, w końcu jednak się odezwał:

— Porozmawiamy o tym w bardziej sprzyjających okolicznościach — rzucił bez zwykłej dla siebie uprzejmości. — Może pan dalej obserwować operację, proszę jednak powstrzymać się od jakichkolwiek sugestii, dopóki nie skończymy naszej pracy.

Kapitan zamilkł, ale pilnie obserwował do końca zarówno przebieg operacji, jak i dodatkowych zabiegów, które trzeba było wykonać u pozostałych pacjentów. Prilicla nie widział jeszcze Ziemianina, który tak długo oddychałby wyłącznie przez nos, wargi trzymając cały czas mocno zaciśnięte. Ale gdy nawet dla największego laika, jakim Fletcher nie był, musiało stać się oczywiste, że działania przy poszkodowanych dobiegły końca, kapitan odezwał się ponownie:

— Doktorze Prilicla, musimy poważnie porozmawiać i jak tylko...

— Kapitanie Fletcher! — powiedziała Murchison lodowatym tonem, chociaż targające nią emocje wcale nie były chłodne. — Doktor Prilicla zakończył właśnie trwającą niemal dwie godziny operację, którą podjął bezpośrednio po długiej i wyczerpującej akcji ratunkowej.

Oficer na pana stanowisku powinien zdawać sobie sprawę z ograniczeń fizycznych typu GLNO, a zwłaszcza z ich skromnych zasobów sił życiowych, co wymaga częstego odpoczynku. Wszyscy zresztą jesteśmy zmęczeni, nie tylko nasz szef... — zamilkła, gdy kapitan uniósł rękę.

— Zdaję sobie sprawę z potrzeb i kondycji szefa mojej ekipy medycznej — stwierdził kapitan zdecydowanym tonem. — Nie dała mi pani dokończyć, a chciałem powiedzieć, że musimy poważnie porozmawiać z doktorem Priliclą, jak tylko odpocznie. I to naprawdę ważne, ponieważ sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, może zmusić nas do zrewidowania naszych zasad etycznych, z etyką lekarską włącznie. Spokojnego snu, doktorze.

Sprawdziwszy raz jeszcze odczyty pacjentów, Prilicla, Murchison i Naydrad udali się na wypoczynek, zostawiając Danaltę w roli dyżurnego. W dzikim świecie zmiennokształtnego istoty wymagające regularnych okresów snu nie miałyby szansy na przetrwanie, zatem dłuższy brak drzemki nie miał dla niego znaczenia. Prilicla zazdrościł mu czasem tej zdolności, chociaż naprawdę rzadko, gdyż lubił odpływać w świat bez świadomych myśli i cudzych emocji, w którym mógł być naprawdę sam ze sobą.

Gdy spał, narządy zmysłów przestawały praktycznie funkcjonować i żadne hałasy, silne światło czy nawet odrażające zapachy nie były w stanie go obudzić. Do tego, tak jak w prehistorycznych czasach, byłby potrzebny silny bodziec fizyczny albo bliskość źródła zagrożenia. Chociaż cinrussańskie sny były krótkie. Subiektywnie nie trwały dłużej niż kilka sekund blasku wypełnionego chaotycznymi wizjami niedawnej przeszłości albo, jak twierdzili bardziej ekstrawaganccy uzdrawiacze umysłu, przyszłości. Niczym płytkie zatoki ograniczały z obu stron głęboki ocean snu.

Podczas marzenia, które nawiedziło Priliclę tuż przed obudzeniem, ponownie ujrzał siebie badającego nieorganicznego rozbitka, ale tym razem otaczała go dławiąca chmura lęku i widział parę dłoni należących do pomagającego mu Ziemianina. Otrząsnął się z tej wizji, uznając ją za zwykły produkt chadzającej swoimi ścieżkami podświadomości, i wybrał w podajniku ulubiony zestaw śniadaniowy. Potem poświęcił kilka chwil, aby zadbać o swój wygląd. Przetarł nasączoną w aromatycznym olejku gąbką głowę, egzoszkieletowy tułów oraz kończyny, chociaż wiedział, że nikt na pokładzie nie zauważy różnicy. Potem połączył się z Danaltą.

Metamorf zameldował, że stan trzech pacjentów nadal jest stabilny i nie rodzi żadnych obaw. Rozbitkowie wprawdzie ciągle byli nieprzytomni, ale odczyty wskazywały na powolną poprawę. Emocjonalne sygnały, odbierane przez Priliclę, w pełni to potwierdzały. Murchison i Naydrad wedle wszelkich znaków nie opuściły jeszcze swoich kabin i zapewne pozostawały pogrążone w głębokim i spokojnym śnie. Mały empata postanowił więc ich nie budzić i stawić czoło kapitanowi bez ich moralnego wsparcia. Świetnie wiedział, że dla Cinrussanina najlepszą formą obrony jest zaskakujący atak z użyciem pochlebstw.

— Przyjacielu Fletcher — zaczął, gdy oblicze oficera pojawiło się na ekranie. — Okazał pan wielką wrażliwość, daleko posunięte zrozumienie i uprzejmość, pozwalając mi wypocząć przed tak ważną rozmową. Zanim jednak przejdziemy do rzeczy, zapewne ucieszy pana, że stan zdrowia trzech rozbitków jest stabilny, a rokowania optymistyczne. Nie odzyskali wprawdzie jeszcze przytomności i nie należy oczekiwać, aby stało się to w ciągu najbliższych godzin, a może nawet dni, ale biorąc pod uwagę ich urazy oraz szok, jakiego doznali, muszę przyznać, że wasze zdolności przetrwania są zaiste imponujące, co pozwala zastanowić się nad podjęciem próby uzyskania od nich najważniejszych informacji. Musimy jednak pamiętać — dodał pospiesznie — że przedwczesne wyprowadzenie ze śpiączki może mieć dwojakie konsekwencje. Zaczną odczuwać ból oraz wywołaną medykacją dezorientację, przez co część danych, jakie uzyskamy, może nie mieć większej wartości, zwłaszcza jeśli chodzi o konkretne kwestie techniczne. Ponadto istnieje ryzyko wystąpienia szoku wtórnego, który może ich zabić, zanim zdążą cokolwiek powiedzieć. Czy jest jeszcze coś poza kwestiami klinicznymi, co chciałbyś ze mną przedyskutować, przyjacielu Fletcher?

Kapitan milczał dłuższą chwilę, aż w końcu westchnął głęboko. Nie trzeba było empatycznych zdolności, aby zrozumieć, że oznaczało to rozczarowanie.

— Doktorze Prilicla — powiedział. — Nade wszystko zależy mi na wyjaśnieniu, co było przyczyną anormalnego zachowania naszych pacjentów. Nie dał mi pan na to szansy, powołując się na wymogi medyczne. Rozumiem, miał pan prawo to zrobić. Ale wciąż musimy to ustalić. Czy może pan podpowiedzieć inny sposób rozwiązania problemu?

Tym razem to Prilicla zamilkł na dłuższą chwilę.

— Być może jeszcze się pan nie dobudził, doktorze, pozwolę więc sobie przypomnieć najważniejsze. Przybyliśmy tutaj z powodu trzech sygnałów alarmowych. Dwa z nich mogły nie dotyczyć wezwania pomocy i być tylko błyskiem towarzyszącym użyciu jakiejś broni przez obcy statek. Źródłem trzeciego jednak na pewno była boja alarmowa *Terragara,* którego załoga za nic nie chciała nas później dopuścić do siebie. Jako statek szpitalny jesteśmy zobowiązani do zameldowania, co znaleźliśmy i jakie podjęliśmy działania. Jeśli uznamy, że sami sobie nie poradzimy, możemy wezwać posiłki. Z przyczyn technicznych nasz raport musi być krótki, ale powinniśmy zawrzeć w nim wszystko, co istotne...

— Przyjacielu Fletcher — przerwał mu spokojnie Prilicla. — Jestem świadom tych problemów oraz ograniczeń związanych z użyciem radia nadprzestrzennego. Z powodu mojego stażu na *Rhabwarze* samo przypominanie mi o tych sprawach jest bliskie nieuprzejmości. Jeśli jednak interesuje się pan moim stanem, zapewniam, że jestem wypoczęty i w pełni przytomny.

— Przepraszam, doktorze. Chyba wpadłem w pułapkę sarkazmu. Chcę tylko zwrócić uwagę na to, że od naszego przybycia do tego układu minęło już dwadzieścia jeden standardowych godzin, a my nie przekazaliśmy na razie ani słowa, ponieważ tak naprawdę nie mamy nic sensownego do oznajmienia. Musimy jednak się odezwać, zanim wyślą po nas inny statek albo, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, okręt wojenny. Kto wie, czy nie spotka go wtedy los *Terragara.* Być może mamy tu nieznanego przeciwnika i cała ta zagadkowa sytuacja to nic innego jak początek wojny, inaczej zwanej operacją policyjną. — Przerwał, aby zaczerpnąć powietrza. Gdy znowu się odezwał, był już spokojniejszy. — Potrzebuję pewnych informacji. Choćby skąpych, ale pozwalających na podjęcie jakiejś decyzji. Nawet gdyby miała to być decyzja o objęciu planety bezterminową kwarantanną.

Musimy przekazać coś wiarygodnego, w przeciwnym razie nasi przełożeni uznają, że pogubiliśmy się i mamy zaburzoną ocenę sytuacji. Wówczas też wyślą statek, nawet jeśli powiem, aby trzymali się od nas z daleka. Tak więc co mam przekazać, doktorze?

— Mam pewien pomysł, przyjacielu Fletcher — odparł Prilicla, ciesząc się w duchu, że naprawdę zdołał wypocząć. — Tyle że może to być dla pana trochę ryzykowne.

— Może być ryzykowne, jeśli tylko się opłaci — rzucił kapitan. — Słucham.

— Brak pewnych informacji o naturze obecnego zagrożenia skłonił mnie wcześniej do zgłoszenia wniosku, aby załoga *Rhabwara* nie kontaktowała się z nami przynajmniej do chwili, gdy ustalimy, że nie chodzi o infekcję czy zatrucie. Ten środek ostrożności nadal obowiązuje, możliwe jednak, że niepotrzebnie, ponieważ nikt z nas nie zdradza żadnych objawów chorobowych, chociaż sam spędziłem wczoraj sporo czasu na wraku, a prawie cała ekipa medyczna nocowała na statku. Jestem pewien, że przy zachowaniu odpowiednich środków ostrożności i przewidzianych w odniesieniu do takich sytuacji procedur odkażających możemy bez dalszej zwłoki przystąpić do badania szczątków *Terragara.* Jeśli użyto wobec niego jakiejś broni, musiały pozostać po niej jakieś ślady. Podobnie, jeśli czynnikiem destruktywnym był ten tajemniczy obcy. I być może dzięki temu zdobędzie pan dość informacji, aby przygotować poprawny meldunek. A tak czy siak, będą to na pewno informacje dokładniejsze i pewniejsze niż uzyskane od półprzytomnych i obolałych rozbitków. Ma pan jakieś uwagi do tego pomysłu, przyjacielu Fletcher?

Kapitan pokiwał głową i pokazał zęby.

— Trzy. Pierwsza, że powinien pan częściej wypoczywać. Druga i trzecia to zasadniczo pytanie: kiedy i gdzie się spotkamy?

Niecałą godzinę później Prilicla spoglądał na wielkie dłonie kapitana, który brał się do badania obcego obiektu. Nagle przypomniał sobie swój dziwny sen i już miał opowiedzieć o nim oficerowi, ale po namyśle zrezygnował. Fletcher nie należał do osób skłonnych do wysłuchiwania podobnych zwierzeń.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Murchison poinformowała, że stan chorych pozostaje stabilny, i poprosiła o zgodę na uczestnictwo w badaniu obcego, dowodząc, że jej specjalizacja obejmuje wszystkie, również nieorganiczne formy inteligentnego życia. Prilicla rzadko słyszał równie rozbrajające usprawiedliwienia, mające zamaskować zawodową ciekawość, ale nie próbował się sprzeciwiać. Murchison była jego zastępczynią i najprawdopodobniejszą kandydatką na przyszłego dowódcę zespołu medycznego *Rhabwara.* Poza tym był ciekaw, jak poradzi sobie z całkiem nową dla niej sytuacją.

Dlatego też większość komentarzy do nagrania wygłaszał kapitan Fletcher, Murchison wtrącała tylko czasem jakąś uwagę, Prilicla zaś prawie w ogóle się nie odzywał. Oficer posługiwał się skanerem dostarczonym przez porucznika Chena i używanym normalnie do wyszukiwania usterek w skomplikowanych mechanizmach. Gdy skończył, wyprostował się, położył przyrząd ostrożnie na pokładzie i uśmiechnął się z entuzjazmem.

— Ta istota, maszyna czy inne cudo, jest bardziej zaawansowana technologicznie niż wszystko, co powstaje w obrębie Federacji — powiedział, nie kryjąc podniecenia. — Jej obwody i serwomotory są tak precyzyjne i pomysłowe, że z początku w ogóle nie potrafiłem ich rozpoznać. Nie jest zwykłym urządzeniem, które ktoś z zegarmistrzowską precyzją zmontował z jakichś części. To bardziej wytwór mikrochirurgii, zakładając oczywiście, że nie chodzi tu wręcz o mechaniczną ewolucję. Prześledziłem przebieg kilku peryferyjnych dróg nerwowych. Biegną do centralnej części kadłuba, która kryła chyba narządy będące odpowiednikami mózgu i serca. Pewien nie jestem, bo ta właśnie część została zniszczona przez silny impuls cieplny i radiacyjny. Podobny los spotkał część czujników. Nie wiem, czy był to wypadek, czy skutek działania jakiejś broni, ale jestem przekonany, że owa istota posiadała wysoką zdolność regeneracji i wzrostu i gdyby nie to tajemnicze zdarzenie, mogłaby funkcjonować nieograniczenie długo. Każdy organizm, który jest do tego zdolny, można w praktyce nazwać żywym.

Prilicla chciał zadać istotne pytanie, ale Murchison wypowiedziała je pierwsza:

— Jest pan pewien, że on już nie żyje?

— Spokojnie, proszę pani — odparł kapitan. — Jak może być inaczej, skoro jego serce i mózg zostały spopielone? Poza tym jego muskulatura, czyli serwomotory, została zaprojektowana raczej do prac lekkich. Fizycznie ten stwór nie byłby groźny, chyba że dla doktora Prilicli — dodał z uśmiechem.

Murchison też się uśmiechnęła, dla małego empaty niebezpieczne było bowiem właściwie każde stworzenie większe od ziemskiego kociaka.

— Niepokoi mnie coś jeszcze — dodała. — Widziałam na skanerze, że całe jego wnętrze jest ciasno wypakowane elektroniką, sztuczną muskulaturą i receptorami czujników. Ale skąd taki właśnie kształt?

Fletcher nie odpowiedział, a Prilicla poczuł, że kapitan oczekuje rozwinięcia pytania.

— Robotyka to nie moja specjalność — podjęła Murchison. — Ale czy przy budowie podobnych maszyn nie zwraca się zwykle dużej uwagi na ich funkcjonalność? Sądzę, że to tutaj dałoby się zaprojektować lepiej niż z sześcioma kończynami. Mogłoby mieć znacznie więcej wyspecjalizowanych manipulatorów i czujniki osadzone na całym obwodzie zamiast jedynie w obrębie imitacji twarzy. Gdyby było to organiczne, otrzymałoby klasyfikację CHLI. Wydaje się zresztą, że maszyna jest wzorowana na takiej właśnie istocie. I to mnie zastanawia. Dlaczego techniczna inteligencja miałaby kopiować organiczny wzorzec?

— Przykro mi, proszę pani, ale nie znam odpowiedzi — przyznał kapitan. — Mogę tylko zgadywać.

— Czyli? — spytała Murchison, kiwając głową.

— To również nie moje poletko, ale sądzę, że wyjaśnieniem może być różny przebieg ewolucji organicznego życia i ewolucji maszyn. Pomijając spojrzenie religijne, można powiedzieć, że życie powstaje jako skupisko komórek, które potrzebują kilku milionów lat, aby w procesie adaptacji i rywalizacji rozwinąć inteligencję. Maszyny nie powstają w ten sposób, niezależnie bowiem od danego im czasu używany przez małpę kawałek kija nie zmieni się sam z siebie w superinteligentny komputer. Do tego potrzebna jest interwencja z zewnątrz. Ktoś musi zbudować maszynę, przenosząc na nią własne cechy. Dopiero później może się zacząć jej własna mechaniczna ewolucja. To oczywiście tylko spekulacje, ale niewykluczone, że istoty, które stworzyły tę tu maszynę i obdarzyły ją samoświadomością, przekazując jej równocześnie część swojej pamięci gatunkowej i nadając ten szczególny kształt, to były właśnie CHLI. Druga możliwość jest taka, że mechaniczna rasa przybrała taką właśnie postać z wdzięczności dla swych twórców.

— Czy uważa pan, że ta istota mogłaby uszkodzić czy, inaczej, unieruchomić statek kosmiczny? — spytał prilicla.

— Nie — odparł Fletcher zdecydowanie. — W każdym razie nie bezpośrednim działaniem.

Wprawdzie zbudowana jest z metalu, ale jej manipulatory zostały zaprojektowane do lekkich i precyzyjnych prac, nie do walki. Chociaż podobnie jak palce Ziemian nadawałyby się pewnie do obsługi różnych systemów broni. Będę zwracał na to uwagę podczas przeszukiwania wraku, na razie jednak wszystko zdaje się sugerować, że nasz mały przyjaciel był już martwy, gdy znalazł się na pokładzie, a jego obrażenia nie są na tyle rozległe, aby mogła je spowodować ręczna broń używana przez Korpus Kontroli. A teraz, jeśli pozwolicie — dodał, rozglądając się po zrujnowanym wnętrzu — zajmę się badaniem tego większego i wcale nie obcego nieboszczyka.

Prilicla uruchomił pas antygrawitacyjny i poleciał do centrali, Murchison zaś została z kapitanem, aby pomóc mu przy oględzinach szczątków i zaspokoić przy okazji ciekawość.

Oboje mieli doświadczenie w penetracji wraków i żadne nie uważało tego zadania za zbyt ryzykowne.

Gdy dołączyli do Prilicli, uniesione brwi oficera i ich silne napięcie emocjonalne zdradzały skrajne zdumienie.

— Zupełnie tego nie rozumiem — powiedział, wskazując na statek za sobą. — Pomijając zniszczenia związane z wejściem w atmosferę, wszystkie układy statku, także napęd, nawigacja czy system podtrzymywania życia, nie noszą śladów żadnych uszkodzeń. Dlaczego jeden z nich musiał przejść na rufę, aby ręcznie uruchomić silniki? Tutaj musi kryć się odpowiedź.

— Także na pytanie, dlaczego chcieli, abyśmy trzymali się z daleka — dodał Prilicla.

— Owszem, doktorze — mruknął Fletcher. — Dziękuję za przypomnienie, które nie było chyba jednak konieczne. Patolog Murchison stwierdziła wcześniej, że poza poważnymi oparzeniami i wywołanym nimi wstrząsem pacjenci nie cierpią na nic więcej. Gdy tu lecieliśmy, wspomniała także, iż brak na pokładzie szkodliwych patogenów. Wykryła jedynie zwykłe i niegroźne ziemskie mikroby, które załoga przyniosła ze sobą, oraz garść miejscowych okazów. Nimi jednak nie musimy się przejmować, gdyż trafiły do wraku dopiero po lądowaniu i z racji gatunkowej bariery nie mogą zakażać obcych. Zgadzam się, że należy zachować ostrożność, ale na pewno nie musimy dłużej nosić hermetycznych ubiorów ochronnych. Nie widzę też uzasadnienia dla dalszego przetrzymywania pacjentów w szpitalu polowym, który jest znacznie skromniej wyposażony niż pokład medyczny *Rhabwara.* Nic nam tu nie zagraża.

— Miło jest być tak pewnym swego — rzuciła Murchison.

— Przyjacielu Fletcher — odezwał się szybko Prilicla, obawiając się eskalacji konfliktu. — Bez wątpienia trafnie opisał pan sytuację, ale mój wrodzony brak odwagi i niechęć do ponoszenia ryzyka podpowiadają mi, aby nie rezygnować ze wszystkich środków ostrożności.

Proszę więc wyświadczyć mi tę uprzejmość i pozwolić je zachować.

Kapitan pokiwał głową i ze spokojem wrócił do analizowania tego, co widział wkoło.

Uważnie zbadał wszystkie znajdujące się jeszcze w centrali konsole i nagrał ich obraz wraz ze swoimi komentarzami. Prilicla i Murchison uważnie śledzili jego działania, wyjąwszy kilka minut, które poświęcili na wysłuchanie raportu Naydrad na temat stanu zdrowia pacjentów.

Poczynania Fletchera kojarzyły im się z autopsją, niemniej Prilicla zawsze lubił obserwować fachowców przy pracy i wiedział, że Murchison podziela jego odczucia. W końcu robota dobiegła końca i kapitan spojrzał na nich oczami, w których malowały się dwa wielkie znaki zapytania.

— Nadal nic mi nie pasuje — powiedział. — Główny i rezerwowy komputer przestały działać, co nie powinno się zdarzyć. Są bardzo wytrzymałe i dobrze zabezpieczone przed fizycznymi uszkodzeniami i awariami. Zwykle wychodzą cało nawet z poważnych katastrof.

Pełnią przecież tę samą funkcję co czarne skrzynki w statkach powietrznych i w razie problemów pozwalają na odtworzenie dokładnego biegu zdarzeń. Tutaj jednak nie zaszło nic osobliwego poza tym, że komputery wysiadły. Przedziwne. Przy tylu zabezpieczeniach to po prostu niemożliwe... — Zamilkł na chwilę i nagle coś przyszło mu do głowy. Na tyle ważnego i emocjonującego, że Prilicla aż zadrżał. — Czy myślicie o tym, co ja? — spytał.

— Nie jesteśmy telepatami, przyjacielu Fletcher — odparł spokojnie Prilicla. — Musisz powiedzieć, o co ci chodzi.

— Wolałbym na razie nie mówić niczego głośno — stwierdził kapitan. — Na wszelki wypadek, aby nie wyjść na głupca. — Sięgnął do torby z wyposażeniem i wskazał na konsolę, która nosiła tylko niewielkie ślady udaru cieplnego. — Ta może jeszcze być w miarę sprawna.

Sprawdzę to testerem obwodów. Ma mały ekran, tak więc musicie się przysunąć, aby cokolwiek zobaczyć. Ale nie dotykajcie go i nie pozwólcie, aby jakiekolwiek urządzenia z waszych skafandrów się z nim zetknęły. To bardzo ważne.

— Oczywiście, przyjacielu Fletcher.

— Świetnie to rozumiemy — dodała Murchison.

Kapitan zdjął pokrywę konsoli, odsłaniając wijące się pod nią przewody.

Przymocował tester magnesem do ścianki, wysunął ze środka jedną z sond i wziął się do pracy. Murchison i Prilicla obserwowali go z rosnącą ciekawością. Chociaż chodziło tylko o maszynę, nie o żywego pacjenta, ruchy Fletchera były nader precyzyjne i ostrożne.

Mijały minuty, a ekran urządzenia pozostawał ciemny, nagle jednak zamigotał, ukazując jakiś diagram. Kapitan pochylił się nad nim. Wyczuwało się w nim skrajną koncentrację.

— Jestem w głównym komputerze — powiedział. — Tam coś jest. Nie poznaję co, ale...

Co, u diabła?!

Obraz rozmył się, zastąpiony przypadkowo generowanymi liniami i figurami, które wypływały ze wszystkich stron. Chwilę później i one zniknęły. Ekran pokrył śnieg. Kapitan zaklął i poruszył kilkoma kontrolkami — bezskutecznie. Zgasła nawet zielona lampka zasilania.

Prilicla wyczuł coś, co poważnie go zaniepokoiło.

— Co się stało, przyjacielu Fletcher? Co cię nurtuje?

— Tester wysiadł — stwierdził kapitan i nagle chwycił urządzenie w obie ręce, uniósł je wysoko nad głowę i roztrzaskał o pokład. — Właśnie tego się obawiałem. A żeby to.

— Spokojnie, kapitanie — powiedziała Murchison, chociaż sama była zirytowana i zdumiona. Pochyliła się, aby pozbierać szczątki urządzenia.

— Nie! — zaprotestował energicznie Fletcher. — Proszę trzymać się od tego z daleka.

Zapewne nie jest dla nas groźny, chociażby dlatego, że już nie działa, ale lepiej będzie nie dotykać go dopóki, dopóty nie dowiemy się, jak do tego wszystkiego doszło.

— Do czego doszło? — spytał ostrożnie Prilicla, wyczuwając narastające w kapitanie stres, strach i zagubienie.

W wypadku Fletchera było to coś na tyle niezwykłego, że nawet Murchison zapomniała o ironii i zaczęła patrzeć na kapitana jak na potencjalnego pacjenta. Ten nie zdążył jednak niczego wyjaśnić, gdyż niespodziewanie zgłosiła się Naydrad.

— Doktorze Prilicla — powiedziała. — Jeden z rannych, ostatni, którego pan przysłał, odzyskał częściowo przytomność. Sądząc po jego zachowaniu, to chyba kapitan *Terragara.*Jest bardzo pobudzony, mówi niewyraźnie i od rzeczy. I mimo unieruchomienia próbuje przeszkodzić nam w podaniu zastrzyku uspokajającego. Czy mógłby pan z nim porozmawiać? Możemy pana połączyć ze szpitalem. Albo może zjawiłby się pan tu osobiście, aby zbadać jego emocje?

Nim jeszcze Naydrad skończyła mówić, Prilicla poczuł dreszcze wywołane wizją działań ciężko poparzonego i oprzytomniałego pacjenta, którymi szkodził sam sobie.

— Oczywiście, przyjaciółko Naydrad. Porozmawiam z nim w czasie lotu powrotnego.

Jeśli to kapitan, powinniśmy mieć jego dane w katalogu *Rhabwara.* Proszę sprawdzić. Ta wiedza przyda mi się podczas rozmowy.

— Nie trzeba — wtrącił się Fletcher. — Znam go. Sam z nim porozmawiam.

— Co w pana wstąpiło, kapitanie? — spytała wcale już nie spokojna, ale wściekła Murchison. — To kliniczny problem. Wkracza pan w cudze kompetencje.

Twarze obojga spłonęły czerwienią, ale gniew kapitana szybko złagodniał.

— Przeprasza panią, ale obecnie to moja sprawa — powiedział z chłodną pewnością siebie. — Chwilowo jestem jedyną osobą, która wie, co tu się dzieje.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kapitan nie pozwolił, aby współczucie i troska o rozbitka wpłynęły na jego zachowanie czy ton głosu, a Prilicla musiał przyznać, że Fletcher świetnie poradził sobie w tej niezwykłej sytuacji.

— Kapitanie Davidson — zaczął. — George, mówi Don Fletcher. Udało nam się posadzić twój statek na morzu i uratować załogę. Odnieśliście poważne oparzenia, ale uwierz mi, poza tym nic wam nie grozi. Podobnie jak i nam...

Drżąc, Prilicla pomyślał, że żadna inteligentna istota nie powinna doznawać podobnie bolesnych rozterek, a zwłaszcza już szukać właściwych słów, aby przebić się przez cudze pokłady cierpienia. Nawet twarz kapitana, zwykle różowa, wydawała się teraz szarawoblada.

— Uspokój się, George — mówił dalej kapitan. — Proszę, przestań się miotać na noszach i pozwól podać sobie lekarstwo. Nie wysilaj się, aby natychmiast coś powiedzieć. Wiemy, co cię niepokoi i przed czym chcesz nas ostrzec. Doceniamy twoje starania. Teraz jednak daj sobie chwilę i posłuchaj mnie...

Kapitan Davidson nadal podejmował desperackie próby wykrztuszenia czegoś z siebie i raczej nie zamierzał słuchać, ciągle jednak nie udawało mu się ułożyć zbornego komunikatu, co było jasne nawet dla tych słuchaczy, którzy nie znali jego języka. Poziom strachu i przekonanie o pilności sprawy nie malały w nim ani na chwilę.

— Widzieliśmy waszą gestykulację i wiemy, co chcieliście nam przekazać, stojąc w centrali — powiedział Fletcher. — Czuliśmy wasze emocje — dodał, zerkając na Priliclę. — Nie dopuściliśmy więc do jakiegokolwiek fizycznego kontaktu *Rhabwara* z *Terragarem* czy obcym statkiem i tak pozostanie do chwili, gdy w pełni zrozumiemy naturę zagrożenia.

Obecnie *Rhabwar* znajduje się w bezpiecznej odległości od szpitala polowego, który dla was rozłożyliśmy, ale i od szczątków twojego statku. Doceniamy, że chcieliście nas ostrzec i ocalić nawet za cenę własnego życia, ale obecnie wiemy już, o co chodzi, i nie uważamy, aby obcy statek mógł nam zagrozić.

Prilicla wyczuł wahanie emocjonalne pacjenta. Chwilę później Danalta potwierdził jego wrażenie.

— Pacjent trochę się uspokoił — powiedział zmiennokształtny, nie odrywając wzroku od rozbitka. — Nie próbuje już mówić, chociaż czujniki informują nadal o dużym napięciu mięśni i podwyższonym ciśnieniu krwi. Chyba dociera pan do niego, kapitanie. Nie rozumiem ani jednego słowa z pańskich wyjaśnień, ale proszę nie przestawać.

— Z tego, co dotąd udało nam się ustalić, przypuszczamy, że obcy robot unosił się w przestrzeni obok obcego statku i wzięliście go na pokład, przekonani, że macie przed sobą rozbitka albo coś mogącego dostarczyć informacji o nowej formie życia, jaką zdarzyło wam się napotkać — powiedział kapitan, ignorując komplement i starając się jednocześnie wyjaśnić to i owo Danalcie. — Gdy tamci nie odpowiadali na wasze sygnały, wysłaliście w ich kierunku komunikator, który przylgnął do ich kadłuba. Miał wykryć ślady życia albo poruszenia w kadłubie i dać namiary na rozbitków. Zamiast danych przewodem napłynęło jednak coś, co obezwładniło *Terragara.* Krótko mówiąc, tamta jednostka nie stwarza zagrożenia dla żywych istot, niszczy jednak wszystkie urządzenia elektroniczne, z którymi wejdzie w kontakt. Cóż, trafił wam się tym razem naprawdę gorący ziemniak, George, teraz jednak to już nasze zmartwienie. Tak więc uspokój się i zaśnij. Nie musisz się już martwić.

Minęło kilka minut, nim ktokolwiek się odezwał. Prilicla wyczuwał u swoich ludzi narastające zdumienie i zaciekawienie. Wyglądało też na to, że kapitan Davidson ponownie odpływa w nieświadomość.

— Pacjent reaguje na leki uspokajające — zauważył. — Jego stan ponownie się stabilizuje.

Dziękuję, przyjacielu Fletcher.

— Zaiste — dodała Murchison z wyraźną ulgą. — Dobra robota, kapitanie. — Spojrzała na rozbity tester. — Teraz wiemy, dlaczego zareagował pan tak gwałtownie. Zapewne zrobiłabym to samo.

Prilicla wyczuł w kapitanie cień wdzięczności, ale i silne zakłopotanie.

— Czy mamy już dość informacji, aby wysłać meldunek? — spytał.

— Dość, jeśli chodzi o los *Terragara* — odparł Fletcher. — Chciałbym jednak przekazać coś więcej. Skoro i tak musimy wejść na orbitę, aby nawiązać łączność, chciałbym najpierw przyjrzeć się obcemu statkowi. Spokojnie, nie zamierzam wysyłać kolejnej sondy ani inaczej go dotykać. *Rhabwar* wróci za trzy do czterech godzin. Pańska obecność nie będzie niezbędna, doktorze. Ostatecznie tym razem chodzi raczej o chore maszyny.

— Owszem, przyjacielu Fletcher, ale ponieważ dotyczy to również miejsca katastrofy, kierownik zespołu medycznego powinien być obecny podczas tego badania niezależnie od tego, z jakimi ofiarami mamy do czynienia. Obawiam się, że muszę nalegać w tej sprawie.

Prilicla wyczuł sprzeciw reszty zespołu medycznego, lękającego się o bezpieczeństwo przełożonego i kolegi. Uspokoił więc ich, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, uprzedzając jednocześnie także protest kapitana:

— Bez obaw. Na pewno nie podejmę nieuzasadnionego ryzyka i nie pozwolę przyjacielowi Fletcherowi, aby się narażał. Czy sugerujecie zastosowanie jakichś procedur dekontaminacyjnych, zanim wejdę na pokład *Rhabwara?*Murchison i Fletcher spojrzeli po sobie, a ich emocje przesunęły się w stronę niechętnej akceptacji nieuniknionego.

— Moim zdaniem starczy zwykła procedura odkażania podczas przejścia przez śluzę — uznał kapitan. — Chociaż sądzę, że i to jest niepotrzebne. Ale strzeżonego... — Wskazał na rozbity tester. — No i oczywiście proszę nie wnosić na pokład żadnych wirusów komputerowych.

###### \* \* \*

Wprawdzie obcy statek lśnił niczym czysty diament i miał bardzo zgrabną sylwetkę, która sugerowała, że musiał wystartować wprost z powierzchni planety, załoga *Rhabwara* nazwała go *Plagą.* Jako obsługiwany wyłącznie przez maszyny w środku powinien się prezentować równie elegancko, pomyślał Prilicla, obserwując w iluminatorze rosnący kadłub jednostki. No i będzie czysty, zatem prawdziwego zagrożenia epidemicznego nie stworzy. Zbliżyli się na dwieście metrów i zaczęli okrążać jednostkę w poziomie. Z bliska dostrzegli wyraźnie dwa niewielkie kratery w poszyciu oraz otwarty właz, z którego wystawały fragmenty jakiegoś uszkodzonego przez udar termiczny wyposażenia.

— Jest w tych uszkodzeniach coś dziwnego — powiedział kapitan. — Chętnie przyjrzałbym się im dokładniej albo i zbadał je rękami. Ale oczywiście tylko myślę głośno.

Jak sądzicie, czy byłoby ryzykowne, gdybym podleciał do niego w skafandrze, nie dotykając niczego urządzeniami elektronicznymi, a nawet nie pozwalając na kontakt metalowych części ubioru z kadłubem? Oznaczałoby to wycieczkę bez broni, ale to akurat normalna procedura w wypadku pierwszego kontaktu. Na ten dystans nie potrzebowałbym specjalnej anteny do utrzymywania łączności, wziąłbym też nieprzewodzące rękawice i izolowane osłony na buty...

— Przepraszam, że przerywam, przyjacielu Fletcher, ale wyczuwam w panu narastającą ciekawość — odezwał się Prilicla. — Sam chętnie obejrzałbym tamten statek z bliska. Mimo że chodzi o nieorganiczny rodzaj infekcji, to obecność doradcy medycznego byłaby na miejscu.

Kapitan zastanowił się chwilę i wydał z siebie szczekliwy dźwięk, który był ziemskim odpowiednikiem śmiechu.

— Racja. Ale skłonny jestem sądzić, że gdyby patolog Murchison tu była, szybko zbiłaby pańskie argumenty i musiałbym jeszcze sporo się nasłuchać o tym, jak to gotów jestem narażać pana na ryzyko. Chen?

— Sir — odezwał się wachtowy.

— Zamierzamy zmniejszyć dystans do dwudziestu metrów. Bardzo powoli. Ale bądź gotów do szybkiego wyciągnięcia nas stamtąd.

Zanim Fletcher i Prilicla wbili się w skafandry i przeszli w pobliże śluzy osobowej *Rhabwara,* mały empata miał sporo czasu, aby zastanowić się raz jeszcze nad swoją decyzją.

Bez trudu jednak odrzucił wszystkie „nie”, głównie za sprawą zapisów edukacyjnych, które ciągle nosił w głowie.

Obcy statek unosił się teraz majestatycznie jakieś trzydzieści metrów od nich. Nie próbowali wyhamować jego obrotów wokół osi wzdłużnej z obawy, że wiązka mogłaby stać się pomostem dla komputerowej infekcji. Gdy wystartowali w jego kierunku, poczuli się jak drobne owady uwięzione między ścianami dwóch potężnych kadłubów i ciemną wstęgą rozgwieżdżonego kosmosu w górze oraz szarawym dywanem zachmurzonej powierzchni planety w dole.

Za pomocą silniczków manewrowych skafandrów wyhamowali trzy metry od otwartego włazu. Po chwili wahania Fletcher podleciał bliżej i złapał jedną ręką za wystającą metalową część.

— Żadnych negatywnych skutków — zameldował na potrzeby rejestracji. — Mechanizm zamontowany we wnętrzu wydaje się prostym wysięgnikiem z ruchomą częścią zewnętrzną, która może obracać się w obu płaszczyznach o sto osiemdziesiąt stopni. Na samym końcu znajduje się mechaniczny chwytak. Wygląda na proste urządzenie ułatwiające wyjście w próżnię. Nosi też ślady działania wysokiej temperatury...

Podczas gdy kapitan relacjonował wszystko ze szczegółami, Prilicla czekał, aż powolny obrót statku zbliży ich do obu przypominających kratery otworów. Sterując precyzyjnie silniczkami, zawisł dwa metry pod uszkodzonymi miejscami. Nie był w tej dziedzinie ekspertem, ale zdołał zauważyć, że chociaż oba ślady spowodował zapewne ten sam czynnik, efekty były w każdym przypadku mocno odmienne.

Pierwszy krater był zwykłym okrągłym zagłębieniem o głębokości równej zapewne połowie średnicy oraz wgniecionym i stopionym przez wysoką temperaturę wnętrzu. Drugi był o wiele płytszy i chociaż też musiał powstać na skutek uderzenia, brak było w nim śladów impulsu termicznego. Pokryty też był rysami, w których dawały się dostrzec drobiny jakiegoś srebrzystego metalu. Prilicla był przekonany, że chodziło tu o inny materiał niż wykorzystany do uformowania poszycia. Przyjrzał się jeszcze dokładniej zadrapaniom, aby nabrać pewności.

— Przyjacielu Fletcher. Mam tu coś dziwnego. Dobrze byłoby, gdybyś rzucił na to okiem.

— Pomieszczenie zaraz za włazem też wygląda dziwnie — powiedział kapitan, dołączając do Prilicli i spoglądając na wskazane miejsce. — Ale najpierw zajmijmy się tym, co pan znalazł. Co powinienem obejrzeć?

— Chodzi mi o różnice pomiędzy tymi kraterami — odparł Prilicla. — Jak pan widzi, ten drugi jest płytszy i powstał chyba tylko na skutek uderzenia, a nie działania wysokiej temperatury. Poza tym zostały w nim drobiny jakiegoś jasnego metalu, który wydaje się tutaj obcy. Całkiem jakby jakiś duży metalowy obiekt uderzył w poszycie. Rozmiary i kształt zagłębienia budzą we mnie pewne skojarzenia.

— Ma pan chyba mikroskopy zamiast oczu, doktorze — mruknął Fletcher. — Ale jakie to skojarzenia? Ledwie dostrzegam to, o czym pan mówi, i poza tym nic mi się nie nasuwa.

— Nie mogę mieć pewności, przyjacielu Fletcher, ale wygląd tego krateru i znajdujące się w nim ślady skłaniają mnie do przypuszczenia, że został on zrobiony przez robota znalezionego na pokładzie *Terragara.* Uszkodzenia tamtej maszyny pasowałyby do widocznego tutaj obrazu zniszczenia. To, co wypaliło większy krater — czy w wyniku przypadkowej eksplozji, czy wskutek działania jakiejś broni — musiało równocześnie odrzucić robota w ten sposób, że uderzył w poszycie. W tym właśnie miejscu. Był może próbował bronić statku przed nieznanym nam zagrożeniem. Nie był więc zapewne stroną atakującą, a w tej sytuacji zachowanie tego statku wobec *Terragara* mogło wynikać z paniki wywołanej wcześniejszymi przejściami, ale i z nieporozumienia.

— Może pan mieć rację — powiedział kapitan. — Nie wiem jednak, czy nie usprawiedliwia ich pan ponad miarę... — Sięgnął po coś do pasa. — Proszę złapać mój plecak i ustabilizować mnie, korzystając ze swoich silniczków. Pobiorę próbkę...

— Przyjacielu Fletcher!

— Spokojnie, doktorze. — Kapitan z dużą pewnością siebie wydobył z torby krótki śrubokręt z szerokim ostrzem. — To zbyt proste narzędzie, aby wirus komputerowy mógł mu coś zrobić. A niech to... Dziwne.

Ostrze śrubokręta przebiło nagle poszycie, wydzierając z niego wąski trójkątny kawałek. Zewnętrzna warstwa kadłuba okazała się zdumiewająco cienka i słaba. Pod spodem widać było przebiegające w nienagannym ładzie obwody. Zapakowawszy pierwszą próbkę, kapitan sięgnął jeszcze po izolowane pudełko, aby zabrać również fragment poszycia. Emocje Fletchera zdradzały jednak, że jeszcze coś chodzi mu po głowie.

— Mam wrażenie, że i pan znalazł coś ciekawego, przyjacielu Fletcher — powiedział Prilicla. — Co to jest?

— Nie wiem — odparł oficer i schował starannie obie próbki. — Zdążyłem tylko rzucić okiem do środka. Za włazem ciągnie się długi, wąski i chyba pusty korytarz. Łatwiej będzie mi go panu pokazać. Miejsca starczy dla nas obu, a pańskie światło czołowe pomoże się rozejrzeć i w razie czego ułatwi nam odwrót.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Blask reflektorów ukazał im wiodący w głąb kadłuba korytarz z wystającą z jednej strony wielką półkolistą strukturą, częściowo odkształconą, której metalowa obudowa nosiła ślady odbarwienia świadczące o działaniu wysokiej temperatury. Poza nią przejście było w gruncie rzeczy trójwymiarową i chyba niemetaliczną ramą z rozpiętymi na wszystkich czterech płaszczyznach sieciami. Trzydzieści metrów dalej natrafili na kolejną podobną konstrukcję przecinającą korytarz pod kątem prostym. Gdy stopa kapitana trąciła lekko sieć, całe przejście zadrgało, ale szybko ponownie zastygło w bezruchu.

— Te sieci mówią coś bardzo ważnego na ich temat — powiedział Fletcher zarówno do Prilicli, jak i z myślą o nagraniu. — Nie znają sztucznej grawitacji. Proszę też spojrzeć na wewnętrzną konstrukcję kadłuba. Jest tak lekka, że przypomina ziemskie sterowce. One też miały cienką powłokę, delikatną strukturę nośną i opływową sylwetkę, która ułatwiała im poruszanie się w atmosferze.

— Ta powłoka przypomina jeszcze wielofunkcyjny czujnik — dodał Prilicla.

— Owszem — przyznał Fletcher i wskazał na cylindryczny obiekt w pobliżu. — Chętnie przyjrzę mu się później. Sądząc po kształcie i rozmiarach, to może być jeden z dwóch sparowanych generatorów nadprzestrzennych. To właśnie one musiały doznać awarii, przypadkowej albo będącej skutkiem umyślnego działania, która zaowocowała wysłaniem odebranych przez nas sygnałów.

Kapitan skierował obiektyw kamery na domniemany moduł napędowy, a Prilicla oświetlił to miejsce.

— Widzę jeszcze kilka podobnych obiektów — podjął Fletcher. — Wszystkie są masywne i o złożonych kształtach, z wieloma wystającymi elementami, które bez dwóch zdań wymagały ukrycia w opływowym kadłubie. Wydają się połączone pajęczyną wsporników oraz krótkimi odcinkami otwartych przejść, podobnych do tego, w jakim teraz jesteśmy.

Właz, którym weszliśmy i który może nie być jedyną drogą dostępu do wnętrza, był prostą konstrukcją. Nie był przy tym hermetyczny i nigdzie nie dostrzegamy niczego, co przypominałoby śluzę. Chociaż trzeba stwierdzić, że załoga złożona z inteligentnych robotów nie potrzebowałaby powietrza. Z tego, co widzimy, na razie nic nam nie zagraża, zamierzamy więc wejść głębiej. Doktorze, może chciałby pan pozostać tutaj, aby w razie niespodziewanych problemów móc szybciej się ewakuować?

Prilicla milczał przez chwilę, podczas gdy imperatyw ewolucyjny jego rasy walczył o lepsze z ciekawością. Ostatecznie dziedzictwo przodków okazało się słabsze.

— Chciałbym tu zostać, ale nie zostanę — powiedział empata. — Prowadź, przyjacielu Fletcher.

Kapitan powstrzymał się od komentarza, ale jego odczucia nie pozwalały wątpić, że nie był zachwycony zmianą w zachowaniu Prilicli.

Powoli i przystając co chwilę, aby skierować kamerę na różne obiekty, które wydawały się Fletcherowi potencjalnie istotne, ruszyli w głąb statku. Kapitan chłodnym i spokojnym głosem komentował wszystko.

Światło reflektorów ukazywało pęki kabli biegnące między większymi i mniejszymi modułami. Niektóre przewody były podczepione do otoczonych siatkami kratownic, wszystkie zaś były kolorowe, co sugerowało, że budowniczowie statku odróżniali barwy i zwykli oznaczać w ten sposób różne łącza. Zastosowane odcienie pozwoliły ustalić, że spektrum ich widzenia mieściło się pomiędzy ziemskim a właściwym empatom z Cinrussa.

Gdy doszli do wielkiego bloku z dwoma włazami i łatwym do zauważenia panelem kontrolnym, ciekawość kapitana urosła na tyle, że Prilicla poczuł się w obowiązku wygłosić ostrzeżenie.

— Nie, przyjacielu Fletcher — powiedział. — Oglądamy, ale nie dotykamy.

— Wiem, wiem — mruknął oficer z lekką irytacją. — Jak jednak inaczej dowiedzieć się, co to jest i jaką funkcję pełni? Nie wierzę, aby te istoty, niezależnie od tego, czy są robotami czy nie, wyposażyły każdy właz i panel w wirusowe pułapki. Nie miałoby to sensu.

Konsekwencją byłyby nieustanne wypadki z udziałem załogi.

— Roboty mogą być odporne na wirusy.

— Trafna uwaga — przyznał kapitan. — Na razie jednak ich nie spotkaliśmy. Przebywają w kabinach? Jeśli tak, to jak może wyglądać kabina mieszkalna robota?

Zamilkł na dłużej. I odezwał się ponownie dopiero, gdy doszli do kolejnego korytarza, który kończył ich przejście i biegł w obie strony. Wędrowały nim również setki kabli, co sugerowało, że chodzi o główną magistralę statku. Nie była jednak szersza niż inne przejścia.

A to sugeruje, pomyślał Prilicla, że ruch nigdy nie jest tutaj duży. Albo że załoga jest bardzo nieliczna.

— Musimy się dowiedzieć, do czego ten statek został zaprojektowany — powiedział nagle Fletcher. — poza paraliżowaniem innych jednostek, oczywiście, dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy sprawdzić jego potencjał bojowy oraz — jeśli to wykonalne — kto i czym go zaatakował. Następnym razem zabiorę coś bardziej złożonego niż śrubokręt. Sądzę, że detektor radiacji mógłby tu pracować, byle tylko niczego nim nie dotykać...

— Przyjacielu Fletcher — wtrącił się Prilicla. — Czy mógłbyś zamilknąć na chwilę i stanąć?

Kapitan otworzył usta, ale zamknął je, nie wypowiedziawszy ni słowa. Zamarł, lecz ciekawość i zdumienie otaczały go coraz gęstszym emocjonalnym obłokiem.

— Już dziękuję, przyjacielu Fletcher, przynajmniej na kilka minut — stwierdził w końcu Prilicla, wskazując promieniem światła przed siebie. — Wyczułem lekkie drgania siatki, które nie zostały raczej wywołane przez nas. Chciałem to sprawdzić. Rzeczywiście to nie my. Coś przemieszcza się w naszym kierunku od strony dziobu. Nie jest jeszcze widoczne, ale powinniśmy się chyba wycofać...

— Najpierw chciałbym rzucić na to okiem — odparł Fletcher. — Proszę jednak stanąć za mną, na wypadek gdyby przybysz okazał się wrogiem. Albo najlepiej od razu wrócić na *Rhabwara.*Spokój Fletchera, który w ogóle nie czuł strachu, wpłynął pozytywnie na Priliclę.

Schował się wprawdzie za kapitana, ale nie odszedł dalej niż na kilka metrów.

Drgania były coraz silniejsze i nagle w ich pole widzenia wpłynął spłaszczony owoid, przypominający unoszącą się w próżni wielką kroplę rtęci. Sześć manipulatorów z wprawą czepiało się sieci, przesuwając istotę do przodu. Zatrzymała się z dziesięć metrów od nich.

Bez wątpienia chciała im się przyjrzeć.

— Przyjacielu Fletcher — powiedział Prilicla. — Nie sięgaj po nic. Każde narzędzie może zostać uznane przez niego za broń. I nie ruszaj się, aby nie pomyślał, że mu zagrażamy.

— Znam procedury kontaktowe, doktorze — odparł kapitan z irytacją. Powoli puścił sieć i wysunął puste ręce przed siebie.

Wydało im się, że cała wieczność minęła, nim robot zareagował. W rzeczywistości zrobił to po jakichś dziesięciu sekundach, obracając się o dziewięćdziesiąt stopni i kierując w stronę obcych dolną albo tylną stroną kadłuba. Wszystkie kończyny wczepił mocno w siatkę.

— Nie wydaje się uzbrojony, a jego działanie nie jest otwarcie wrogie — powiedział kapitan, oglądając się przez ramię. — Wyraźnie nie chce jednak, abyśmy szli dalej. Co jednak robi reszta załogi? Odcina nam drogę odwrotu?

— Nie, przyjacielu Fletcher. Czuję, że...

— Czy chce pan powiedzieć, doktorze, że odbiera pan jakieś emocje tej istoty?

— Ponownie nie — odparł Prilicla spokojnie. — Mam na myśli wrażenie, które nazywa się czasem przeczuciem. Chcę powiedzieć, że moim zdaniem spotkaliśmy właśnie połowę załogi tego statku. Druga leży zniszczona na *Terragarze.* Obie istoty różnią się nieco w sposób sugerujący, że pierwszy osobnik był rodzaju męskiego, tutaj zaś mamy do czynienia z żeńskim...

— Chwilę, chwilę — przerwał mu kapitan nieco zdumiony, ale i rozbawiony. — Sugeruje pan, że te maszyny są na tyle złożone, iż mogą rozmnażać się płciowo? Z użyciem metalicznej spermy z nieorganicznym odpowiednikiem DNA? To byłoby kuriozum! Nie sądzę, aby nawet najbardziej inteligentne roboty praktykowały seks. Nie widzę zresztą niczego, co przypominałoby organy płciowe.

— Ja też nie — zgodził się Prilicla. — To kwestia niewielkich różnic w masie ciała i ogólnej sylwetce. Ten osobnik wydaje się drobniejszy i ma więcej wdzięku. Teraz jednak chciałbym prosić cię o coś, przyjacielu Fletcher. A właściwie o kilka rzeczy.

Kapitan nie odezwał się, chociaż jego emocje dalekie były od wyciszenia.

— Po pierwsze, chciałbym, abyś ruszył powoli do przodu, aż zbliżysz się do niej na połowę dystansu. Ja będę obserwował jej reakcję.

Kapitan zrobił, o co go poproszono.

— Nie przemieścił się, chociaż mam wrażenie, że mocniej złapał się siatki. Bez dwóch zdań nie chce nas przepuścić. Co teraz?

— Proszę przesunąć się za mnie — powiedział Prilicla. — Być może uważa pana za źródło zagrożenia, nawet jeśli nie podjął pan żadnych wrogich działań. Ostatecznie jest pan dwa razy większy od niego i ma grube i długie kończyny, całkiem inne od jego konstrukcji. Ja też wyglądam inaczej, ale nie sądzę, aby ktokolwiek mógł uznać mnie za niebezpiecznego. Mam tylko nadzieję, że nie zechce mnie skrzywdzić. Tak czy siak, gdy już się pan cofnie, proszę wrócić na *Rhabwara —* dodał empata, zanim kapitan zdążył się odezwać. — Proszę też odsunąć statek. Pół mili powinno wystarczyć. Dam znać, kiedy po mnie wrócić. Na pewno nie potrwa to długo, bo jestem już bardzo zmęczony.

Kapitan zdumiał się niepomiernie i na tyle zaniepokoił, że Prilicla aż zadrżał pod wpływem jego emocji.

— Przyjacielu Fletcher — powiedział zdecydowanie. — Potrzebuję całkowitego wyciszenia emocjonalnego tego statku. Twoja obecność to uniemożliwia.

Kapitan westchnął tak głęboko, że w słuchawkach zaszumiało im przez chwilę jak podczas wichury.

— Chce pan pozostać tu całkiem sam, bez ochrony? Naprawdę mam pana zostawić, aby mógł pan wyczuć emocje tej maszyny? Z całym szacunkiem, doktorze, ale chyba postradał pan zmysły. Jeśli się zgodzę, patolog Murchison żywcem mnie wypatroszy.

Prilicla spotkał się już z tą figurą stylistyczną i znał jej znaczenie.

— Trudno. Nie ma pan wyboru, kapitanie. Jesteśmy na miejscu katastrofy i tutaj to ja dowodzę.

Emocje kapitana zaczęły słabnąć, w miarę jak wycofywał się przebytą dopiero co drogą. Potem wystartował w stronę *Rhabwara* i kilka minut później zniknął również delikatny szum wywołany nieodległą obecnością załogi. Prilicla wysunął ostrożnie ramię w stronę obcej istoty.

— Chyba rzeczywiście oszalałem — mruknął sam do siebie.

Dotknął robota w miejscu, gdzie powinna zapewne znajdować się głowa. Miał na sobie izolowane rękawice, chociaż cienkie i niedające wystarczającej osłony przed ewentualnym wyładowaniem elektrycznym, którego podświadomie oczekiwał. Nic podobnego jednak nie nastąpiło.

Prilicla wyczuwał emocje pacjentów, ale tak samo umiał przekazywać sygnały empatyczne innym. Jeśli tylko poszkodowany nie był nazbyt obolały, nierzadko dawało się go dzięki temu uspokoić. To dlatego większość ludzi czuła się dobrze w obecności Prilicli i miał wokół siebie aż tylu przyjaciół. Tym razem skupił się na tym, aby przesłać jak najbardziej jednoznaczny komunikat.

— Nie chcę cię skrzywdzić — powiedział. — Jeśli masz jakiś problem, jesteś chory albo uszkodzony, gotów jestem ci pomóc. Nie przejmuj się moją postacią fizyczna czy postacią istoty, która była tu przed chwilą. Jak i innymi, które możesz jeszcze spotkać. Na pewno wydajemy ci się obcy i możemy budzić lęk, ale wszyscy chcemy dla ciebie jak najlepiej...

Powtórzył ten komunikat kilka razy, potwierdzając go empatycznym przekazem spokoju, współczucia i przyjaźni. W końcu przesunął dłoń ku środkowej części korpusu robota i pchnął go delikatnie.

Maszyna uwolniła nagle cztery spośród sześciu manipulatorów i odsunęła się od Prilicli. Niezbyt daleko, bo zatrzymała się na granicy widoczności, i zaczęła powoli wracać.

Zatrzymała się pięć metrów od empaty i znowu się oddaliła, tyle że tym razem znacznie wolniej.

Chce, abym za nią poszedł, pomyślał Prilicla i zawahał się. W końcu lęk ustąpił i pająkowaty ruszył w ślad za robotem.

Przejście wiodło do masywnej struktury, która zdawała się wypełniać dziobową część statku. Odchodziły od niej liczne wsporniki i korytarze, wszystkie owinięte licznymi wiązkami kabli. Ich kolory sugerowały, że chodzi głównie o połączenia z czujnikami umieszczonymi na poszyciu kadłuba. W pewnej chwili Prilicla zaczął coś odczuwać.

— Czy to ty, czy twój inteligentny kapitan? — zawołał do swojego przewodnika.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale nie przystanął. Na srebrzystej powierzchni maszyny nie było niczego, co przypominałoby narząd mowy, zatem pewnie nie miała jak się odezwać.

Emocje, które odbierał, były bardzo subtelne, niemal na granicy wykrywalności. Z każdą chwilą jednak stawały się coraz wyraźniejsze. Z początku Prilicla nie wiedział, czy są produktem jednego umysłu, czy całej grupy, ostatecznie doszedł do wniosku, że chodzi o dwoje osobników. Obie istoty były pobudzone i zalęknione, chociaż w przypadku jednej towarzyszyło temu zdecydowane zaciekawienie, a drugiej — bliska paniki klaustrofobia typowa dla silnej deprywacji sensorycznej.

Jeśli się nie mylił, żadna z nich nie była cierpiąca ani bliska śmierci, nie oczekiwał też jednak, aby podobne odczucia były udziałem robotów. Aby powiedzieć coś więcej, musiałby bardziej się do nich zbliżyć, to jednak okazało się niemożliwe.

Przejście kończyło się ścianą, zapewnie osłoną modułu, która chroniła gospodarzy.

Obok znajdował się wprawdzie panel z kolorowymi przełącznikami, ale Prilicla nie miał pojęcia, jak otworzyć nim przejście. Ryzykować zaś nie chciał, świadom, jak tragiczne skutki — zarówno dla nich, jak i dla niego — mogłaby mieć pomyłka. Poza tym był już naprawdę zmęczony i nie mógł zostać tu dłużej.

Lęk nie opuszczał go ani na chwilę, ale z jakiegoś powodu nie uznawał tej sytuacji za groźną. Zachował jednak dość rozsądku, aby nie próbować kłaść się na spoczynek w samym środku obcego statku kosmicznego.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdy się obudził, był wypoczęty i zdolny do sprawnego myślenia, ale mimo sporej odległości odebrał również skierowaną pod jego adresem złość kapitana. Wrócił z obcego statku półprzytomny ze zmęczenia i nie miał jak złożyć nawet wstępnego meldunku, czym wystawił cierpliwość przyjaciela Fletchera na ciężką próbę. Jego zniecierpliwienie rosło z każdą chwilą, Prilicla jednak ciągle nie wiedział, co powiedzieć. Jemu samemu odkrycie, jakiego dokonał we wnętrzu tamtej jednostki, wydawało się niewiarygodne. Potrzebował więcej czasu, aby się nad tym zastanowić.

Zachował się więc zgodnie z tym, co podpowiadała mu jego ostrożna natura. Najpierw poleciał na pokład medyczny, aby połączyć się z patolog Murchison i spytać ją o stan rozbitków z *Terragara.*Usłyszał, że kapitan Davidson i jego dwaj ocaleni podkomendni mają się dobrze i reagują pozytywnie na leczenie, które było dostępne w warunkach polowych. Nadal byli jednak pod kroplówką, która utrzymywała ich też w stanie farmakologicznej śpiączki.

Murchison zasugerowała również, że dalsza kwarantanna nie jest już potrzebna i można by ich jak najszybciej przenieść na *Rhabwara,* a najlepiej dostarczyć bez zwłoki do szpitala, gdzie możliwe będzie bardziej zaawansowane leczenie. Swój meldunek zakończyła uwagą, że nawiązywanie kontaktu z grupą inteligentnych robotów to zadanie dla inżynierów i ekipa medyczna nie ma już tu chyba nic do zdziałania.

Prilicla nie potrafił oczywiście wyczuć z orbity emocji pani patolog, wyobrażał sobie jednak jej irytację związaną z niemożnością właściwego zadbania o pacjentów. Wiedział też, że kapitan rutynowo monitoruje całą łączność, zatem nie zdoła już po tym połączeniu dłużej wymigiwać się od spotkania z Fletcherem.

— Przyjaciółko Murchison, sytuacja trochę się skomplikowała i nie przewiduję natychmiastowego powrotu do szpitala. Na obcym statku znajduje się jeszcze dwoje rozbitków, którzy mogą potrzebować naszej pomocy...

— Z całym szacunkiem, doktorze, ale nie zamierzam otwierać tu warsztatu naprawczego dla robotów! — zaprotestowała Murchison.

— Zakłada pani, że to maszyny, chociaż może wcale tak nie być — odparł. — Ponieważ wolałbym uniknąć powtarzania tego samego po raz wtóry, proszę cię o pozostanie na nasłuchu, gdy będę zdawał relację kapitanowi. Odnoszę wrażenie, że przyjaciel Fletcher czeka niecierpliwie na okazję, aby ze mną porozmawiać.

— Ma pan rację, doktorze Prilicla — powiedział kilka chwil później kapitan, widząc Priliclę wlatującego do centrali. — O co tam chodziło? — spytał, wskazując na włączony komunikator. — Nowi rozbitkowie? Co pan znalazł, zostawszy w pojedynkę na pokładzie?

Prilicla zawahał się, ale silne emocje kapitana nie pozwoliły mu na dłuższe zwlekanie.

— Nie jestem pewien, co to było, i nie wiem do końca, co o tym myśleć...

Opisał pokrótce wydarzenia, które nastąpiły po odlocie kapitana, w tym wysiłki robota, aby skłonić gościa do podążenia aż do końca centralnego przejścia.

— W drodze powrotnej pomyślałem, że zdążę jeszcze zbadać rufę statku, i poszedłem tam. Tamta część też przypomina pajęczynę utkaną ze wsporników, przejść i okablowania łączącego moduły. Sądząc po kolorach przewodów, większość z nich biegnie od poszycia kadłuba do dziobowego centrum kontrolnego. Całość bardzo przypomina budową żywy organizm z drogami nerwowymi, muskulaturą i mózgiem. Powłoka wydaje się równie wrażliwa jak skóra i najpewniej wykazuje wielką wrażliwość na wszystkie bodźce, zwłaszcza mogące być sygnałem ataku. My byliśmy bezpieczni, ponieważ weszliśmy przez otwarty właz, który można porównać do otwartej i znieczulonej rany chirurgicznej...

— Chwilę — rzucił kapitan, unosząc dłoń. — Chce pan powiedzieć, że ten cały statek jest żywy? Że to inteligentny i obdarzony wolą podróżnik zbudowany wedle podobnych zasad co jego roboty? I że nie dotarł pan do jego mózgu czy raczej dwóch bliźniaczych mózgów tylko dlatego, że natrafił na trudną do przebycia przeszkodę i za bardzo chciało się panu spać?

— Niedokładnie, przyjacielu Fletcher. — Natrafiłem na coś w rodzaju nieorganicznego interfejsu, ale jestem przekonany, że panujące nad statkiem umysły należą do istot organicznych. Na razie wiem tylko, że odczuwają złożone emocje. Więcej zdołam ustalić, jeśli znajdzie pan sposób na wejście do tamtego modułu. Teraz zaś muszę wrócić na dłużej na ten statek.

Kapitan i wszyscy obecni oficerowie spojrzeli nań zdumieni, a ich odczucia okazały się zbyt złożone, aby jednoznacznie je określić. Ciszę przerwała dopiero Murchison.

— Odradzam — powiedziała przez komunikator. — Nie mamy tu do czynienia ze zwykłymi rozbitkami...

— A czym się różni zwykły rozbitek od niezwykłego? — spytał Prilicla cicho.

— ...znalezionymi w miejscu zwykłej katastrofy statku kosmicznego — ciągnęła Murchison, nie zwracając uwagi na pytanie empaty. — Być może chodzi o jednostkę, która zachowała się wrogo wobec *Terragara.* Jej hipernapęd nie działa, ale poza tym nie znaleźliśmy nic, tylko lekkie uszkodzenia kadłuba. Mimo pańskiej teorii, że czujniki znajdują się jedynie na jego cienkim zewnętrznym poszyciu, nie można wykluczyć istnienia pułapek także w środku. Mogą okaleczyć pana albo zabić, zanim zrozumie pan technologię tamtej rasy. W tym specjalizuje się kapitan Fletcher. Niech pozwoli mu pan pójść przodem, aby sam najpierw wszystko sprawdził i tak dalej.

Kapitan pokiwał głową, a jego emocje zdradzały, że całkowicie zgadza się z patolog.

— Oboje macie rację — powiedział Prilicla. — Problem polega jednak na tym, że chociaż kapitan jest pierwszorzędnym znawcą techniki obcych, nie jest empatą, a zmieniające się z każdą chwilą odczucia rozbitków mogą się okazać jedyną wskazówką, czy postępujemy właściwie. Musimy udać się tam razem. Przyjacielu Fletcher — dodał, zmieniając temat — czy dysponuje pan już wystarczającymi informacjami, aby wysłać raport?

— Wstępny tak — odparł kapitan niecierpliwie. — Jedyny kłopot dotyczy tego, jak streścić to wszystko w krótkim przekazie, aby nie nadszarpnąć naszych zasobów energii.

Prilicla rozumiał problem. W odróżnieniu od wołania boi ratunkowej tutaj chodziło o modulowany sygnał, który musiał przebić się przez wiatr słoneczny, międzygwiezdne obłoki gazowe i wszystko, co jeszcze mógł napotkać w próżni. Trzeba go było powtórzyć tyle razy, aby odbiornik zdołał wychwycić go na tle kosmicznego szumu i poskładać zniekształcone kawałki w spójny przekaz. Dysponujące praktycznie nieograniczonymi zasobami mocy nadajniki planetarne czy moduły w rodzaju tych, jakie zamontowano w szpitalu oraz na pokładach największych jednostek Korpusu Kontroli, mogły pracować przez wiele godzin, ale w wypadku małych statków, takich jak *Rhabwar,* trzeba było liczyć każdą milisekundę transmisji. No i ufać w zdolności i intuicję tych, którym przyjdzie obrabiać odebrany sygnał.

Kapitana niepokoiły jednak nie tylko ograniczenia łączności.

— Czy coś jeszcze cię martwi, przyjacielu Fletcher? Być może myślisz o komplikacjach związanych z nowymi rozbitkami?

— I tak, i nie — odparł kapitan. — Na pewno nie zdołam przekazać wszystkiego, co bym chciał. Czy jest pan jednak pewien, że tych dwoje to organiczne, a nie mechaniczne formy życia? Czy miałby pan coś przeciwko, gdybym zawarł w meldunku wzmiankę o pańskich wątpliwościach?

— Pewien nie jestem i nic przeciwko zaznaczeniu tego nie mam — stwierdził Prilicla. — To był bardzo słaby kontakt, a ja nie potrafię orzec, czy wysoce inteligentne komputery nie przejawiają czasem emocji. Wyczuwam jednak w tobie coś jeszcze, przyjacielu Fletcher. O co chodzi?

Kapitan westchnął z zakłopotaniem.

— Cała ta sytuacja jest potencjalnie niebezpieczna i sądzę, że jeśli nie podejdziemy do niej właściwie, może z tego wyniknąć spory problem zagrażający nawet Pax Galactica, i to w większym stopniu niż wojna z Etlą... To znaczy, akcja policyjna wobec Etli. Chciałbym, aby cały ten układ został uznany za objęty kwarantanną i zakazem wstępu dla wszystkich poza wyznaczonym personelem medycznym, specjalistami pierwszego kontaktu oraz technikami prowadzącymi prace badawcze. Bez dalszych wyjątków. Obawiam się jednak, czy moi przełożeni okażą się skłonni do uznania podobnych zasad.

Niepokój kapitana zbliżył się niebezpiecznie poziomem do lęku. A Prilicla znał go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że Fletcher nie obawiał się byle czego. W tym wypadku mógł zdradzać zbytnią ostrożność, ale i rozumieć istotę zagrożenia lepiej niż ktokolwiek inny. Tak czy owak, wskazane było jakoś go wesprzeć.

— Przyjacielu Fletcher, nie zapominaj, kim jesteś. Należysz do najbardziej doświadczonych specjalistów Korpusu. Gdyby nie uznawano cię za znawcę obcych technologii, nie otrzymałbyś stanowiska dowódczego. Twoi przełożeni też muszą o tym pamiętać i sądzę, że zaakceptują przedstawioną przez ciebie ocenę sytuacji. Zakładam też, że zespół medyczny pozostanie na *Rhabwarze* do czasu, aż wspólnie znajdziemy rozwiązanie problemu. Nie możemy też zapominać o naszych kolegach. Jestem przekonany, że przyślą tu przynajmniej jeden szybki statek kurierski w celu pozyskania szczegółowych informacji oraz przetransportowania rozbitków z *Terragara* do szpitala...

— Tego się właśnie obawiam! — rzucił kapitan ze złością. — Połowiczna kwarantanna to żadna kwarantanna, a widzę, że i wy godzicie się na jej naruszanie z powodów medycznych. I jak uświadomić wszystkim, że chodzi o technologiczny odpowiednik epidemii, skoro nawet wy, którzy widzieliście wszystko na własne oczy, gotowi jesteście na kompromisy? — Uniósł ręce w geście bezradności. — Skoro nie umiem was przekonać, jakie będę miał szanse wobec dowództwa floty i jeszcze wyższych czynników? Ostatecznie dla nich jestem zwykłym kierowcą ambulansu. Nie będą liczyć się ze zdaniem kogoś znacznie niższego stopniem...

— Gdy połączymy siły, będą musieli się z nami liczyć, przyjacielu Fletcher — powiedział Prilicla. — Proponuję przygotować tekst do wysłania i jeśli pozwolisz, przejrzałbym go wcześniej, aby nanieść poprawki czyniące go bardziej przekonującym...

— I tak go udostępnię, chociażby z zawodowego poczucia przyzwoitości — powiedział kapitan. — Ale nie obiecuję, że zaakceptuję poprawki. Ograniczenia techniczne zmuszają nas do tego, aby był krótki, jasny i pozbawiony dywagacji.

— W oczekiwaniu na niego sprawdzę, co z naszymi rozbitkami — stwierdził Prilicla, jakby w ogóle nie usłyszał ostatnich słów kapitana. — Potem spróbujemy zidentyfikować istoty z obcego statku.

Kapitan nie zdołał ukryć niedowierzania.

— Naprawdę chce pan tam wrócić?

— Owszem. I to jak najszybciej.

Szybko ustalił, że nic nie wymaga jego pilnej obecności w szpitalu polowym. Stan zdrowia pacjentów poprawiał się z wolna, chociaż i tak czekała ich jeszcze operacyjna rekonstrukcja zniszczonych tkanek, którą można było zrobić tylko w Szpitalu Sektora Dwunastego. W zachowaniu Murchison wyczuł jednak coś niepokojącego. Nie dzięki empatii, gdyż nie przydawała się zbytnio przy takiej odległości, ale za sprawą intuicji.

— Sądzę, że niepokoi cię coś jeszcze, przyjaciółko Murchison — powiedział. — Co to za problem i czy mogę jakoś pomóc?

— Nie wiem — odparła pani patolog natychmiast. — Wstyd przyznać, ale chodzi o trywialną nudę. Siedzimy w tych kontenerach, doglądamy pacjentów i tylko tym możemy się zająć, podczas gdy na zewnątrz świeci słońce, szumi błękitny ocean i żółci się gorący piasek.

Ta wyspa jest równie wspaniała jak pokład rekreacyjny szpitala, tyle że większa i nad wyraz prawdziwa. Czujemy się jak wczasowicze, których zmuszono do pozostawania w hotelu.

Rozumiemy, na czym polegają standardowe środki bezpieczeństwa, i nie myślimy ich naruszać, prosimy jednak o pozwolenie na spędzanie czasu na zewnątrz. Tu jest naprawdę pięknie. Pacjentom też dobrze zrobi, gdy będą mogli korzystać ze słońca i świeżego powietrza, zwłaszcza jeśli nasz pobyt na tej planecie ma się wydłużyć. Da się zrobić?

— Owszem — powiedział Prilicla. — *Rhabwar* pozostanie na razie na orbicie, aby zbadać statek obcych, którzy mogą zresztą niebawem trafić do was w charakterze pacjentów. Macie moje pozwolenie, przyjaciółko Murchison. Pamiętajcie jednak, że to całkiem obcy nam świat, i zachowajcie ostrożność.

— I pan też niech uważa.

Zakończył połączenie, gdy kapitan wskazał na swój ekran.

— Chciał pan przeczytać tekst przed wysłaniem — powiedział. — I co pan o tym myśli?

Prilicla zawisł nad monitorem i przeczytał komunikat.

— Z całym szacunkiem, przyjacielu Fletcher — powiedział. — Sądzę, że jest zbyt uprzejmy, nazbyt uniżony i za długi. Powinieneś przekazać swoim przełożonym, co zamierzamy zrobić, bez zwracania uwagi na ich szarżę. Ostatecznie to my dysponujemy najpełniejszą oceną sytuacji, nie oni. Czy mogę?

Wyczuwszy zgodę Fletchera, sięgnął cienkimi kończynami do klawiatury. Oryginalny tekst zmalał i usunął się w róg ekranu, pośrodku zaś szybko pojawił się nowy: Do: Rząd Federacji Galaktycznej; Do Wiadomości: Rada Medyczna Federacji; Szpital Sektora Dwunastego; Główne Dowództwo Korpusu Kontroli; Komendant Sektora Dermod; Dowódcy Floty; Wszyscy kapitanowie statków oraz ich oficerowie.

ZE SKUTKIEM NATYCHMIASTOWYM OGŁASZAM KWARANTANNĘ NINIEJSZEGO UKŁADU PLANETARNEGO.

PRZYCZYNA: UNIKATOWE ZAGROŻENIE TECHNOLOGICZNE I/LUB MEDYCZNE SPOWODOWANE PRZEZ OBCY STATEK WYPOSAŻONY W BROŃ ZDOLNĄ ZNISZCZYĆ KAŻDY STATEK KOSMICZNY NIEZALEŻNIE OD JEGO WIELKOŚCI CZY POTENCJAŁU BOJOWEGO, JEDYNYM ZNANYM ŚRODKIEM ZARADCZYM JEST UTRZYMANIE DYSTANSU.

TRZECH ROZBITKÓW Z TERRAGARA W TRAKCIE REKONWALESCENCJI. RHABWAR BADA OBCY STATEK, TRWAJĄ PRÓBY NAWIĄZANIA KONTAKTU Z JEGO ZAŁOGĄ. DWIE JEDNOSTKI KURIERSKIE POWINNY OCZEKIWAĆ W ODLEGŁOŚCI CO NAJMNIEJ PIĘCIU MILIONÓW MIL OD NAS NA KOLEJNE MELDUNKI, ABY PRZEKAZAĆ JE DALEJ, WSZYSTKIE INNE STATKI, NIEZALEŻNIE OD PRZYNALEŻNOŚCI I RANGI ORAZ SPECJALNOŚCI ICH ZAŁÓG, OTRZYMUJĄ JEDNOZNACZNY NAKAZ OMIJANIA UKŁADU.

POWTARZAM: NAKAZ JEST JEDNOZNACZNY I NIE UWZGLĘDNIA ŻADNYCH WYJĄTKÓW.

PODPISANO: FLETCHER, DOWÓDCA RHABWARA;

PRILICLA, STARSZY LEKARZ SZPITALA SEKTORA DWUNASTEGO.

Kapitan studiował tekst przez dłuższą chwilę potrzebną na uspokojenie emocji.

— Owszem, jest krótszy i... lepszy — przyznał niechętnie. — Ale Dermod z pewnością nie przywykł do otrzymywania podobnych meldunków od podwładnych. I on, i jego sztab przeżyją zapewne lekki wstrząs. Nie wiedziałem, doktorze, że potrafi być pan taki, taki...

— Oschły? — spytał Prilicla. — Zapomina pan, przyjacielu Fletcher, że pański komendant sektora znajduje się pół galaktyki od nas. To zdecydowanie zbyt daleko, abym odebrał jego emocje.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wielogatunkowa medycyna opierała się poniekąd na zasadzie, że żaden patogen wykształcony w jednym środowisku nie może zagrozić istocie pochodzącej z całkiem innego świata, zatem Murchison mogła być pewna, że nie musi się obawiać tutejszych mikroorganizmów. Nie powstrzymało to jednak Danalty od ostrzeżenia jej przed potencjalnie większymi nieco i potencjalnie niebezpiecznymi formami życia.

Zmiennokształtny zbadał już pod tym kątem plażę, przybrzeżne płycizny oraz drzewa i zarośla wyspy w promieniu pięciuset metrów. W wodzie trafił na kilka gatunków skrzelodysznych i dwudysznych, na lądzie zaobserwował drobne zwierzęta i owady buszujące u korzeni i w gałęziach drzew, ale nic z tego nie było dość wyrośnięte, aby stanowić fizyczne zagrożenie. Nie oznaczało to jednak, że można było całe to towarzystwo całkowicie zignorować. Patogeny nie były zdolne przeskoczyć bariery odmienności ewolucyjnej, toksyny jednak jak najbardziej. Niektóre owady posiadały żądła, przypominające kraby wodne stworzenia mogły uszczypnąć, większość zaś gatunków, wyczuwszy zagrożenie, potrafiła po prostu ugryźć.

Dlatego właśnie wędrująca złotą plażą Murchison nie mogła cieszyć się ciepłym piaskiem pod bosymi stopami, a większość padających na nią promieni słońca odbijał biały kombinezon ochronny. Odsłonięte miała jedynie dłonie i twarz. W tej sytuacji wolałaby nosić znacznie mniej albo prawie nic, co nie zrobiłoby zresztą na pozostałych członkach zespołu medycznego żadnego wrażenia, gdyż Ziemianie byli w Federacji jedynym gatunkiem hołdującym tabu nagości. Pozostałe rasy nosiły ubrania jedynie wówczas, gdy wymagało tego nieprzyjazne środowisko i głównie w trakcie pracy. Poza tym mimo upływających lat Peter niezmiennie powtarzał jej, nie bawiąc się w poetyckie porównania, że nadal jest szalenie atrakcyjna. Oczywiście tylko wówczas, gdy jego umysł nie był zajęty przez zbyt wielu obcych, których obecność sprawiała z reguły, że zapominał o swoim ssaczym pochodzeniu i niezbyt wiedział, po co miałby dzielić łóżko z ziemską kobietą.

Żałowała, że nie ma go tu teraz z nią, pod tym prawdziwym niebem, które było jednak błękitniejsze niż projekcja z pokładu rekreacyjnego. Tutaj mógłby odsunąć swoje sprawy zawodowe i zająć się wyłącznie nią. Niestety, rola żony sławnego Conwaya, szefa diagnostyki i oddziału wielogatunkowej chirurgii, miała swoje minusy, z których Murchison od początku zdawała sobie sprawę. Nie mógł zażądać urlopu tylko dlatego, że bardzo pragnęła jego towarzystwa, nawet jeśli sam też miałby na to wielką ochotę. Murchison westchnęła i ruszyła dalej.

Obok niej toczył się cicho po piasku Danalta. Ponieważ lubił się czasem popisywać talentami zmiennokształtnego, przybrał pasującą do otoczenia postać dużej piłki plażowej, całej w czerwone, żółte i niebieskie trójkąty. Oko, ucho i usta schował tak dokładnie, że złudzenie było niemal kompletne, tyle że ślad, jaki zostawiał na piasku, był zbyt głęboki jak na wypełnioną powietrzem zabawkę. Danalta był dość ciężki i tego, niezależnie od przyjętego kształtu, nie mógł zmienić. Gdyby ktoś zapragnął poodbijać tę piękną piłkę, czekałoby go gorzkie rozczarowanie.

— Chcesz przejść się w głąb lądu? — spytał, zatrzymując się gwałtownie i wysuwając zieloną ludzką dłoń, aby wskazać w stronę przeciwną do oceanu. — Tamto wzgórze znajduje się tylko milę od brzegu i wygląda na najwyższy punkt wyspy. Może dojrzymy stamtąd jakieś ciekawe i warte późniejszego zbadania miejsca albo inne pobliskie wyspy?

Zmiennokształtny był niezmiennie zainteresowany wszystkim, co nowe, i im trudniejsze było to do odtworzenia, tym chętniej podejmował wezwanie.

— Dobrze — odparła Murchison. — Wolałabym jednak nie oddalać się za bardzo od pacjentów. Widziałam strumień przepływający obok szpitala. Proponuję wrócić i pójść w górę nurtu aż do źródła, które znajduje się zapewne gdzieś wyżej. Może być?

Było to pytanie retoryczne, bo chociaż Murchison nigdy nie wykorzystywała swojej wyższej pozycji, oboje świetnie zdawali sobie sprawę, kto tu decyduje.

Przez pierwsze sto metrów otoczenie nie różniło się od tego, co mogłaby znaleźć na dowolnej skąpanej w słońcu tropikalnej wyspie na rodzimej Ziemi. Strumień miał ledwo dwa metry szerokości, płynął jednak wartko, a dno usłane miał kolorowymi kamieniami. Dopiero drzewa okazały się znacząco inne. Chlorofilowa zieleń liści była praktycznie taka sama, ale ich kształty nie przypominały ziemskich, podobnie jak porastająca brzegi strumienia miękka trawa. Murchison wzdrygnęła się jak zawsze, gdy zdarzało się jej trafić na obcą planetę, która wydawała się pozornie tak znajoma. Gdy weszli między drzewa, pojawiły się wielkie, przypominające słoneczniki kwiaty, niektóre już bez części płatków, spod których wyglądały zielone zawiązki owoców. Sądząc po obfitości owadów, zapylenie krzyżowe nie stanowiło tutaj problemu.

Ale bez wątpienia stworzenia te nie przypominały już ziemskich. Były różnej wielkości — od prawie niewidocznych po patykowate stwory długie niemal na sześć cali. Kilka było z kolei okrągławych, o czarnych i lśniących pokrywach oraz ze skrzydłami poruszającymi się na tyle szybko, że ich widok rozmywał się w szarą mgiełkę. Większość jednak okazała się barwna, z koncentrycznymi kręgami żółci i czerwieni oraz lekkimi, wielkimi i wolniej bijącymi skrzydłami, które rzucały tęczowe poblaski. Murchison uznała je za prawdziwe arcydzieła natury, jakim Prilicla mógłby nawet pozazdrościć urody.

Wiele z nich obsiadało Danaltę, ulegając najwidoczniej kuszącym barwom przybranym akurat przez zmiennokształtnego.

— Wydają się raczej zaciekawione niż głodne — powiedział metamorf. — Żaden nie próbuje nawet mnie ugryźć.

— To miło z ich strony — stwierdziła Murchison, gdy owady straciły zainteresowanie Danaltą i zaczęły z kolei okrążać patolog. — Może wyczuły, że jesteś niejadalny.

— Albo pachnę jakoś nie tak. Wysunąłem już stosowny narząd węchu. Tu jest cała masa dziwnych woni.

Murchison nie nazwałaby tych zapachów zwykłymi woniami. W jej odczuciu subtelne kombinacje roślinnych aromatów mogłyby śmiało konkurować z najlepszymi ziemskimi perfumami. Owady otaczały ją jednak coraz rojniej.

W pierwszym odruchu chciała je odpędzić, powstrzymała się jednak, aby nie rozdrażnić lataczy, które mogłyby uznać jej zachowanie za wrogie. Uniosła tylko rękę do hełmu, by w razie potrzeby błyskawicznie zatrzasnąć wizjer. Stała tak nieruchomo przez kilka minut, ale owady tylko podlatywały do jej twarzy, w ogóle nie dotykając skóry, aż w końcu straciły zainteresowanie przybyszami i wróciły do swoich spraw. Murchison z ulgą opuściła rękę.

— Chyba nie są wrogo nastawione — powiedziała. — Mnie też nie uznały za godną uwagi przekąskę.

A to oznaczało też, że w razie dłuższego pobytu na wyspie będą mogli wystawiać codziennie rozbitków z *Terragara* na kilkugodzinne leżakowanie na zewnątrz. Murchison zawsze uważała, że świeże powietrze ma zbawienny wpływ na rekonwalescentów. Niestety, w macierzystym szpitalu nie mogła stosować tej terapii.

— Żadna jednak forma życia, także i owadziego, nie przetrwa długo, jeśli będzie nazbyt przyjazna. Możliwe, że ich zachowanie to tylko potwierdzający regułę wyjątek. Chodźmy dalej.

Teren zaczął się łagodnie wznosić, a oni wyszli na sporą polanę, gdzie strumień rozlewał się w płytkie jeziorko z dnem pokrytym roślinami o szerokich liściach i jednym kwiatem, który wyrastał ponad powierzchnię wody. Tam też natknęli się na pierwszą większą formę miejscowego życia.

W wodzie brodziły trzy tłuste zwierzęta, które przypominały trochę prosiaki, miały jednak wąskie, spiczaste głowy, żółtobrunatną skórę i patykowate nogi. Podskubywały kwiaty albo wyciągały kawałki głębiej rosnących liści. Gdy cień Murchison pojawił się w ich pobliżu, zabeczały głośno i pobiegły z pluskiem ku brzegowi, aby zniknąć w bujnej roślinności, która nie przypominała splątanych traw. Gdzieś zza zasłony zieleni dobiegło silniejsze beczenie i po chwili wyjrzała zza niej większa wersja świnkowatych stworzeń, która spojrzała uważnie na obcych, ale nie uznała ich widać za ciekawych, bo szybko się wycofała.

— To musi być mama albo tata tych maleństw — stwierdziła Murchison. — Ale zauważyłeś, że nawet dorosły osobnik okazał się spokojny i wcale się nas nie przestraszył?

Nie wykazywał też agresywnych skłonności i nie dojrzałam u niego żadnej naturalnej broni.

Drapieżników też na razie nie spotkaliśmy. Prilicli bardzo się tu spodoba. Widziałeś może jakieś ptaki?

Murchison przyklękła i osłoniwszy oczy dłońmi, zaczęła wpatrywać się w wodę, aby dojrzeć dokładniej, co znajduje się pod powierzchnią. Po kilku minutach wstała.

— Żadnych — odparł Danalta. — Ale na obcej planecie wszystko jest możliwe. Idziemy dalej?

Znowu zrobiło się stromo, nawet bardziej niż przedtem. Kilka minut później trafili na źródło, które biło ze szczeliny w skalistym gruncie. Drzewa rosły tu gęsto i nie było zbyt dużo miejsca dla innych roślin, toteż kwiatów kwitło tu mniej, a i owadów — co za tym idzie — również było niewiele. Nadal jednak było tu pięknie, zwłaszcza z przenikającym przez konary lekkim i chłodzącym twarz podmuchem od morza. Murchison wciągnęła głęboko w płuca wonne powietrze i wypuściła je z westchnieniem, które zakończyła pełnym radości życia śmiechem.

Nieczuły na podobne uroki Danalta wskazał przed siebie.

— Zostało nam tylko pięćdziesiąt metrów do wierzchołka.

Na szczycie znaleźli okrągłą polanę z nielicznymi drzewami, które nie przesłaniały za bardzo widoku. Murchison dojrzała ocean, plażę i białe kontenery szpitala polowego. Nagle coś zaszeleściło na ziemi tuż obok niej, rozejrzała się więc za Danaltą.

Plażowa piłka była już prawie całkiem płaska i rozpościerała się niczym ozdobiony osobliwymi barwami naleśnik, który moment później zwinął się w coś przypominającego węża, wypuścił całe mnóstwo drobnych nóżek i owinąwszy spiralnie pień drzewa, zaczął się wspinać.

— Stamtąd będzie o wiele lepszy widok — powiedział.

Murchison zaśmiała się i ruszyła w ślad za nim. W duchu pokiwała nad sobą głową, wiedząc, ile zabawy mieliby wszyscy w szpitalu, usłyszawszy, że pani patolog spadła z gałęzi, ale teraz nie zamierzała się tym przejmować. Ten urokliwy świat sprawił, że znowu poczuła się jak dziecko i przypomniała sobie czasy, kiedy to żadne drzewo nie było dla niej za wysokie do wspinaczki.

— Ziemianie też tak potrafią — powiedziała. — Nasi przodkowie połowę życia spędzali na drzewach.

Kilka minut później dotarła na tyle blisko do wierzchołka, na ile było to bezpieczne.

Owinąwszy jedną rękę wokół pnia i ścisnąwszy kolanami gałąź, która wyglądała na dosyć mocną, aby utrzymać jej ciężar, rozejrzała się po okolicy. Danalta, który w obecnej postaci mógł lepiej rozłożyć swój ciężar, przykleił się do cieńszych gałązek kilka metrów wyżej.

We wszystkich kierunkach ciągnął się zielony dywan koron drzew. Urywał się nierówną linią dopiero w pobliżu plaży, gdzie widać było stojące w długich cieniach kontenery szpitala. Ocean był pusty, jeśli nie liczyć kilku błękitnych cieni na samym horyzoncie. Zapewne były to wierzchołki innych odległych wysp. Danalta wskazał w stronę jednego z nich.

— Zobacz, ptak — powiedział. — Widzisz go?

Murchison wysiliła wzrok, ale dojrzała tylko ciemny punkt, który równie dobrze mógł być złudzeniem.

— Nie jestem pewna... — zaczęła, ale zamilkła na widok czegoś cylindrycznego, co zaczęło wyrastać z głowy Danalty. — Co ty robisz?

— Udoskonalam mój narząd wzroku poprzez zwiększenie ogniskowej. Wprawdzie materia organiczna nie jest dość sztywna i wywołane wiatrem poruszenia mogą zaburzać ostrość, mam nadzieję uzyskać wystarczające powiększenie, aby...

— Chcesz powiedzieć, że pączkujesz lunetę? — przerwała mu Murchison. — Niezmiennie mnie zadziwiasz.

— To bez wątpienia jakiś ptak — powiedział po chwili Danalta, wyraźnie ucieszony z komplementu. — Ma małe ciało, wąskie skrzydła o dużej rozpiętości i trójkątny, nierówny po brzegach ogon. Z tej odległości trudno oszacować, jak jest duży. Wydaje się brunatny albo szary, o matowej okrywie. Ma krótką i grubą szyję, nie widzę jeszcze wyraźnie głowy, nie dostrzegam też żadnych wystających części ciała, nogi ma więc zapewne złożone w celu poprawy aerodynamiki. Nie porusza skrzydłami, zakładam więc, że szybuje na prądach powietrznych. Jest blisko horyzontu, ale nie zbliża się do niego. Na mojej rodzinnej planecie nie ma ptaków — dodał. — Studiowałem jednak zagadnienie, zwłaszcza pod kątem mimikry skrzydlatych. Ten tutaj zachowuje się podobnie jak padlinożerne ptaki z twojej planety, ale z tej odległości nie potrafię powiedzieć niczego na pewno.

— Wracajmy do obozu — powiedziała Murchison cicho. — Chciałabym znaleźć się tam przed zmrokiem.

Czuła rozczarowanie, chociaż przecież nie powinna się dziwić. Dostrzeżony przez Danaltę ptak wydawał się odpowiednikiem przerośniętego sępa. A to oznaczało skazę na obrazie czegoś, co do tej pory było doskonałe.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kapitan Fletcher i porucznik Dodds nie zaniedbali żadnych środków ostrożności, co wzbudziło głęboki szacunek Prilicli. Tym razem skorzystali z pinasy *Rhabwara,* zwykle stosowanej podczas ewakuacji rozbitków, którzy nie wymagali transportu na noszach. Chcieli jednak zabrać w pobliże obcego statku cały szereg instrumentów, w większości zdublowanych, na wypadek gdyby podczas przypadkowego kontaktu doszło do zniszczenia jakiegoś przyrządu w podobny sposób, jak stało się to z całym *Terragarem.*Kapitan przypomniał im jeszcze raz, że sprzęt to tylko sprzęt i zawsze można go zastąpić, co innego jednak ludzie i dlatego wszyscy mają przez cały czas nosić izolowane skafandry kosmiczne z własnym źródłem zasilania.

Utrzymując nieustannie łączność z *Rhabwarem,* zatrzymali się dziesięć metrów od uszkodzonych miejsc w poszyciu obcego statku. Potem zacumowali do niego za pomocą zwykłej magnetycznej przylgi zamontowanej na końcu nieprzewodzącej liny.

— Sir — odezwał się porucznik, gdy opuszczali pinasę. — Doktor Prilicla mówi, że te uszkodzone rejony poszycia, które nazywa raną powierzchniową, są nieaktywne i możemy bezpiecznie się po nich poruszać. Może jednak powinniśmy sprawdzić też inne, czy nie stało się z nimi to samo na skutek utraty mocy czy awarii obwodów? Proponowałbym kilka testów w losowo wyznaczonych miejscach. Kto wie, czy ta skorupa nie jest już martwa. Może tylko tracimy czas.

— Jeśli da się to zrobić bez nadstawiania karku, to w porządku, poruczniku. Zgadza się pan, doktorze?

— Tak — odparł Prilicla. — To może być przydatna informacja, przyjacielu Dodds, zwłaszcza gdyby znalazł pan inny właz położony bliżej modułu mózgowego. Stąd trzeba przejść po siatkach ponad połowę długości tego statku, żeby się tam dostać. Tylko proszę uważać.

— Oczywiście. Nie mam zapasowej głowy.

Przyglądali się, jak zawisł kilka metrów od kadłuba i zaczął powoli okrążać statek po spirali. Kilka razy znikał im z oczu i zawsze wtedy Prilicla wyczuwał wyraźne zaniepokojenie kapitana, ale w chwili dokonania najważniejszego odkrycia porucznik był dobrze widoczny.

— Sir, natrafiłem na coś, co wygląda na właz ładunkowy — zameldował podniecony. — Ma jakieś dziesięć metrów średnicy i jest tak dobrze wpasowany, że omal go nie przeoczyłem. Obok znajduje się długa na dwie stopy prostokątna pokrywa, która może kryć panel kontrolny. Wzdłuż jednego z boków widnieją trzy zagłębione przyciski, ale nie chcę ich dotykać, dopóki się nie dowiem, do czego służą. Możliwe, że trzeba wcisnąć je w określonej kolejności, aby nie wywołać niepożądanej reakcji. Przesuwam się bliżej z czujnikiem.

Magnetyczne przylgi trzymają i jest włączony. Na razie brak reakcji statku.

Zdenerwowanie kapitana osiągnęło szczyt i zaczęło maleć, ciągle się jednak nie odzywał.

— Czujnik jest nastawiony na minimalną moc, dostaję więc obraz uzyskany bardziej dzięki indukcji niż sondowaniu. Ledwo widzę przebiegające pod spodem obwody, ale z pewnością jest tam masa przewodów, wszystkie pod napięciem. Aby sprawdzić, które biegną do przycisków, muszę podkręcić moc... Niech to, statek zrobił właśnie z czujnikiem to samo, co z komputerem *Terragara* ! Przykro mi, sir, ale potrzebuję drugiego czujnika typu K‑330. Z tego już nic nie będzie.

— Nie szkodzi, stać nas na stratę sprzętu w odróżnieniu od utraty ludzi. Szukaj dalej w kierunku rufy, melduj o wszystkim, a potem wracaj tutaj i idź za nami. Mamy trochę do przejścia. Systemy obronne tego statku naprawdę mnie zdumiewają — powiedział do Prilicli. — Na razie nie trafiliśmy na żaden ślad wyrzutni pocisków, emiterów skoncentrowanych wiązek energii czy czegokolwiek, co byłoby do nich podobne. Może są, ale nie potrafimy ich rozpoznać... Coraz bardziej to dziwo kojarzy mi się z jeżozwierzem.

Prilicla nie zadał oczywistego w tej sytuacji pytania, ponieważ czuł, że kapitan i tak wyjaśni mu tę myśl, gdy tylko trochę uspokoi nerwy. Byli już wewnątrz statku i skręcali w stronę sekcji kontrolnej.

— Jeżozwierz to nieinteligentne ziemskie zwierzątko z bardzo miękkim ciałem, pozbawione naturalnej broni, ale pokryte na grzbiecie długimi igłami, na tyle ostrymi, aby zniechęcić drapieżców. Możliwe, że ten statek został zaprojektowany na podobnej zasadzie, a uszkodzenie *Terragara* było przypadkowym działaniem w samoobronie, ponieważ obcy uznali jego działanie za wrogie, nie pojmując, że chciał tylko udzielić im pomocy.

— Nie powiem, aby to mnie uspokajało — stwierdził Prilicla. — Pana teoria, przyjacielu Fletcher, sugeruje, że jest jeszcze jakiś inny gatunek stworzeń albo grupa wywodząca się z tej samej rasy, którą budowniczowie statku uznają za zagrożenie. Dlaczego ktoś miałby go atakować? Z powodu stwarzanego przezeń, a nieznanego nam zagrożenia czy może mając go za zdobycz? Tak czy siak, ktoś zdołał porazić go impulsem cieplnym i spowodował zniszczenia. Ktoś zatem dysponuje tutaj także i bronią ofensywną. Nie zapominajmy o tym.

— Wiem i nie zapominam — mruknął kapitan, podciągając się na sieci. — Ale po prawdzie ta ostatnia kwestia też zaczyna mnie coraz bardziej zastanawiać.

Nie rozwinął tematu, chociaż jego emocje wskazywały, że intensywnie o czymś myśli.

Dodds zameldował o znalezieniu jeszcze jednego włazu, blisko dysz rufowych, przeznaczonego zapewne do załadunku paliwa albo wyposażenia. A potem dołączył do nich, gdy znajdowali się w połowie centralnego przejścia. Wtedy też pojawił się przed nimi robot — zdaniem Prilicli taki sam albo i ten sam, co poprzednio, bo przecież mógł być już tylko jeden.

Wychynął z bocznego korytarza i ruszył energicznie na spotkanie gości. Zatrzymał się pięć metrów przed kapitanem, który szedł pierwszy, i niczym mechaniczna rozgwiazda zablokował sobą przejście.

— Poprzednim razem popchnął go pan lekko, doktorze, i to starczyło, żeby się cofnął — powiedział Fletcher. — Może więc nie chciał pana powstrzymać, tylko sugerował, aby poruszać się ostrożniej? Jak pan myśli? Spróbuję tego samego. Stopami, na wypadek gdyby chciał mnie porazić. Podeszwy butów mają grubszą izolację.

Kapitan zbliżył się do robota, rozpostarł ręce, aby przytrzymać się siatki, potem wyprostował powoli nogi, zatrzymując stopy na kilka cali przed centralną częścią kadłuba maszyny. W końcu bardzo lekko pchnął go palcami.

Żadnej reakcji. Spróbował silniejszego nacisku, ale robot trzymał się mocno siatki i ani myślał ustąpić.

— Przyjacielu Fletcher, odsuń się trochę i daj mi przejść — powiedział w końcu Prilicla.

Zdumiony kapitan posłuchał go bez słowa i ubrany w kulisty skafander empata przecisnął się obok. Kilka sekund później dotknął grzecznie korpusu robota, który natychmiast puścił sieć i skierował się w stronę centrali. Prilicla uczynił to samo, ale gdy tylko Fletcher i Dodds ruszyli jego śladem, maszyna ponownie zatarasowała przejście.

Znaczenie jej działań było jasne.

— Dlaczego ciebie przepuszcza, a nas nie? — zastanowił się kapitan głośno. — Czy uważa, że silniejsi Ziemianie stwarzają większe zagrożenie niż mieszkańcy Cinrussa?

Zasadniczo to prawda, ale przecież nie okazaliśmy tu wrogości. Nie rozumiem tego.

— Może nie lubi ludzi z dużymi stopami? — powiedział Dodds i zaśmiał się nerwowo.

Fletcher zignorował jego uwagę, która była jawnym dowodem niesubordynacji, podobnie jak wywołany sytuacją niepokój.

— Z całym szacunkiem, ale nie myślę czekać tu bezczynnie, aż zdoła się pan zaprzyjaźnić z tym robotem. Dodds i ja skierujemy się do kolejnego rozgałęzienia i spróbujemy obejść maszynę. Wcześniej sugerował pan, że to może być jedyny ocalały członek załogi, i jeśli ma pan rację, nie zdoła zagrodzić wszystkich przejść. Proszę utrzymywać z nami łączność, doktorze, i życzę udanego spędzenia czasu.

Robot zawahał się wyraźnie, gdy obaj oficerowie zawrócili i skręcili w boczny korytarz. Prilicla nie wyczuł w nim żadnych emocji, co przy tak małej odległości byłoby bardzo proste, ale kilka drobnych gestów, typowych i łatwych do zrozumienia elementów mowy ciała, było bez wątpienia świadectwem jakiejś rozterki. Owszem, w okolicy były widoczne ślady jakichś emanacji, zbyt słabe wszakże, aby je odebrać, co sugerowało jedno: robot był naprawdę tylko zwykłą nieinteligentną maszyną, oczami i uszami kogoś, kto z bliżej nieznanych powodów nie mógł się poruszać.

Jeśli owa istota, żywa czy mechaniczna, widziała ich albo raczej wyczuwała obecność gości, rzeczywiście mogła z jakichś powodów zacząć różnicować podejście do nich. Biorąc zaś pod uwagę, że robot konsekwentnie nie zachowywał się w sposób wrogi, wszystko zdawało się wskazywać na chęć nawiązania kontaktu z Priliclą.

Po dotarciu do miejsca, z którego poprzednio zawrócił z powodu zmęczenia, Prilicla zatrzymał się, zaczepiwszy jedną kończynę o sieć. Robot zrobił to samo.

Empata przyglądał się dłuższą chwilę zagłębionemu panelowi z trzema przyciskami, które musiały najpewniej służyć do otwierania znajdującego się obok włazu. Postanawiając sprawdzić swoje przypuszczenia, wyciągnął powoli wolną kończynę i wskazał po kolei na wszystkie trzy przyciski, za każdym razem zatrzymując palce w odległości jakiegoś cala od guzika. Potem cofnął rękę i wskazał na robota. Musiał powtórzyć manewr kilka razy, zanim doczekał się reakcji. Maszyna cofnęła się kilka kroków drogą, którą przyszli, i zastawiła sobą najbliższe skrzyżowanie korytarzy.

Prilicla poczuł rozczarowanie. Czyżby teraz i jego nie chciała przepuścić? Chociaż czy na pewno? Emanacja emocjonalna nadal była słaba, ale nie wyczuł w niej niczego, co mogłoby oznaczać zdecydowane odrzucenie.

— Przyjacielu Fletcher — powiedział. — Wydaje mi się, że osiągam pewien postęp, ale robot albo ten, kto nim kieruje, chyba trochę się zaniepokoił. Obecnie pilnuje korytarza, którym próbujecie tu dotrzeć. Ten ktoś chyba wychwytuje nasze sygnały radiowe i wie, że się komunikujemy, chociaż nie rozumie, co mówimy. Na razie nic na to nie poradzimy, bo trzeba poczekać, aż nasz komputer opanuje nowy język, ale to osobna sprawa. Teraz chciałbym ich uspokoić i dlatego proszę was, abyście natychmiast i bez pytań zrobili to, co wam polecę.

— Co mianowicie? — spytał kapitan ostrożnie.

— Opuśćcie dziobową część statku — powiedział Prilicla. — Wróćcie do miejsca, w którym weszliśmy na pokład. Niech gospodarz czy gospodarze nabiorą pewności, że przestaliście interesować się tą sekcją. Zróbcie to od razu, bez czekania.

— Ale nie na stałe — zgodził się kapitan. — Ten statek jest wypchany obcą technologią, w tym bronią, która może zagrozić pokojowi i stabilności Federacji. Musi więc być zbadana.

— Oczywiście, przyjacielu Fletcher. Ale nie teraz.

— Niech będzie — mruknął kapitan, ledwo kryjąc irytację i rozczarowanie. — Nie obiecuję, że nie zajrzę tu później, ale nie zrobimy niczego, co mogłoby rozdrażnić pańskiego mechanicznego przyjaciela. Jest tylko coś, co powinien pan wiedzieć i co może się przydać w razie kłopotów. Z miejsca, w którym obecnie jesteśmy, widzimy obłożone metalowymi płytami przejście wiodące do dużego przedniego włazu, o którym meldował wcześniej Dodds.

Wydaje się przeznaczony do załadunku cięższego sprzętu albo zaopatrzenia. Od środka jest czysty, bez śladu okablowania, które spowija całą resztę kadłuba. Gdyby więc musiał się pan szybko ewakuować, możemy wyciąć w nim przejście, którym łatwo ucieknie pan z okolic centrali. Wątpię, aby ten wirus mógł przewędrować po płomieniu palnika. Proszę pozostawać w kontakcie i nie wyłączać rejestratora. I uważać na siebie — zakończył kapitan, przejęty na tyle, że przypomniał o tym, co było przecież oczywiste. — Wycofujemy się.

Prilicla obserwował, jak przemieszczają się ku rufie. Gdy stało się jasne, że nie próbują dotrzeć okrężną drogą do centrali, robot wrócił natychmiast w pobliże panelu. Tym razem w jego ruchach nie było niczego sugerującego wahanie. Od razu sięgnął do przycisków. Prilicla starał się zapamiętać sekwencję, którą robot wystukał, gdy ściana przed nim poruszyła się i spory jej fragment odsunął się na bok.

Po całkowitym otwarciu się drzwi w środku zajaśniały pomarańczowym blaskiem rozmieszczone co dwa metry lampy. Były wpuszczone w sufit i ciągnęły się wzdłuż długiego na trzydzieści metrów korytarza, który rozdzielał się na końcu na dwa przejścia. Wszystkie cztery ściany były z solidnych metalowych albo plastikowych płyt, na których zawieszono siatkę znikającą tylko w miejscach, gdzie widniały przezroczyste pokrywy włazów dostępowych. Prilicla celowo wędrował jak najwolniej, aby dokładniej zarejestrować to, co znajdowało się po drugiej ich stronie. Dojrzał korytarz wiodący do wspomnianego przez Fletchera luku, za pozostałymi zaś wiły się tylko wiązki kolorowych przewodów. Skądś dochodziły go nadal słabe, ale całkiem już wyraźne emocje, sugerujące niepewność i coraz większe zniecierpliwienie.

Gdy doszedł do rozstajów, robot zawisł przed nim, nie blokując drogi ani nie wskazując żadnej z odnóg. Całkiem jakby zostawił Prilicli wolny wybór. Empata wiedział już, że ma przed sobą dwa źródła emanacji emocjonalnej. Oba organiczne. Skręcił w prawo, ku silniejszemu, i robot podążył jego śladem.

Korytarz kończył się kolejnymi drzwiami z panelem sterowniczym. W tym miejscu natężenie emocji było już tak silne, że prawie umiał je odczytać.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ponownie zawiesił dłoń tuż nad panelem i przesunął palcami, odtwarzając sekwencję, której robot użył przy poprzednich drzwiach. Miał nadzieję, że dowiedzie w ten sposób swojej inteligencji i zdolności zapamiętywania, i że będzie to czytelna prośba o zgodę na otwarcie i tych drzwi.

Wiedział, że jeśli panel kryje w sobie niespodziankę przeznaczoną dla każdego, kto użyje błędnej kombinacji, cała sprawa skończy się fatalnie. Robot przysunął się bliżej, ale nie próbował przeszkodzić. Pełen nadziei, że to nie podstęp, Prilicla wprowadził kod. Drzwi otworzyły się i przeszedł do kolejnego, także jasno oświetlonego, ale znacznie krótszego korytarza. Tam się zatrzymał.

Widok, jaki zobaczył, wzbudził w nim na tyle żywe odczucia, że przez chwilę sam nie mógł się w nich połapać.

— Widzicie to? — spytał.

— Tak, doktorze — odezwał się z *Rhabwara* Haslam. Też był podniecony. — Ale proszę pamiętać o...

— Co widzicie? — wtrącił się niecierpliwie kapitan.

— Nie wiem, sir — odparł Haslam. — To trzeba po prostu zobaczyć. Doktorze Prilicla, proszę pamiętać o wolnym przesuwaniu zamontowanej na hełmie kamery i zatrzymywaniu jej na każdym opisywanym obiekcie.

Ważne, abyśmy mieli ostre ujęcia. To na wypadek, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego i musielibyśmy wykorzystać te nagrania w trakcie dalszych działań.

Prilicla wiedział o tym, ale widocznie Haslam odczuł potrzebę przypomnienia empacie, że reszta załogi cały czas wspiera go duchem. Nie skomentował więc tej uwagi, tylko podjął relację:

— Jak widzicie, w ścianach znajduje się znacznie więcej przezroczystych włazów, a zamiast stosowanych poprzednio siatek jest jeden ażurowy cylinder biegnący środkiem przez cały korytarz. To rozwiązanie pozwala na swobodniejszy dostęp do włazów, chociaż między uchwytami a ścianą i tak nie zostało wiele miejsca... — Choć ja i tak niewiele go potrzebuję, dodał w myślach.

Ruszył wzdłuż siatki, starając się ją okrążać wolno, aby przekazać obraz jak największej liczby włazów. Przy jednym z nich, który wydał mu się szczególnie duży, przystanął na chwilę i zawiesił dłoń nad panelem kontrolnym. Robot błyskawicznie przysunął się bliżej i odsunął jego rękę. Prilicla chwycił się siatki i przytknął hełm do osłony włazu, aby zobaczyć, co znajduje się w środku. Tym razem maszyna nie zareagowała.

— Najwyraźniej stosują tu zasadę „patrz, ale nie dotykaj” — powiedział. — W środku tej wnęki znajdują się moduły elektroniczne podobne do tych, jakie znaleźliśmy w zniszczonym robocie z *Terragara.* Przytrzymuję kamerę nieruchomo, abyście mogli zrobić powiększenie tego ujęcia...

— Spróbowałem, wychodzi dobrze — powiedział Haslam z aprobatą. — Świetna robota, doktorze.

W słuchawkach rozległo się niecierpliwe chrząknięcie.

— Do cholery, czy muszę wrócić na *Rhabwara,* aby się dowiedzieć, co pan tam robi? — spytał z irytacją kapitan.

Prilicla nie odpowiedział od razu, ponieważ przesunął się do kolejnego włazu.

Wprawdzie w środku znajdowały się mechanizmy i obwody o wiele bardziej masywne od widzianych obok, mimo to tutaj również jego ręka została zdecydowanie odepchnięta od panelu.

Opisywał wszystko, co widział i myślał, nie zdawał jednak relacji ze swoich odczuć.

Tymczasem emanacja emocjonalna rosła wraz z zagłębianiem się w korytarz. Nie była jednak jeszcze na tyle wyraźna, aby sam potrafił ją zdefiniować.

— Tutaj znajdują się grubsze przewody, zarówno pojedyncze, jak i ich grupy o przekroju od pół cala do dwóch cali. Wszystkie oznaczone są kolorami, ale nie widziałem takich wśród wcześniejszych kodów. To, że zostałem łagodnie zniechęcony do otwarcia włazu, może świadczyć o istotności tego, co się za nim kryje. Przypuszczam, że chodzi o jakąś instalację typową tylko dla tego modułu, na przykład zaopatrującą załogę w powietrze lub wodę czy inną potrzebną jej ciecz oraz pożywienie. Teraz przesuwam się dalej do kolejnych drzwi z panelem sterowniczym. Będę próbował je otworzyć... Chociaż nie.

Robot przemieścił się błyskawicznie po drugiej stronie siatki, wyprzedzając Priliclę, i ustawił się między nim a panelem. Empata spróbował odsunąć go łagodnie. Maszyna stawiła opór, ale nie podjęła żadnego działania.

— Ciekawe — zauważył Prilicla. — Najwyraźniej ufa mi, ale nie na tyle, aby pozwolić mi tam wejść. Przyjacielu Fletcher, wspomniał pan wcześniej o powrocie na *Rhabwara,* aby zobaczyć, co tu porabiam. Czy pan albo porucznik zajmujecie się w tej chwili czymś istotnym?

— Badamy przewody prowadzące do rufowego źródła zasilania. Chociaż po prawdzie nie jest to nic ważnego. Może pan nie tracić czasu na uprzejmości i wprost powiedzieć, czego pan od nas chce.

— Chcę, abyście wrócili obaj na *Rhabwara* — odparł Prilicla — i tam poczekali na dalsze instrukcje...

— Ale to oznaczałoby pozostawienie tu pana samego — przerwał mu kapitan. — Nie podoba mi się ten pomysł.

— Moja kolejna prośba będzie zależała od moich postępów tutaj. Na razie chciałbym, aby przysłał pan z powrotem przyjaciela Doddsa z przenośnym holoprojektorem i nagraniami ze standardowego zestawu kontaktowego. Nie wyczuwam tu żadnych wrogich emocji, ale jeśli was to uspokoi, porucznik będzie mógł zostać w pobliżu, byle trzymał się z dala od tej sekcji. Nasi gospodarze zdają się lękać Ziemian albo w ogóle wszystkich istot typu DBDG.

— Nie wszystkie istoty humanoidalne to anioły — mruknął Dodds. — Może trafili na jakąś agresywną grupę uczestników wojny etlańskiej...

— Etlańskiej akcji policyjnej — poprawił go Fletcher odruchowo. — Mogą mieć złe doświadczenia związane z tamtym konfliktem albo czymś całkiem innym i kompletnie nam nieznanym. Ale, doktorze, czy chce pan powiedzieć, że jest gotów nawiązać z nimi kontakt?

— Jestem gotów spróbować — odparł Prilicla i przysunął się do drzwi na tyle, na ile tylko było to możliwe w obecności blokującego drogę robota. Zamknął oczy i postarał się oczyścić umysł, aby wyłapać napływające emocje.

Tak jak spodziewał się tego po rozbitku znajdującym się na uszkodzonym statku, najsilniejsze doznania nie były pogodne. Wyczuł ledwie kontrolowany strach połączony z demobilizującą rozpaczą, bólem i troską, które mogły, ale nie musiały wiązać się tylko z osobistymi perspektywami. Ból nie miał postaci charakterystycznej dla głębokiej traumy, chociaż ślady wstrząsu ogólnie były zauważalne, i zdawał się wynikać raczej ze stanu emocjonalnego niż obrażeń fizycznych. Towarzyszyło mu poczucie poważnej straty, ale pośród ciemności dawał się też dostrzec coraz jaśniejszy obszar ciekawości i zdumienia.

Prilicla uznał, że pora przydać sytuacji trochę blasku. Dosłownie.

Opisując głośno wszystkie swoje poczynania i zamiary, zaczął przygaszać i rozjaśniać lampę hełmu, najpierw w ograniczonym stopniu, tak że sam ledwie dostrzegał różnicę, potem stopniowo coraz bardziej zdecydowanie. Nie chciał, aby obcy rozbitek mylnie uznał jego działania za wrogie, zależało mu jednak na sprawdzeniu, czy ktokolwiek go widzi — oczami robota lub dzięki zamontowanym w korytarzu kamerom. Gdy wyczuł pośród napływających emocji dyskomfort, który mógł się wiązać ze zbyt dużym natężeniem rozbłysków światła, przyciemnił trochę reflektor i przeszedł do przekazywania konkretnych sygnałów opartych na uniwersalnym, jak miał nadzieję, języku arytmetyki.

Błysnął lampą raz, odczekał sekundę i błysnął ponownie, aby potem w szybkiej sekwencji błysnął dwa razy. Powtórzył to samo z trzema, czterema i pięcioma mignięciami, aby pokazać, że jest istotą inteligentną, która potrafi dodawać. Zmiana emocji nieznanej istoty, zwłaszcza nagły wzrost zainteresowania połączony z coraz głębszym zaciekawieniem, zasugerowała, że osiągnął swój cel.

Uzyskał pierwszą odpowiedź, musiał jednak dowiedzieć się jeszcze, iloma kanałami komunikacji dysponuje.

— Przyjacielu Fletcher, widziałeś, co właśnie zrobiłem. Chciałbym, abyście powtórzyli teraz całą sekwencję, wykorzystując zewnętrzne oświetlenie *Rhabwara,* Nie widzę was stąd, prosiłbym więc o informację, kiedy zaczniecie.

— Jasne, doktorze — odparł kapitan. — Potrzeba mi tylko chwili, aby... Już jest.

Tak naprawdę nie musiał nic mówić, rozbitek zareagował bowiem dokładnie tak samo jak podczas pokazu z lampą, chociaż tym razem zaciekawieniu towarzyszyło dodatkowo pewne zniecierpliwienie. Wyraźnie zastanawiał się, co jeszcze zobaczy. Prilicla w zasadzie też.

— Dziękuję, przyjacielu Fletcher. Możesz przestać.

Miał nadzieję, że analogiczny kontakt będzie możliwy także z pokładu statku szpitalnego, i ulżyło mu, gdy przekonał się, że jego domysły były słuszne. W ten sposób inni mieli szansę kontynuować jego próby w czasie niezbędnego dla empaty wypoczynku. Nagle poczuł falę strachu, która zaburzyła jego coraz lepsze samopoczucie. Nawet robot wykonał kilka nerwowych ruchów.

— Co się tam dzieje? — spytał, sam bowiem nie zrobił niczego, co mogłoby uzasadnić podobną reakcję obcego.

— Nic szczególnego — odparł kapitan. — Dodds leci do pana z holoprojektorem. Aby oszczędzić czas potrzebny na załadunek i rozładunek, nie wziął pinasy i korzysta z silniczków skafandra. To trochę nieporęczny sprzęt do takiego transportu, ale porucznik jakoś sobie radzi i powinien właśnie lądować na kadłubie...

— Dodds — odezwał się czym prędzej Prilicla. — Zatrzymaj się. Obcy jest przerażony.

Najlepiej zawróć, aż zdołam ustalić, o co chodzi.

W sumie jednak już się domyślał. Holoprojektor był całkiem niegroźnym urządzeniem, które mogło jednak z powodu swych rozmiarów zostać uznane za broń. Obcy musiał dojrzeć Doddsa lecącego w stronę statku niemal w ostatniej chwili, wcześniej wpatrując się głównie w światła *Rhabwara.* Najpewniej przeraził się, co sugerowało, że chociaż poszycie kadłuba nadal zasadniczo spełniało funkcje obronne, wnętrze statku było pozbawione podobnej ochrony. Co zasadniczo nie powinno dziwić, bo ostatecznie jeżozwierze też mają kolce tylko na grzbiecie.

Prilicla był nie tylko wrażliwy na cudze emocje, ale posiadał też umiejętności empaty projekcyjnego. Wiedział jednak, że niewiele zdoła z nimi zdziałać wobec istoty ogarniętej niemal panicznym strachem, jeśli najpierw nie uda się usunąć jego źródła. Dlatego oprócz współczucia i sugestii zaufania, które zaczął przekazywać rozbitkowi z intensywnością, jakiej nie miał szans utrzymać dłużej niż kilka minut, spróbował pokazać swoje intencje.

— Zwracam się w stronę, z której przyszedłem, i wykonuję gesty, jakbym coś odpychał albo zagradzał komuś drogę — powiedział do komunikatora. — W tej chwili rozbitek powinien już widzieć Doddsa zawracającego. Chyba zadziałało, poziom lęku spada...

Uspokajał empatycznie obcego, dopóki mógł, w końcu jednak musiał trochę odpocząć. W tym czasie emocje rozbitka wróciły do normy, czy przynajmniej stanu sprzed pojawienia się Doddsa. Nadal jednak obecne było w nich zatroskanie, i to wcale nie wyłącznie o swój los.

Prilicla zawrócił do miejsca, gdzie korytarz się rozdwajał, i skierował do drugich drzwi. Robot podążył za nim i nie próbował przeszkadzać, gdy empata sięgnął do panelu i wstukał sekwencję otwierającą. To, że nie odstępował gościa na krok, mogło oznaczać, że rozbitek nie dysponuje wewnątrz statku żadnym innym źródłem obrazu.

Drzwi otworzyły się, ukazując identyczny korytarz jak ten poprzedni, tyle że spośród wszystkich świateł zapaliły się jedynie dwa i Prilicla musiał wzmocnić blask lampy, aby dojrzeć cokolwiek przez przezroczyste osłony włazów.

— Widzicie? — spytał odruchowo. — Systemy w tej części zostały poważnie uszkodzone.

— Widzimy, doktorze — odpowiedział kapitan, który musiał dołączyć już do Haslama w centrali. — I widać też, że ktoś próbował je naprawiać.

Dwa złącza rur zostały okręcone jakąś metalizowaną taśmą samoprzylepną, ale nie dość mocno, spod uszczelnienia wydobywała się bowiem mgiełka powietrza albo parującej cieczy. Za innymi pokrywami widać było pętle przewodów ze śladami działania wysokiej temperatury. Jedna z nich została wyciągnięta z wnęki. Sterczały z niej cienkie jak włos druty przygotowane najwyraźniej do splecenia. Barwy sugerowały, że chodzi o połączenia z czujnikami na poszyciu kadłuba. Naprawa daleka była od ukończenia.

Prilicla wskazał kilka razy naprzemiennie na rejon uszkodzeń i na robota, potem powtórzył to, tym razem kierując kończynę w swoją stronę. Próbował spytać równocześnie o dwie rzeczy: czy to robot był odpowiedzialny za próby usunięcia awarii i czy Prilicla mógłby pomóc dokończyć tę pracę. Nie doczekał się jednak żadnej odpowiedzi, skierował się więc do drzwi na końcu.

Nie zdziwiło go, że i tym razem robot wyprzedził go czym prędzej i zastawił sobą przejście. Prilicli chodziło jednak przede wszystkim o wyczucie umysłu, który powinien znajdować się za drzwiami, i nie myślał sprawdzać na razie niczego więcej.

Zasadniczy typ emocji był bardzo podobny do tego, jaki poznał wcześniej, ale treść przekazu — przerażająco odmienna. Ta istota cierpiała nie tylko psychicznie, ale i fizycznie.

Prilicla nie próbował nawet zgadywać, co mogło być przyczyną jej skrajnie przykrych doznań, wyczuwał niemniej przyduszenie, któremu towarzyszyły strach i depresyjne myśli typowe dla poczucia całkowitego osamotnienia. Przysunął się jeszcze trochę do drzwi i podobnie jak wcześniej spróbował przekazać obcemu trochę współczucia i sugestii przyjaznego nastawienia oraz ogólnego pocieszenia.

Tym razem trwało to dłużej, zapewne przez jego zmęczenie, w końcu jednak doczekał się reakcji. Poprzez czarny opar rozpaczy przebiło się najpierw zdumienie, potem zaciekawienie, na końcu zaś pojawiła się iskierka nadziei. Prilicla spróbował powtórzyć także manewr z lampą, ale nie wywołał już żadnego odzewu, podobnie jak wykorzystanie oświetlenia statku.

— Przyjacielu Fletcher — powiedział, starając się tłumić własne emocje. — Wyczułem obecność drugiego rozbitka. Jego odczucia sugerują, że nie ma kontaktu z pierwszą istotą, która jest zestresowana, ale poza tym zdrowa. Ten drugi jest ranny, brak mu pożywienia i wody, co musi być skutkiem uszkodzenia jego systemu podtrzymywania życia. Jestem pewien, że ucierpiał, ponieważ znajdował się bliżej burty, przy której doszło do eksplozji. Z tego samego powodu jest obecnie głuchy, niemy i ślepy. Musimy jak najszybciej przywrócić im zdolność komunikowania się nawzajem, potem zaś wydobyć z tego statku i bez zwłoki poddać leczeniu.

— Ale jak zamierza pan to przeprowadzić, doktorze? — spytał kapitan.

— Nie wiem. Nie jestem specjalistą od technologii obcych — odpowiedział Prilicla. — Choć może to i lepiej, bo teraz muszę wrócić do kabiny i trochę się zdrzemnąć. Może przyśni mi się jakieś rozwiązanie problemu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rozbitkowie z *Terragara* doszli już na tyle do siebie, że można było wystawiać ich nosze na zewnątrz, aby korzystali ze słońca i świeżego powietrza. Kilka godzin dziennie przyrodoterapii powinno wzmocnić działanie leków, zwłaszcza że było ciepło i pacjenci mieli możliwość opalić się trochę, co przy służbie w próżni było rzadką okazją. Nienaruszona warstwa ozonowa planety gwarantowała brak jakiegokolwiek ryzyka. Murchison nie mogła jednak spędzać z nimi całego wolnego czasu, chociaż oficerowie nie mieliby nic przeciwko temu. Jako dżentelmeni jednak udawali, że nie zwracają najmniejszej uwagi na ubiór swego anioła miłosierdzia — skoro oparzenia podopiecznych częściowo się wygoiły i ryzyko zakażenia zmalało, Murchison zrezygnowała z kombinezonu ochronnego i maski na rzecz bardziej plażowego stroju.

Zamierzała obejść całą wyspę wokół. Podczas wyprawy na górę trzy dni wcześniej oceniła, że wędrówka pasem piasku tuż nad wodą powinna zająć jej około dwóch godzin.

Chociaż trudno było ją uznać za osobę mało towarzyską, tym razem miała ochotę na samotną wędrówkę, podczas której mogłaby odpocząć od wygłaszania terapeutycznych uwag.

Pacjenci przestali powątpiewać już, czy z tego wyjdą, i obecnie przejawiali coraz żywsze zainteresowanie przeniesieniem do szpitala, gdzie mogliby być poddani chirurgicznej rekonstrukcji tkanek. Danalta i Naydrad też pytali, ile jeszcze przyjdzie im czekać na powrót.

Zasługiwali na szczerą odpowiedź, ale Murchison nie miała im nic konkretnego do przekazania, ponieważ sama na razie niczego nie wiedziała.

Próbowała zgadnąć o to kapitana podczas codziennego składania raportu, on jednak odparł, że ich przedłużający się pobyt tutaj wiąże się z kwestiami medycznymi, i odesłał Murchison do jej szefa. Prilicla z kolei stwierdził uprzejmie, ale bez ogródek, że na razie nie może nic powiedzieć, ponieważ nie ma pojęcia, kiedy uda się nawiązać kontakt z obcymi rozbitkami. Dodał tylko, że ponieważ natrafili na pewne komplikacje, zapewne powrót nie nastąpi szybko.

Murchison przekazała tę informację Naydrad i Danalcie, ale nie pacjentom. Nie chciała wzbudzać ich niepokoju nowiną, że być może przyjdzie im niebawem dzielić szpital z istotami odpowiedzialnymi za uszkodzenie, a pośrednio i zniszczenie *Terragara.*Danaltę znudziła już oczywiście rola kolorowej piłki plażowej i poszukał sobie nowego wyzwania, zmieniając się w toczka z planety Drambo. Murchison nie sądziła jednak, aby był zdolny odtworzyć wewnętrzne organy tych istot, których specyficzna budowa sprawiała, iż od momentu narodzin do śmierci pozostawały w nieustannym ruchu.

Fizycznie skrzelodyszny toczek przypominał obwarzanek, tyle że ożywiony i wyposażony w szereg krótkich macek wyrastających od wewnętrznej strony. Potrafił też zmieniać profil ciała na szerszy, aby utrzymać równowagę przy mniejszych szybkościach.

Pomiędzy kończynami znajdowały się otwory skrzelowe oraz narządy wzroku z naturalnym mechanizmem przypominającym celostat i służącym do stałej obserwacji danego obszaru pomimo nieustannego ruchu obrotowego, który decydował o wydolności układu krążenia.

Pozbawione mięśnia sercowego toczki umierały szybko, gdy wiek, wypadek albo choroba sprawiały, że przestawały turlać się po świecie i upadały na bok. Gdy Murchison pierwszy raz udzielała pomocy unieruchomionemu toczkowi, przypominało to jej przesuwanie po dnie morskim ciężkiej i na wpół sflaczałej dętki samochodowej.

— Bardzo dobrze ci to wyszło, doktorze — powiedziała ze śmiechem. — Jeśli jest na tej planecie jakiś osamotniony przybysz z Drambo, na pewno ci się nie oprze.

Toczący się przed nią obwarzanek skręcił w prawo, zatrzymał się i zgiął w ukłonie, dziękując za komplement. Potem stopniał w kopczyk zielonkawego żelu, który wyrósł nagle, wysmuklał i poróżowiał, aby zmienić się w dwustopową, ale niemal doskonałą replikę samej Murchison.

Była mniejsza, bo i masa Danalty nie przypominała człowieczej, niemniej nawet oczy, uszy i paznokcie odtworzone zostały z godną podziwu precyzją. Natomiast biały kostium kąpielowy, włosy oraz brwi przypominały bardziej malunek na ołowianej figurce. Patolog wzdrygnęła się mimo woli.

Widziała już Danaltę przybierającego dziwne, czasem nawet odpychające kształty i nie robiło to na niej większego wrażenia, ale tym razem było inaczej.

— Może sprawdziłbyś, czy nie ma cię na górze? — powiedziała nieco ostrzej, niż zamierzała. — Na pewno znalazłbyś tam jakieś ciekawsze istoty do naśladowania. Nie to, co na plaży, gdzie można poczuć się bezpiecznym. Żadnych owadów, krabów czy ryb, żadnych dwudysznych, co wypełzają z wody, aby rzucić się na człowieka...

— Żadnych zagrożeń na tyle dużych, by je dostrzec — dodała mniejsza Murchison. — Nie zapominaj, że jesteśmy na obcej planecie.

Pani patolog nigdy nie lubiła przypominania jej o rzeczach oczywistych. Zwłaszcza w takich sytuacjach jak obecna, gdy choć na chwilę udało jej się o nich zapomnieć. Ale i tak trudno było jej uwierzyć, że na wyspie może kryć się jakieś niebezpieczeństwo. Nazbyt przypominała Ziemię.

— Na razie widzieliśmy z bliska tylko jeden gatunek większych zwierząt, zbyt nudny do naśladowania — powiedział Danalta, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Chociaż inne mogą się przed nami ukrywać. Wyczuwam jednak w tobie rozdrażnienie. Przepraszam, ale czy moja postać ci się nie podoba?

Podobizna Murchison rozpłynęła się niczym różowy wosk z małymi ustami i jednym wielkim okiem. Prawdziwa patolog pilnie wpatrywała się w morze.

— Jeśli wolisz pospacerować sama, mogę przybrać postać wodnej formy życia, poprzestać na niemym towarzystwie — powiedział przepraszająco. — Gdybyś zaś miała ochotę popływać, mogę służyć jako eskorta.

— Dziękuję — odparła Murchison.

W rzeczywistości pragnęła tego od początku przechadzki, nie chciała jednak okazać się nazbyt egoistyczna. Ruszyła z miejsca i dojrzała kątem oka Danaltę wchodzącego do wody i zmieniającego się w istotę przypominającą płaszczkę z dodatkową płetwą grzbietową z okiem, co miało zapewniać dobrą widoczność i przydawać zmiennokształtnemu stateczności.

Z kim ja muszę pracować, pomyślała nagle i roześmiała się głośno.

Stopniowo zbliżała się coraz bardziej do wody, aż gdy poczuła na łydkach przyjemnie chłodzące fale obróciła się tyłem do plaży i pobiegła popływać.

Woda była zimna, relaksująca i tak czysta, że gdyby na piaszczystym dnie leżało cokolwiek większego od guzika, Murchison na pewno dostrzegłaby to bez trudu. Po kilku minutach szybkiego pływania, głównie pod powierzchnią, położyła się na wznak na falach i spojrzała w błękitne niebo. Dobrze się czuła w objęciach tego oceanu, który podobnie jak na Ziemi i tutaj był zapewne kolebką życia. Właśnie pomyślała, że chorym dobrze zrobiłaby krótka kąpiel pod pełnym nadzorem, gdy nagle dostrzegła ptaki.

Tym razem dwa. Nie krążyły dokładnie nad nią i były bardzo wysoko, zapewne kilka tysięcy stóp nad powierzchnią planety. Krążyły powoli dzięki prądom wznoszącym i ledwie było je widać w blasku słońca. Były zbyt odległe, aby uznać je za zagrożenie, niemniej Murchison — nie tyle zalękniona, ile wiedziona poczuciem winy — zdecydowała, że dość tej zabawy. Skinęła na Danaltę, wskazała mu ptaki i ruszyła z powrotem na plażę.

Pora wracać do pacjentów.

###### \* \* \*

Jeszcze wyżej niż ptaki, w orbitującym *Rhabwarze* Prilicla także zastanawiał się nad swoimi pacjentami, tyle że niewiele mógł dla nich zrobić, skoro skłonni byli zaufać tylko jemu. Niestety nadal bali się panicznie istot typu DBDG, których pomoc była jednak w tym wypadku niezbędna ze względu na doświadczenie Ziemian, jak i sprzęt, który tylko oni potrafili obsługiwać. Bez nich konieczna terapia nie miała żadnych szans powodzenia. — Przespałem się, ale i trochę pomyślałem nad tym wszystkim, przyjacielu Fletcher — powiedział Prilicla. — Pierwszy nasz problem wiąże się z komunikacją, bez której nie możemy rozpocząć reedukacji. Tyle że będziemy musieli obyć się bez urządzeń audiowizualnych, które zwykle stosuje się podczas nawiązywania pierwszego kontaktu, gdyż każde z nich może być uznane za źródło zagrożenia, zwłaszcza jeśli towarzyszyć mu będzie Ziemianin. Ale wyposażenie naszych skafandrów, jak lampy czołowe, silniczki czy nawet kamery, zostało chyba zaakceptowane jako źródła energii zbyt słabe, aby kogoś skrzywdziły. Dlatego właśnie chcę prosić cię o...

— Przyznaję, że tak jak oswoili się z pańską obecnością, doktorze, naszej ciągle nie potrafią zaakceptować — przerwał mu kapitan. — Zapewne wiąże się to z pańską niewielką posturą, fizyczną słabością i jawnym brakiem naturalnej broni. Skoro jednak wbrew moim sugestiom wybiera się pan tam ponownie, dlaczego nie weźmie pan ze sobą wyposażenia kontaktowego?

— Ponieważ nie wiem, czy boją się tylko was, czy może was oraz waszego sprzętu — odparł Prilicla spokojnie. — Na razie akceptują moją obecność, ale gdybym się pojawił z całą masą bagażu, mogliby nabrać podejrzeń, a nie chciałbym stracić ich zaufania.

Kapitan pokiwał głową.

— Wiem, że potrafi pan wyczuwać ich emocje i, w mniejszym zakresie, przekazywać im własne. Rozumiem, że jest to pewien rodzaj komunikacji, różny wszakże od wymiany słów i niesionych przez nie informacji, które pozwoliłyby wyjaśnić, że reszcie nas także można zaufać. Ma pan problem, doktorze. Czy wie pan również, jak go rozwiązać?

— Być może tak — stwierdził Prilicla. — Wiemy już, że na nieuszkodzonych sekcjach kadłuba znajdują się kamery pozwalające obserwować przestrzeń wokół statku. Chcę zorganizować to w ten sposób, abyście w czasie mojego pobytu w ich centrali zaczęli wyświetlać materiały kontaktowe w próżni obok statku. Oczywiście przy odpowiednim powiększeniu. Czy to wykonalne?

Kapitan milczał przez chwilę, zastanawiając się nad względami bezpieczeństwa oraz szukając najlepszego rozwiązania technicznego.

— Chce pan, abym wyświetlił trójwymiarowe obrazy w przestrzeni pomiędzy statkami?

— upewnił się. — Jak mają być duże?

— Przynajmniej dwa razy większe niż tamten statek, przyjacielu Fletcher. Nie wiem, jak czułe są ich kamery ani jaką mają rozdzielczość, ale chciałbym, aby dojrzeli wyraźnie każdy szczegół. Da się to zrobić?

Kapitan ponownie pokiwał głową.

— Modernizacja przenośnego projektora trochę potrwa, doktorze. Dłużej zapewne niż czas potrzebny panu na sen i ponowne przemyślenie sprawy. Może znajdzie pan jakieś mniej ryzykowne rozwiązanie?

— Dziękuję, przyjacielu Fletcher — odparł Prilicla, ignorując krytykę jego projektu. — Chętnie odpocznę, zwłaszcza jeśli nic mnie nie pogania i wiem, że inni dobrze wykorzystają ten czas. Najpierw jednak muszę uzgodnić z panem treść prezentacji. Poza tym chcę pana głowy.

Kapitan spojrzał na niego zdumiony, ale na wszelki wypadek nic nie powiedział, nie rozumiejąc za bardzo, o co chodzi. Spodziewał się wyjaśnienia i nie rozczarował się.

— Mówiąc jak najprościej, chcę, aby poprowadził mnie pan podczas naprawy zniszczonej sekcji kontrolnej — dodał Prilicla. — To znaczy, że będziemy musieli przejrzeć razem nagrania.

— Normalnie opanowanie czegoś takiego wymaga wielu lat studiów, doktorze — zauważył kapitan z wyraźnym sarkazmem. — Czy to wszystko?

— Nie całkiem. Muszę jeszcze sprawdzić, co z naszymi pacjentami na dole, ale w tę kwestię nie będę już pana angażował.

Zanim dokończyli trudną dyskusję, która żadnego z nich nie napełniła optymizmem, Prilicla zdążył złapać trochę snu i skontaktować się z Murchison, która opowiedziała mu o ptakach, spacerze i kąpieli, dodając, że jej zdaniem i zdaniem Danalty w wodzie było raczej bezpiecznie. Wspomniała też o pomyśle wykąpania pacjentów, nad czym czuwać miał zmiennokształtny, Naydrad bowiem za nic nie była skłonna zmoczyć futra. Prilicla wystarczająco długo przebywał między ludźmi, aby domyślić się dodatkowo, że oprócz słońca, plaży i morskich fal pacjenci lubią także kąpiel w towarzystwie osoby płci przeciwnej, co bez wątpienia korzystnie wpłynie również na ich zdrowie. Zaakceptował więc pomysł.

Śniło mu się słońce i wysokie fale mórz w jego rodzinnym świecie, gdy nagle w idylliczny krajobraz wdarł się dochodzący z komunikatora głos kapitana:

— Proszę się obudzić, doktorze Prilicla. Pora wracać na scenę.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tym razem Prilicla przybył na pokładzie zdalnie sterowanej przez Haslama pinasy.

Był całkiem sam, ale w jego hełmie pojawił się miniaturowy ekran. Jeśli robot albo obcy zauważyli tę zmianę, nie uznali jej widać za zagrożenie, gdyż nie przeszkodzili mu w przejściu do sekcji kontrolnej. Przekaz z zewnątrz nie był absolutnie konieczny, ponieważ Fletcher i tak poinformowałby Priliclę o rozpoczęciu projekcji, ale nawet powiedzenie kilku słów zabierało trochę czasu, obraz zaś docierał szybciej i nie groził podobnymi nieporozumieniami jak rozmowa.

Będąc już w środku, podpłynął jak najbliżej do drzwi wewnętrznych nieuszkodzonej sekcji. Robot unosił się bezczynnie jakiś metr od niego. Empata wiedział, że nawet lekkie manipulatory zdolne byłyby błyskawicznie rozedrzeć jego skafander, ale czuł też, że dopóki nie spróbuje przejść dalej, dopóty nic mu nie grozi.

— Jestem gotowy, przyjacielu Fletcher — powiedział. — Możecie zaczynać.

Kilka sekund później nagła zmiana emocji obcego, jak i miganie kształtów na ekranie oznajmiły początek projekcji.

— Widzi obraz — zameldował Prilicla. — Odbieram pobudzenie, zaciekawienie i zdumienie.

Kapitan nie odpowiedział, ale któryś z oficerów zaśmiał się cicho i rzucił uwagę, której Prilicla nie miał chyba słyszeć:

— Też byłbym zdumiony, gdyby ktoś zaczął mi wyświetlać gwiazdy na tle gwiazd.

Pole gwiazd z prezentacji trwało przez chwilę nieruchome, a potem zaczęło się cofać, ukazując coraz więcej świetlnych punktów, które zmieniły się ostatecznie w niemożliwy do pomylenia spiralny wir galaktyki.

Obcy był już całkowicie pochłonięty obserwacją.

Obraz zmieniał się z wolna. Znikały smugi międzygwiezdnego gazu, liczba widocznych gwiazd malała, aż zostało ich tylko kilkaset. Pojaśniały za to na tyle wyraźnie, aby można było dostrzec każdą z nich z osobna. Wokół jednej pojawił się zielony krąg, który urósł raptownie, ukazując na kilka sekund schemat układu planetarnego.

Zamieszkana planeta rosła coraz bardziej, co pozwoliło ujrzeć wędrujące ławice chmur, które nie przesłaniały całkowicie zarysu kontynentów. Potem pojawiły się ujęcia z powierzchni: równiny, morza, góry i rozległe miasta z siecią międzykontynentalnych autostrad. Ostatecznie krajobrazy zmalały, zajmując tylko połowę projekcji, na drugiej zaś pokazała się podobizna dominującej na tym świecie istoty inteligentnej.

Był to olbrzymi i kruchy latający owad z podłużnym egzoszkieletowym ciałem wspartym na sześciu rurkowatych nogach zakończonych przyssawkami. Miał też cztery jeszcze delikatniejsze kończyny chwytne oraz dwie pary rozłożystych i półprzezroczystych skrzydeł. Jego głowa przypominała zniekształcone trochę jajo z wielkimi wyłupiastymi oczami, które wyglądały, jakby miały wypaść przy pierwszym bardziej energicznym ruchu.

Istota na projekcji drgnęła, aby zademonstrować działanie kończyn, przy czym trzymała w nich jakieś narzędzia. Na koniec pomachała tęczowymi skrzydłami. Był to obraz Cinrussańczyka, przedstawiciela rasy uznawanej powszechnie w Federacji za najpiękniejszy napotkany dotąd przejaw inteligentnego życia.

Potem kończyny znieruchomiały, skrzydła ułożyły się wzdłuż grzbietu i postać otoczył skafander kosmiczny. Dokładnie taki sam, jaki miał na sobie Prilicla.

— Zdumienie i zaciekawienie narastają — oznajmił empata — chociaż dyskomfort nie znika. Przejdźmy do następnej części.

Zaczęli od pokazania rasy Prilicli, ponieważ nie był to już dla obcego rozbitka całkiem nieznajomy widok. Teraz jednak mieli nadzieję poszerzyć jego wiedzę.

Jako kolejny przedstawiony został układ Kelgian, ich planeta, środowisko oraz miejskie i wiejskie osady gąsienicowatych istot z wieloma odnóżami i srebrzystym, nieustannie falującym futrem. Widok ich spiczastych głów i drobnych rąk nie wywołał u obcego niechęci, podobnie jak i następne fragmenty poświęcone krabowatym Melfianom i sześcionogim Tralthańczykom. Zmiana zaszła dopiero przy prezentacji Hudlarian.

Na planecie Hudla panowało czterokrotnie większe ciążenie niż ziemskie, a jej atmosfera, w rzeczywistości będąca zawiesiną drobnych form życia roślinnego i zwierzęcego, które Hudlarianie wchłaniali całą powierzchnią skóry jako pożywienie, przypominała gęstą zupę. Nad tym światem przetaczały się nieustanne burze, zmuszając zamieszkujące go istoty do budowy wszelkich siedzib pod ziemią. To było miejsce, które tylko Hudlarianie mogli kochać, a i tak nie zawsze całym sercem.

— Odnajduję odczucia typowe dla strachu i rozpoznania czegoś znajomego. Jakby obcy myślał w tej chwili o swoim naturalnym wrogu. Dziwne. Dla większości ras Melflanie i Tralthańczycy są o wiele bardziej egzotyczni czy przerażający niż mało charakterystyczni Hudlarianie. Możliwe więc, że raczej sama Hudla z czymś im się kojarzy.

— To domysł, doktorze, czy może coś więcej? — spytał kapitan.

— Silne przekonanie.

— Rozumiem — mruknął Fletcher i odchrząknął. — Jeśli Hudla przypomina ich dom, gotów jestem im współczuć pomimo tego, co zrobili z *Terragarem.* Mam kontynuować?

— Proszę.

Lekcja trwała dalej. Nie ukazywała planet i środowisk wszystkich sześćdziesięciu siedmiu inteligentnych ras należących do Federacji Galaktycznej, gdyż zajęłoby to zbyt wiele czasu. Przede wszystkim miała odmalować różnorodność znanych postaci, jakie przybierało inteligentne życie. Obcy ujrzał bocianowatych trzynożnych Nallajimów, przypominających kolorowe stogi Gogleskan, śluzowatych i chlorodysznych Illensańczyków, żywiących się twardym promieniowaniem Telfich oraz istoty typu DBDG, czyli mieszkańców Ziemi, Nidii i Orligii. Nie mogli ich ominąć, skoro celem całej prezentacji było wzbudzenie zaufania obcego do dwunożnych hominidów.

— Nie działa — stwierdził rozczarowany Prilicla. — Ile razy widzi DBDG, niezależnie od tego, czy jest to wielki i włochaty Orligianin, Ziemianin czy misowaty Nidianin, reakcja jest ta sama. Intensywny strach i nienawiść. Trudno będzie ich do was przekonać.

— Co, u licha? — westchnął kapitan. — Co mogliśmy im zrobić, że nabrali do nas aż takiego uprzedzenia?

— To nie wasza wina, przyjacielu Fletcher. Ale pokaz jeszcze się nie skończył.

Teraz zamiast osobnych planet ujrzeli grupy złożone z kilku czy kilkunastu istot różnych gatunków spotykających się swobodnie i rozmawiających, czasem nawet w obecności dzieci, niekiedy zaś pracujących wspólnie nad różnymi projektami technicznymi.

Byli też ubrani w skafandry kosmiczne ratownicy wyciągający rozbitków innej rasy ze zniszczonego statku, co nad wyraz pasowało do obecnej sytuacji i powinno być jasnym przekazem. Następne ujęcia ukazały kolejno wszystkie rasy ustawione w kręgu według wielkości, od drobnych Nallajimów i Cinrussańczyków po z górą dziesięciokrotnie bardziej masywnych Tralthańczyków i Hudlarian. Pośrodku widniała sylwetka galaktyki połączona ze wszystkimi postaciami łagodnie zarysowanymi promieniami. Na koniec przed widzami przewinęły się ponownie wszystkie rasy z osobna, tyle że teraz pokazane w jednej wielkości, bez zachowania skali, co miało w założeniu uświadomić równość wszystkich członków Federacji.

Kilka sekund minęło w ciszy. Prilicla nie wyczuwał z tej odległości emocji kapitana, mógł jednak wyobrazić sobie jego obawy.

— I co, doktorze? — spytał w końcu Fletcher. — Jest jakaś odpowiedź?

— Owszem, ale ciągle ją analizuję. Poza wyczuwalnym w tle lękiem, który może być wyrazem obawy o odciętego towarzysza, odnajduję silne pobudzenie, zadziwienie i bez wątpienia zrozumienie. Powiedziałbym, że ten ktoś przyswoił sobie naszą lekcję.

Gdy zamilkł na dłuższą chwilę, kapitan znowu się odezwał:

— Domyślam się, że jest jednak jakieś „ale”.

— Owszem. Ilekroć pokazywaliście jakiegoś DBDG, rozbitek przejawiał głęboką podejrzliwość i nieufność. Nie jest już tak źle jak wcześniej, ale dobrze też nie. Sądzę, że nadal nie powinniście się tu pojawiać.

Po raz pierwszy, od kiedy Prilicla zawitał na pokład *Rhabwara,* kapitan użył słów, których autotranslator nie przetłumaczył.

— I jak, u diabła, mam to zmienić? — dodał.

Prilicla rozejrzał się uważnie po korytarzu, wskazał na jedną z przezroczystych odsłon, zbliżył się do niej i zaczął otwierać właz. Robot nie próbował mu przeszkadzać nawet wtedy, gdy mały empata sięgnął do środka i po chwili wahania, którą można było zinterpretować jako oczekiwanie na zgodę, dotknął jednego ze zwoju przewodów. Gdy się odezwał, był pewien, że kapitan pilnie śledzi każdy jego ruch.

— To była wielka przemowa, przyjacielu Fletcher, o kosmicznej współpracy i wzajemnej gotowości do niesienia pomocy...

— Sugerowałem, aby włączyć do prezentacji szczegółową relację z akcji ratunkowej ze scenami, w których rozbitkowie wydobywani są z wraku i otrzymują pomoc medyczną. To by jasno pokazało nasze intencje.

— Nie zgodziłem się na to z obawy przed nieporozumieniem — odparł Prilicla. — Przy obecnym poziomie lęku i braku zaufania widok zespołu, w którym musiałby znaleźć się przynajmniej jeden DBDG, może nawet operujący rannego, mógłby wywołać trudną do przewidzenia reakcję. Nie wiemy nic o fizjologii czy środowisku tych obcych, nie znamy ich medycyny, jeśli w ogóle takowa istnieje. Mogliby uznać, że to scena przedstawiająca torturowanie jeńców.

Kapitan nie odpowiedział.

— Chwilowo nic nie możesz na to poradzić, przyjacielu Fletcher — podjął po chwili Prilicla. — Oczywiście poza wspomożeniem mnie swą radą i doświadczeniem technicznym.

Wspominałem ci już o moim pomyśle i rozumiem, dlaczego nie odniosłeś się do niego z entuzjazmem. Seans nie przyniósł jednak rozstrzygnięcia pora zatem przejść do czynów i pokazać, że to nie był tylko film.

Wycofał powoli rękę, zamknął właz i przeszedł do identycznej osłony z drugiej strony korytarza, gdzie widać było ślady zniszczeń. Gdyby robot był żywą istotą, Prilicla czułby zapewne jego oddech na karku, ale maszyna nie zrobiła nic, aby go powstrzymać.

W ciemniejszym sektorze musiał włączyć lampę, aby otworzyć kolejny właz i zajrzeć do środka. Dotknął kilku pętli odbarwionych i porwanych kabli i przewodów. Nic się nie stało. Robot nadal nie przeszkadzał, Prilicla jednak poczuł się mniej pewnie i zaczął już wątpić w swoje siły, gdy kapitan odezwał się wiedziony tym dziwnym rodzajem empatii, która pozwalała Ziemianom odpowiadać na pytania jeszcze niezadane.

— Powinien pan zacząć od czegoś łatwego — powiedział. — W górnej części tego włazu, który otworzył pan pierwszy, znajdują się dwa grubsze kable. Jeden ma chyba bladoniebieską izolację, drugi — czerwoną. Jeśli przyjrzy się pan uważnie, dostrzeże, że oba biegną w prawo, wyginają się i znikają w pierścieniu uszczelniającym od strony sufitu. Eksplozja zerwała jeden z nich w miejscu zgięcia. Widzi pan gołe przewody wystające z izolacji? Proszę je połączyć, uważając przy tym, aby nie dotykać podczas pracy żadnego innego metalowego elementu. Pańskie rękawice są raczej cienkie, a my nie wiemy, jakie napięcie zastosowali w tej sieci. Potem będzie pan potrzebował taśmy izolacyjnej, aby zabezpieczyć złącze.

— W zestawie medycznym jest taśma chirurgiczna — odparł Prilicla. — Nada się?

— Tak, doktorze, ale proszę uważać.

— Starczyło kilka minut, aby spleść przewód i okleić go taśmą. Akcja Prilicli spowodowała, że nieczynne do tej pory lampy w korytarzu zapaliły się na nowo. Robot przesuwał się od jednej do drugiej, meldując zapewne żywej załodze o wykonaniu naprawy.

Nie było to wiele, ale wreszcie coś.

— I co dalej? — spytał empata.

— Teraz trudniejsze, proszę więc nie rozpędzać się zanadto. Kolejne uszkodzone przewody są znacznie cieńsze i częściowo odbarwione. Będzie pan musiał prześledzić każdy z nich do miejsca, w którym zdoła pan ustalić dokładnie jego kolor. Jeśli pomyli się pan i splecie coś niewłaściwie, mogą z tego wyniknąć kłopoty. Sądzę, że w tym wypadku chodzi o połączenia z czujnikami na poszyciu kadłuba oraz wewnętrzną sieć łączności, proszę więc wyobrazić sobie, jak by pan się czuł, gdyby ktoś podłączył panu nerw słuchowy do oka.

Wiem, że trudno jest naprawiać urządzenia, o których przeznaczeniu nie mamy pojęcia, i żałuję, że nie ma mnie tam z panem. To będzie bardzo trudna, precyzyjna i wyczerpująca praca. Jest pan gotów, doktorze?

— Spokojnie — odparł Prilicla. — Chirurgia mózgu jest trudniejsza.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wprawdzie kapitan prowadził go krok po kroku i nie żałował porad, praca jednak przebiegała wolno. Dodatkową trudność sprawiały te miejsca, gdzie kable zostały spalone, czasem nawet na długości kilku cali, i trzeba było je czymś zastępować. Odpowiedni materiał znajdował się na *Rhabwarze* i kapitan zaproponował, że dostarczy go osobiście, zapewne w nadziei, że uda mu się dołączyć do Prilicli i przez swój bezpośredni udział przyspieszyć robotę.

— Niech pan przyniesie też coś do jedzenia, przyjacielu Fletcher — poprosił Prilicla. — Oszczędzę sporo czasu, jeśli nie będę wracał na statek, aby coś zjeść czy się wyspać.

Empata poczekał uprzejmie, aż kapitan zgłosi możliwe do przewidzenia obiekcje, potem odezwał się ponownie:

— Owszem, jest to pewne ryzyko, ale nie jestem lekkomyślny. Mój skafander posiada system usuwania produktów przemiany materii oraz podajnik, przez który mogę wprowadzić żywność. W warunkach nieważkości spokojnie obejdę się bez miękkiego posłania. Uważam, że jeśli chcemy, aby nam uwierzyli, sami też powinniśmy okazać im trochę zaufania.

— Zgadzam się, aczkolwiek czynię to niechętnie — powiedział kapitan po dłuższej chwili. — Gdybym jednak zdołał wyjaśnić, że panu pomagam, może mógłbym zostać?

— O to ogólnie nam chodzi, przyjacielu Fletcher. Ale na razie proponowałbym nie przyspieszać biegu zdarzeń.

— Racja — mruknął kapitan. — Przyniosę prowiant, sporo kabli i kilka prostych narzędzi, które mogą się przydać. Zapakuję je do przezroczystego pojemnika, aby wszyscy zainteresowani mogli dojrzeć, z czym przybywam. Już wyruszam.

Ale gdy zbliżył się do statku, emocje rozbitka ponownie zostały zdominowane przez strach i robot czym prędzej ruszył ku włazowi, aby bez dwóch zdań przechwycić przybysza.

Prilicla poszedł za nim i gdy stało się jasne, że kapitan nie zostanie wpuszczony, empata przejął od niego bagaż.

— Przykro mi, przyjacielu Fletcher — dodał przy tym. — Obawiam się, że nie jesteś tu jeszcze mile widziany. Zastanawiałem się jednak nad możliwym wytłumaczeniem tej sytuacji. Zdziwiło mnie, że mimo wyraźnego wyczulenia na kontakt ze światem zewnętrznym zarówno statek, jak i robot nie posiadają systemów obronnych, które działałyby na większy dystans. Ten wirus to raczej dziwna kosmiczna broń.

— Ale znacznie potężniejsza też była tu w użyciu — zaprotestował kapitan. — Coś wywaliło wielką dziurę w kadłubie i zniszczyło jednego robota. Niemniej słucham.

— Podczas pokazu wyczułem, że rozbitek dowiadywał się czegoś całkiem dlań nowego.

Było podniecenie i podziw, ale poziom zaskoczenia był niższy od spodziewanego. Całkiem jakby oczekiwał podobnego spotkania albo przynajmniej miał silną nadzieję, że ono nastąpi.

Jeśli mam rację, oznaczałoby to, że podróże międzygwiezdne są dla tej rasy czymś nowym.

Może nawet mamy do czynienia z pierwszą ich wyprawą. Zapewne badawczą, a dokładniej: poszukiwawczą. Podczas prezentacji Hudli wyczułem emocje sugerujące, że chociaż tamten świat wydał się obcemu odpychający, był jednak również do pewnego stopnia znajomy.

Pierwsze nie dziwi, bo tylko Hudlarianie mogą cenić swoją planetę, natomiast drugie... To tylko przypuszczenie, ale sądzę, że ten statek wyruszył na poszukiwanie nowego lepszego świata. Skoro doleciał aż tutaj i wszedł na orbitę, może to oznaczać, że go znalazł. Kapitan machnął niecierpliwie ręką.

— Ciekawa teoria, ale nie ma żadnego oparcia w znanych nam faktach i nie wyjaśnia, kto ich zaatakował.

Prilicla wolałby nie udowadniać kapitanowi błędów w rozumowaniu, zwłaszcza teraz, gdy byli tak blisko siebie. Zachował więc ostrożność.

— Jest pan pewien? Niech pan pomyśli o charakterze tych uszkodzeń. Jeśli ta rasa jest nowa w próżni, nie korzystała zapewne nigdy wcześniej z boi alarmowych. Przypuśćmy, że znalazła tę planetę, zieloną i niezamieszkaną, a także o wiele ciekawszą od jej świata. W tej sytuacji chciałaby zapewne przekazać jakoś jej koordynaty. Najprościej można to zrobić za pomocą detonacji urządzenia sygnałowego. Nie boi alarmowej, bo przecież nie oczekiwali pomocy, ale czegoś do niej podobnego. Urządzenie nie zostało jednak należycie przetestowane i wybuchło im w twarz. I to właśnie możemy brać za skutki użycia broni.

*Terragar* zareagował, zanim tu przybyliśmy, i w rezultacie sam musiał użyć swojej boi.

Podsumowując, sądzę, że do uszkodzenia obcego statku mogło dojść przez przypadek i brak doświadczenia.

— To dość fantastyczna teoria — mruknął kapitan — ale też zgrabna. Nie wyjaśnia tylko, dlaczego i robot, i statek są tak mocno chronieni przed fizycznym kontaktem. To sugeruje, że spodziewali się jednak jakiegoś ataku. Jeśli uważa pan, że się mylę, proszę nie owijać w bawełnę.

— To może być czysto automatyczny system obronny — powiedział Prilicla.

Kapitan nie odpowiedział. Zaczynał wątpić w słuszność swoich racji, co zmniejszyło radykalnie przykrą dla empaty irytację wywołaną wcześniejszą krytyką.

— Proszę się zastanowić nad specyfiką tej ochrony — dodał Prilicla. — Bez szkody można dotknąć poszycia statku i korpusu robota gołą ręką albo prostym narzędziem bez elektroniki.

Jeśli założymy, że rasa ta pochodzi z planety o gęstej albo mocno niespokojnej atmosferze, gruba i opływowa powłoka będzie konieczna do przetrwania, tak jak w wypadku Hudlarian.

Jeśli jednak mają tam jakiegoś wroga, może nawet inteligentnego i rozwiniętego technicznie, taki właśnie system obronny byłby idealny do ochrony statku podczas budowy, startu i lądowania. A jeśli jeszcze ten hipotetyczny przeciwnik przypomina zewnętrznie DBDG, sprawa staje się jasna.

Kapitan wydał jakiś nieprzetłumaczalny dźwięk.

— Mamy chyba wielkie szczęście, że nie są uczuleni na przerośnięte kraby, wielkie gąsienice, sześcionogie słonie czy duże latające owady — powiedział. — Ale wracając do naprawy, doktorze. To będzie ciężka praca fizyczna, niewolna przy tym od stresu. W każdej profesji zmęczenie zaburza jakość działań. Jak pan sądzi, ile pan wytrzyma, zanim będzie pan musiał zrobić przerwę na wypoczynek?

Prilicla podał przesadzoną wartość, pewien, że kapitan i tak w myślach znacznie ją obetnie. Potem wrócił do środka i od tej chwili Fletcher mówił już prawie cały czas, nadal próbując dodać empacie pewności siebie.

— ...Zanim eksplozja zdarła osłonę z tych przewodów, wiązka składała się z dziesięciu kabli. Obejrzałem je pod powiększeniem i jestem pewien, że mają za mały przekrój, aby przewodzić prąd pod wysokim napięciem. Noszą jednak te same oznaczenia co grubsze kable biegnące pod poszyciem kadłuba, zatem mają coś wspólnego z czujnikami albo łącznością.

Niech to... Naprawdę żałuję, że nie jestem tam z panem. I z odpowiednimi narzędziami.

Proszę nie brać tego za krytykę, doktorze. Świetnie pan sobie radzi.

Prilicla nie zareagował, kapitan bowiem przez ostatnią godzinę kilka razy wygłosił podobną kwestię i zaraz za nią przepraszał. Rzeczywiście wydawało się, że przepełnia go raczej chęć pomocy niż irytacja. Obecnie poszukiwali przede wszystkim końcówek systemu czujników oraz modułów łączności, aby przywrócić kontakt pomiędzy rozbitkami. Istniała poważna szansa, że jeśli im się uda, będzie to najlepszy z możliwych dowód ich dobrych chęci. Prilicla ostrożnie oddzielał kolejne, cienkie jak włos przewody, sztukował je i splatał.

Nagle cofnął ręce, poruszony emocjonalnym sygnałem poszkodowanego członka załogi. Był to znak bardzo przykrych odczuć, które zaraz jednak ustały. Rozbitek potrzebował jeszcze kilku sekund, aby się uspokoić.

— Co się stało? — spytał Fletcher ostro. — Jest pan ranny?

— Nie — odparł Prilicla i dał sobie chwilę na pozbieranie myśli. — Musiałem zetknąć przez przypadek niewłaściwe przewody. To wywołało silny dyskomfort u jednego, a może obojga obcych. I chwilę złości. Emocje były charakterystyczne dla odbioru nazbyt silnego bodźca słuchowego albo wzrokowego. Muszę bardziej uważać.

Kapitan odetchnął głośno.

— Tak. Ale trudno było uniknąć tego błędu, skoro wszystkie przewody z tej wiązki zostały oznaczone tym samym kodem, różniącym się jedynie odcieniem. Ledwie odróżniam je pod powiększeniem, pan jednak — nawet przy doskonałym wzroku — może się łatwo pomylić. Następnym razem proszę pokazać mi wyraźnie kable, które zamierza pan połączyć, i poczekać z działaniem na potwierdzenie, że wszystko się zgadza. Dobrze będzie też osłonić pozostałe nagie przewody podczas natryskiwania izolacji, aby nie ryzykować spięcia. Proszę mi przekazywać wszelkie wątpliwości. Poza tym niech pan działa dalej, doktorze. Już niewiele zostało.

Prilicla pracował nadal, kapitan pomagał mu i dodawał ducha. Nie było już więcej wypadków, niemniej emocje rozbitka w nieuszkodzonej części centrali przybierały na sile.

Nie była to żadna ostra reakcja, ale coraz wyraźniejszy strach połączony z nadzieją. W pewnej chwili Prilicla zaczął odczuwać je wręcz boleśnie, gdy nagle wszystko utonęło w eksplozji żywej radości. Empata zadrżał i przysunął się do wewnętrznych drzwi, przez które wcześniej nie pozwolono mu wejść. Przyłożył stetoskop do nagiego metalu.

— Cały się pan trzęsie, doktorze — powiedział kapitan zaniepokojony. — Nic panu nie jest? Co się dzieje?

— Ze mną wszystko w porządku — odparł Prilicla, starając się odzyskać spokój. — I to bardzo w porządku. Rozbitkowie odzyskali kontakt — zapewne dzięki ostatnio połączonym przewodom. Próbuję wyłapać coś z ich mowy, aby wprowadzić materiał do autotranslatora, ale na razie niczego nie słyszę. Być może nie ma tu dosyć powietrza, aby przenosiło dźwięki, albo rozbitkowie osłonięci są czymś w rodzaju hełmów.

— Niemal na pewno tak jest, bo ciśnienie w ich sekcji cały czas spada — powiedział kapitan. — Jak się teraz czują?

— Obecnie trudno to rozpoznać i określić jednoznacznie, zwłaszcza słowami.

Odczuwają ulgę, podniecenie i radość z przywrócenia kontaktu oraz z powodu informacji, jakie mają sobie do przekazania. Na pewno będą zawierały opis reakcji pierwszego rozbitka na nasze działania i stanu fizycznego drugiego, który moim zdaniem ciągle nie jest najlepszy.

W jego wypadku potrzeba interwencji medycznej staje się coraz pilniejsza. U obu istot występuje również silne i niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek innym poczucie wdzięczności.

— Dobrze! — sapnął kapitan. — Skoro odczuwają wdzięczność, musieli zrozumieć, że staramy się im pomóc. Ale czy sądzi pan, że gotowi są już nam zaufać?

Prilicla nie odpowiedział od razu, koncentrując się na obu źródłach emocji, z których jedno było słabe z powodu odległości, drugie zaś — przez wyczerpanie.

— Nadal wyczuwam u obojga strach związany ze wspólną już teraz świadomością, że istoty, których tak bardzo się boją, znajdują się gdzieś obok. Mogę się mylić, jako że nie jestem telepatą, ale sądzę, że nie są jeszcze przygotowani do zaprzyjaźnienia się ze swoim największym koszmarem. Trzeba czegoś więcej, aby przełamać ich nieufność. Poza tym robota tutaj nie została jeszcze zakończona.

Kapitan nie zadał oczywistego w tej sytuacji pytania, pewien, że Prilicla sam zaraz wszystko powie.

— Analizując emocje drugiego rozbitka, stwierdzam, że jest on tak wycieńczony, iż ledwie zachowuje spójność myślenia. Czuje się coraz gorzej i narasta w nim lęk typowy dla istot bliskich śmierci z niedotlenienia lub odwodnienia. Jeśli nasze starania mają przynieść coś dobrego, musimy dokończyć naprawę jego systemu podtrzymywania życia.

— Czyli teraz będzie pan musiał zostać również hydraulikiem — zaśmiał się kapitan. — Dobrze, doktorze, czego dokładnie pan potrzebuje?

— Tak jak wcześniej, przyjacielu Fletcher, szczegółowych wskazówek, ponieważ zupełnie nie wiem, co powinienem robić. Wcześniej jednak chcę wskazać robotowi, który jest oczami pierwszego rozbitka, sekcję, od jakiej zacznę naprawę. Pan w tym czasie może ocenić sytuację i powiedzieć mi, co trzeba tam zrobić i jak to przeprowadzić za pomocą materiałów i narzędzi, jakimi dysponuję. Ponadto zauważyłem tutaj ulatniające się z przerwanych rur opary. Być może jest to powietrze albo zwykła para, ale nie mogę wykluczyć też wycieku toksycznego płynu hydraulicznego wykorzystywanego w mechanizmach otwierających drzwi. Pobiorę próbki i zbadam je w moim analizatorze. Jeśli okaże się, że to mieszanka oddechowa albo roztwór oparty na wodzie, poproszę o zsyntetyzowanie zapasu tej substancji i przysłanie go w przezroczystych pojemnikach. Mają być oznaczone tymi samymi kodami, jakie widnieją na odnośnych rurach. To powinno uspokoić obcych. Proszę zostawić wszystko przy włazie, przymocowane do kadłuba, tak abym łatwo znalazł pojemniki i zabrał je do środka. Naprawiliśmy im łączność i mogą ze sobą rozmawiać, ale to nie potrwa długo, jeśli jeden z rozbitków się udusi.

Następne dwie godziny upłynęły im na śledzeniu trasy rur, sprawdzaniu kodów ich oznaczeń i nakładaniu uszczelnień na co mniejsze przecieki. Prilicla wiedział, że najtrudniejsze jeszcze przed nim, był jednak dobrej myśli. Kapitan zaś nie podzielał jego podejścia.

— To nie ma nic wspólnego z neurochirurgią, doktorze — powiedział w pewnej chwili. — Do tego potrzebna jest siła, nie precyzja. Pańskie kończyny nie zdołają obsłużyć narzędzi do cięcia metalu, jeśli ci obcy dopuszczą do ich użycia, ani ciężkich kluczy. Jest pan zbyt kruchy, aby wywrzeć odpowiedni nacisk. Do tego potrzeba pary silnych ludzkich rąk i silnego grzbietu. Powinienem do pana dołączyć.

Prilicla nie odpowiedział, kapitan podjął więc wątek:

— Pokażę im jeszcze jedno nagranie, przedstawiające naprawę statku przeprowadzaną przez przedstawicieli wielu gatunków, w tym i Ziemian. Po tym, co już dla nich zrobiliśmy, powinni być zdolni do opanowania fobii i może mi zaufają. Wezmę lekki skafander bez dodatkowego wyposażenia, tylko z radiem, do tego palnik i proste narzędzia oraz rury na wymianę. Wszystko będzie w przezroczystym pojemniku, jak pan proponował. Jeśli weźmiemy się do tego razem, naprawa potrwa kilka razy krócej, a czasu, jak pan mówi, nie mamy za wiele...

— Przepraszam, ale w obecnej chwili to niemożliwe...

— Niech pan chociaż pozwoli spróbować, doktorze — przerwał mu kapitan. — Mogę zjawić się tam za niecałą godzinę.

— Teraz jest to niemożliwe, przyjacielu Fletcher, ponieważ za dziesięć minut zasnę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tak jak Prilicla się spodziewał, robot się znacznie ożywił, gdy tylko kapitan pojawił się obok statku i spróbował wejść do środka. Otworzył na chwilę zawór pojemnika, aby zademonstrować, że zawiera on jedynie gaz, potem jeszcze kilka razy musiał wskazywać na przyniesione odcinki rur i mały palnik, nim uzyskał wolną drogę. Gdy dotarli obaj do uszkodzonej sekcji, emocje rozbitków w oczywisty sposób uświadomiły Prilicli, że strach przed DBDG nie zniknął i mógł w każdej chwili przeważyć nad rodzącym się zaufaniem.

— Przyjacielu Fletcher — odezwał się więc do kapitana. — Unikaj gwałtownych ruchów, które mogłyby zostać uznane za agresywne. Najlepiej będzie, jeśli na razie ograniczysz swoją aktywność do podawania mi narzędzi i rur i w ogóle będziesz się zachowywał, jak ktoś zupełnie mi podległy.

— Nie musi mi pan przypominać, kto rządzi na miejscu katastrofy — zauważył kapitan oschle.

Mimo zawartego w tych słowach sarkazmu emocje Fletchera wolne były od urazy, Prilicla zatem nie podjął wątku, tylko skupił się na tym, co najważniejsze.

— Dopiero później postaram się pokazać jednoznacznie rozbitkom, że pańska pomoc jest mi niezbędna. Na szczęście to, czy zrozumieją, będę zdolny wyczuć.

Nie trwało długo, a natrafili na pierwszą trudność. Jedna z rur okazała się tak powyginana, że przytrzymujące ją mutry nijak nie dawały się ruszyć. Prilicla próbował tak i siak, ale był zdecydowanie za słaby. Ostatecznie wycofał się i wskazał na duże i silne dłonie kapitana. Robot zaraz przysunął się bliżej. Jego metalowa powierzchnia zdawała się odbijać niepokój obcych.

— Zajmij się tym, przyjacielu Fletcher — powiedział empata. — Ale bez gwałtownych ruchów. Nadal ich przerażasz.

Kapitan mocował się z upartą rurą kilka długich minut i zgrzał się przy tym tak bardzo, że system chłodzący skafandra ledwie uchronił szybę jego hełmu przed zaparowaniem. W końcu mutry puściły i rura została wyjęta. Fletcher odszukał wśród przyniesionych przewodów taki z bocznym przyłączem i zaworem, przyciął go do właściwej długości i sprawnie zamontował. Prilicla podał mu elastyczny wąż prowadzący do pojemników. Kapitan podłączył go do instalacji, wcześniej wskazując kilka razy robotowi identyczne kody widniejące na starej i nowej rurze oraz pojemniku. Maszyna obserwowała wszystko pilnie i prawie że wchodziła na plecy Fletchera, nie przeszkadzała jednak.

— Wyczuwam lęk, ale i zrozumienie — powiedział Prilicla. — Chyba pojmują, co próbujemy dla nich zrobić. Otwieram zawór.

Wcześniejsza analiza pokazała, że rozbitkowie oddychali niemal taką samą mieszanką co większość ciepłokrwistych tlenodysznych. Prilicla nie próbował do niej niczego dodawać, zawierała więc tylko podane w odpowiednich proporcjach tlen i azot. Przez kilka minut empata nie wyczuwał żadnej szczególnej reakcji rozbitków, nagle jednak wyraźnie zadrżał.

— Co jest? — spytał kapitan.

— Nic. Poczucie duszności minęło, ale ten drugi rozbitek nadal cierpi z powodu wygłodzenia, pragnienia albo ran. Lub wszystkich tych czynników razem. U obu wyczuwam pozytywne emocje ulgi i wdzięczności. Nadal boją się ciebie, ale nienawiść i nieufność osłabły. Dobra robota, przyjacielu Fletcher.

— To pańska akcja — odparł kapitan z zakłopotaniem. — Teraz, gdy ma już czym oddychać, sprawdźmy, czy zdołamy podać mu coś do jedzenia i picia. Na jednej z pękniętych rur widzę jakieś plamy. To może być zaschnięta mieszanka odżywcza. Jeśli analiza to potwierdzi, moglibyśmy...

— Nie, przyjacielu Fletcher. Na to może zabraknąć czasu. Psychiczna kondycja drugiego rozbitka poprawia się, ale jego organizm jest skrajnie osłabiony. Od teraz musimy działać z pełnym rozeznaniem, i to szybko. Przyniosłeś dodatkowe zbiorniki powietrza. Czy jeśli opróżnimy je tutaj, stworzą wystarczające ciśnienie, abyśmy mogli oddychać i rozmawiać?

Zdumienie kapitana szybko przeszło w zrozumienie.

— Domyślam się, że chce pan spróbować porozumieć się z nimi i poprosić o instrukcje.

Gdybyśmy wiedzieli coś więcej o ich systemie łączności, moglibyśmy rozmawiać przez radio.

Nie mamy jednak pojęcia, czy w ogóle mają uszy — dodał i pokręcił głową. — Nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie. Ta sekcja została uszkodzona i może nie być hermetyczna.

Ale nie zaszkodzi spróbować.

— Dobrze, tylko nie tutaj — odparł Prilicla. — W tym celu wrócimy do pierwszego korytarza w nieuszkodzonej części centrali. Tam wszystkie drzwi i panele wyglądają na hermetyczne. Na wszelki wypadek dodatkowo potraktuję je pianką uszczelniającą. Jest dość lekka, aby nie utrudnić później otwarcia drzwi. Pan niech tymczasem uzgodni wszystko z *Rhabwarem.*

— Tak jest — powiedział Fletcher i wycofał się z ciasnej wnęki inspekcyjnej, zamknął właz i idąc za Priliclą, zaczął wydawać przez radio cały szereg poleceń.

Gdy skończył mówić, empata uszczelnił już pomieszczenie. Z zaworów zaczęła wydobywać się lekka mgiełka. Nie trwało długo, a usłyszeli syk uwalnianego powietrza.

— Ciśnienie jest wysokie i chyba stałe — powiedział po kilku minutach kapitan. — Starczy go do przewodzenia dźwięków. Możemy też otworzyć hełmy, chociaż nie wiem, czy to nie nazbyt szalone...

— Jedno szaleństwo więcej, jedno mniej — stwierdził filozoficznie Prilicla. — Poza tym będzie to widomy znak, że im ufamy i jesteśmy przyjaźnie nastawieni. Unikniemy też zniekształcenia głosu przez mikrofony skafandrów. Mam nadzieję, że mechaniczny przyjaciel słyszy i mówi równie dobrze, jak widzi. Czy *Rhabwar* gotowy?

— Projektor i komputer tłumaczący w pogotowiu — odparł kapitan, rozszczelniając hełm. — Pan mówi pierwszy, doktorze. Przywilej dowódcy.

Jego słowom towarzyszyły pobudzenie, wyczekiwanie i odrobina ulgi charakterystyczne dla tremy i braku pewności, czy podejmowana próba zakończy się sukcesem. Prilicla nie miał tych wątpliwości. Zgiął przednią kończynę niemal we dwoje i wskazał na siebie.

— Prilicla, Prilicla, Prilicla. Jestem Prilicla — powiedział wyraźnie.

Potem wskazał na wewnętrzne drzwi. Gdy nie doczekał się odpowiedzi, skinął na kapitana, aby teraz on spróbował. Wiedział, że śpiewne trele języka Cinrussańczyków były naprawdę trudne do powtórzenia.

— Fletcher, Fletcher, Fletcher — odezwał się kapitan, wskazując na siebie i też wyciągając potem rękę w stronę drzwi.

Robot wydał z siebie krótki ostry dźwięk przypominający skrzypienie zawiasów.

— Co to było, u licha? — mruknął Fletcher ze złością. — Słowo czy krótkie spięcie?

— Zapewne słowo, może nawet więcej niż jedno — odparł Prilicla. — Usłyszał nas, wyczuwam bowiem falę zrozumienia i skupienie. Może wymawiają słowa bardzo szybko, jak Nallajimowie. Spróbujmy raz jeszcze, tym razem bardzo wolno. Niewykluczone, że wtedy bardziej się postara.

— Pri‑li‑cla — powtórzył empata z podobną jak wcześniej gestykulacją.

Kapitan uczynił to samo.

— Keet — powiedział robot. — Pil‑ik‑la, Flet‑czer.

Prilicla wskazał na zamknięte drzwi.

— Keet — powtórzył, a potem wskazał w stronę sąsiedniego korytarza.

— Jasam — oznajmił robot.

— Rozmawiamy! — Na chwilę radość kapitana przyćmiła prawie wszystkie emocje rozbitków prócz ich coraz silniejszej potrzeby pośpiechu.

— Jeszcze nie — odparł Prilicla. — Na razie tylko się przedstawiamy, ale to dobry początek.

— Obawiam się, że doktor ma rację, kapitanie — odezwał się z *Rhabwara* Haslam. — Komputer potrzebuje więcej danych. Bez czasowników z opisem towarzyszących im działań nie stworzymy słownika.

— Przyjacielu Haslam — powiedział Prilicla. — Pokaż im raz jeszcze obrazy planet i ich mieszkańców. Nie wszystkie, tylko Cinrussa i Ziemi. Potem daj szkic jednego z ich robotów i jakiś ogólny krąg świata bez cech szczególnych.

Na ekraniku w skafandrze dojrzał, że projekcja zawisła już w próżni.

— Fletcher to Ziemia, Prilicla to Cinruss, Keet to... — powiedział i czekał.

Robot nie zastanawiał się długo.

— Flet‑cze Zimia, Pil‑ik‑la Cin‑russ, Keet Trolan.

— Zaczynamy do czegoś dochodzić, doktorze — rzucił z radością Haslam, ale zaraz spoważniał. — Nazwy i imiona są pomocne, ale potrzebuję więcej. Nadal nie znamy żadnego czasownika.

W odróżnieniu od swojego znacznie większego rodzica ze szpitala pokładowy komputer tłumaczący *Rhabwara* nie dysponował zapisami wszystkich pisków, kliknięć, jęków i posykiwań będących odpowiednikami mowy różnych inteligentnych istot Federacji, który to bank danych umożliwiał niekiedy porównawcze odcyfrowywanie nowo poznanych języków. Niemniej podczas poprzednich akcji ratunkowych załoga statku szpitalnego przekonała się, że ich maszynka również potrafi zdziałać zdumiewająco wiele, i to z bardzo niewielką pomocą z zewnątrz.

— Przyjacielu Fletcher — powiedział Prilicla, wskazując na przezroczystą torbę z materiałami remontowymi. — Potrzebny mi krótki kawałek kabla, który da się łatwo rozerwać, i odcinek rury. Masz taką, która ma cienkie ścianki i da się złamać bez sypania odłamkami?

Kapitan nie zastanawiał się długo, tylko szybko wyciągnął odcinek kabla, zwinął go na dłoniach i zerwał szarpnięciem, potem zamiast rury wydobył cienki odcinek sztywnej otuliny izolacyjnej i złamał ją w dłoniach.

— Tak i nie, doktorze. Ta koszulka nie kruszy się przy łamaniu, ale trzeba ludzkiej siły, aby ją rozerwać.

Prilicla wskazał na odcinek nieuszkodzonej rury za jednym z włazów, a potem ku korytarzowi, który prowadził do uszkodzonej sekcji. Następnie uniósł dwa kawałki złamanej otuliny i połączył je tak, że miejsce złamania było prawie niewidoczne. To samo zrobił z przerwanym kablem. Powtórzył pantomimę kilka razy i dopiero później się odezwał.

— Kable, rury — powiedział, wskazując na kapitana i siebie. — Naprawić kable i rury.

Łączyć kable i rury. Naprawiać — wykonał szeroki gest, jakby wskazywał cały statek — wszystko.

Pierwszy z rozbitków wiedział już, że ich podstawową działalnością było obecnie naprawianie, ale nie znał słowa, którym określali tę aktywność. Prilicla milczał, czekając na błysk zrozumienia, niepewny, czy całe jego pytanie dotrze do obcego. Nie rozczarował się.

— Pil‑ik‑la, Flet‑cza — powiedział robot. — Nap‑ra‑wicz Jas‑am.

Kapitan roześmiał się z ulgą, ale umilkł zaraz, aby jego głośne zachowanie nie wystraszyło gospodarzy. Haslam wydawał się podobnie uradowany.

— To jest to! — powiedział porucznik. — Zaczynamy tłumaczyć. Mówcie do niego jak najwięcej, wspomagając się gestami w razie potrzeby. Z początku rozmowa będzie kulała, ale szybko zyskamy słownik. Tłumaczenie będę przekazywał wam na słuchawki. Dobra robota.

Jakieś inne polecenia?

— Bądź gotów, przyjacielu Haslam, do przedstawienia kolejnych obrazów. Przytnij wcześniejszy materiał, zachowując jedynie akcję ratunkową, i dodaj coś pokazującego transport rannych na *Rhabwara* i ich późniejsze leczenie. Leczenie potraktuj skrótowo i bez drastycznych szczegółów, aby nie pomyśleli, że kogoś torturujemy. Wyeksponuj różnicę przed i po, czyli rannych rozbitków i rozbitków zdrowiejących. I przygotuj to wszystko jak najszybciej.

Spoglądając na drzwi i unoszącego się przed nim robota, Prilicla ponownie połączył powolnym gestem odcinki otuliny.

— Naprawić powoli — powiedział, powtarzając gest kilka razy, potem zetknął odcinki energicznym ruchem. — Naprawić szybko. Naprawić Jasam szybko — dodał, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Wyczuł zrozumienie i zgodę przebijające przez nieustanne zatroskanie.

— Keet, słowo na określenie tego brzmi „tak”. Wskazał w kierunku modułu, gdzie znajdował się Jasam, i ponownie uniósł otulinę, aby pokazać, że jedno i drugie jest zepsute.

Potem wskazał na nieuszkodzone rury i drzwi do przedziału Keet.

— Aby naprawić Jasam — powiedział, wzbogacając słowa o wcześniejszą gestykulację — muszę zobaczyć Keet. Porównać z Keet bez naprawiania.

Zrozumienie przyszło powoli, ale gdy zaświtało, ponownie pojawił się strach.

— Trzymaj przeklętego druula z daleka od nas! — usłyszał w słuchawkach głos coraz sprawniej radzącego sobie komputera. — Nie ufam mu! Jesteśmy oboje osłabieni i bezbronni i on nas pożre. Myśleliśmy, że chociaż kosmos jest wolny od tego robactwa!

— Nie bój się — powiedział Prilicla, ignorując wzburzenie kapitana i wspomagając obcego pozytywnym przekazem empatycznym. — Fletcher nawet cię nie dotknie. On naprawia maszyny. Prilicla naprawia ludzi.

Cichy komentarz kapitana zginął w syku otwieranych drzwi.

Za nimi znajdowało się niewielkie pomieszczenie niemal całkiem wypełnione rurami, kablami i stelażami. Przewody zbiegały się w owalnym kształcie pośrodku przedziału. Górna część jajowatego obiektu była przezroczysta, co pozwalało dojrzeć znajdującą się w środku istotę. Prilicla sklasyfikował ją jako CHLI. Była bardzo podobna do robota, tyle że zamiast srebrzystej metalowej powłoki okrywała ją brunatnoróżowa skóra. Pojemnik był dokładnie otoczony panelami kontrolnymi znajdującymi się w zasięgu krótkich kończyn istoty.

Pożywienie i woda musiały być dostarczane za pomocą wszczepionych w ciało implantów, podobnie rozwiązano najpewniej kwestię usuwania produktów przemiany materii.

Prilicla zadrżał mimo woli. Dla kogoś równie podatnego na ksenofobię jak latający owad z Cinrussa był to widok wręcz porażający. Empata zrozumiał, że właściwa załoga statku nie miała praktycznie żadnej swobody ruchu i była w pełni i bezpośrednio podczepiona do systemu podtrzymywania życia. Zamontowali ich tutaj tak samo jak resztę wyposażenia, pomyślał. Sięgnął po skaner i pokazał go Keet ze wszystkich stron, potem zademonstrował działanie urządzenia na sobie.

— To cię nie zrani — powiedział. — Pozwoli mi zobaczyć wnętrze twojego ciała i zrozumieć jego budowę, abym wiedział, jak was naprawiać.

— Będziesz mógł naprawić Jasama?

Komputer podawał już tłumaczenie całkiem swobodnie i coraz wierniej. Nadal jednak istniało ryzyko nieporozumienia. Aby ograniczyć je do minimum, Prilicla musiał dowiedzieć się jak najwięcej o obcych, samemu mówiąc cały czas prawdę i tylko prawdę. Był jednak również lekarzem, który uznawał za swój obowiązek podtrzymywanie pacjenta na duchu.

Jedną z metod osiągnięcia tego była rozmowa, w trakcie której chory mógł opowiedzieć jak najwięcej o sobie.

— Postaram się naprawić Jasama — odparł. — Ale żeby to zrobić, muszę usłyszeć, ile tylko się da o was i waszym narodzie. Im więcej się dowiem, tym lepiej, chociaż nie potrafię na razie ocenić, które informacje przydadzą mi się najbardziej. Opowiedz mi więc o swoim partnerze, o waszym życiu, zwyczajach, jedzeniu, które spożywacie, i o tym, co lubicie robić.

I jeszcze o swoich krewnych, na wypadek gdyby naprawa się nie udała, chociaż uważam taki wariant za mało prawdopodobny. Jesteście dla nas całkiem nowymi, chociaż rozwiniętymi technologicznie istotami. Wszystko może się przydać, wszystko będzie ciekawe. Opowiedz o sobie i o swoim świecie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ledwie kilka minut później rozmowa została raptownie przerwana. Z *Rhabwara* nadszedł meldunek, iż w układzie zjawiły się dwa statki kurierskie, które wprawdzie zatrzymały się we wskazanej odległości od planety, ale zażądały niecierpliwie pełnego meldunku o rozwoju sytuacji. Ich kapitanowie zostali połączeni za pośrednictwem *Rhabwara* z Priliclą i Fletcherem, ale w ten sposób, aby rozbitkowie nie słyszeli rozmowy.

— To nie jest najlepsza chwila na przekazywanie raportów, przyjacielu Fletcher — zauważył Prilicla, nie odrywając spojrzenia od skanera. — Powiedz im tylko, że...

— Wiem, co im powiedzieć — mruknął kapitan i zaraz chwycił byka za rogi. ‑ Przeprowadzamy właśnie procedurę pierwszego kontaktu. To skomplikowany przypadek.

Załoga obcego statku składająca się z dwóch istot typu CHLI jest właśnie badana przez starszego lekarza Priliclę. Jeden osobnik znajduje się we względnie dobrym stanie, drugi — w znacznie gorszym. Nawiązanie kontaktu utrudnia żywiony przez obcych atawistyczny lęk przed wszystkimi formami życia typu DBDG. Zapewne wynika on z podobieństwa — dwunogich humanoidów do jakiegoś naturalnego wroga rozbitków, występującego na ich rodzinnej planecie. Przebieg działań kontaktowych, za które odpowiada doktor Prilicla, jest rejestrowany, proszę was jednak, abyście nie odlatywali z obecnym materiałem. Z każdą godziną zdobywamy coraz więcej nowych informacji.

— Zrozumiałem, sir — odpowiedział jeden z kapitanów. — Wyłączam się i przechodzimy na nasłuch.

Z początku Keet chciała opowiadać tylko o druulach i o tym, jak bardzo jej rasa się ich bała i jak bardzo ich nienawidziła. O swoim świecie nie mówiła prawie nic, co wiązało się najpewniej z bliskością Fletchera. Prilicla nie ustawał w próbach empatycznego i słownego uspokojenia obcej, pracując energicznie skanerem i bacząc, aby kapitan utrzymywał dystans wobec pacjentki. W końcu pojawiły się i inne tematy, chociaż znienawidzone druule powracały przy każdej okazji.

Gatunek zwał siebie Trolannami, ich świat nosił nazwę Trolann. W ciągu kilku ostatnich stuleci stał się dziką i przerażającą planetą, na której wiecznie szalały wojny o kurczące się zasoby naturalne. Przeciwnikami Trolannów byli druule oraz różne formy organicznych i nieorganicznych zanieczyszczeń, które zmieniły ludny niegdyś świat w miejsce nienadające się do życia. Poza gatunkami inteligentnymi nie przetrwało na nim nic większego od owada.

Wcześniej czyniono wiele prób powstrzymania upadku poprzez ograniczanie tempa industrializacji, zmniejszanie emisji zanieczyszczeń czy kontrolę populacji. Zyskali świadomość, że w pewnej chwili zmiany mogą się okazać nieodwracalne i zdegradowana biosfera po prostu zaniknie. Ale skuteczne działanie wymagałoby osobistych poświęceń, samokontroli i współpracy wszystkich zainteresowanych stron.

Istotna mniejszość Trolannów oraz wszyscy druulowie odmówili przyłączenia się do takich akcji.

Wśród tych ostatnich były zapewne jednostki, które myślały inaczej, ale jako społeczność druulowie uznali, że najlepszym rozwiązaniem problemu będzie poświęcenie drugiej rasy. Została uznana za jeszcze jeden z naturalnych zasobów i potraktowana jako źródło żywności mające posłużyć przetrwaniu druuli.

Byli oni małymi dwunożnymi, zajadłymi i szybko mnożącymi się istotami, które nigdy nie okazywały litości przeciwnikom, także tym inteligentnym. Od zarania dziejów ich tempo rozwoju dorównywało ewolucji Trolannów, obie rasy dysponowały więc podobną techniką, przez co wojny między nimi nie prowadziły do zwycięstwa którejś ze stron, ale raczej z konieczności cyklicznie wygasały i rozpalały się na nowo. Mimo wysuwanych wielokrotnie przez Trolannów inicjatyw pokojowych obie rasy żyły w stanie wrogiej koegzystencji, aż kolejne konflikty wyjałowiły planetę, która zmieniła się w śmierdzącego, zanieczyszczonego ze szczętem trupa. Od wielu pokoleń druulowie praktykowali kanibalizm, zjadając nawet swoje chore potomstwo i starszych, którzy okazywali się już nieproduktywni.

Nie dawało się ich pokonać, ponieważ zawsze było ich więcej, zawsze też byli głodni i gotowi do walki. Poza kilkoma centrami oporu, gdzie ostatni Trolannie zdołali przetrwać dzięki swej zaawansowanej technologii, planeta należała już do druuli. Jedynym, co zostało ginącej rasie, było znalezienie nowego, czystego i spokojnego domu.

— I znaleźliście go — powiedział Prilicla łagodnie. — Co poszło nie tak?

— Jakaś techniczna usterka — wyjaśniła Keet z zakłopotaniem i trochę tytułem przeprosin. — Nie jestem specjalistką od napędu, ale po odkryciu tej planety okazało się, że z powodu awarii nie możemy wrócić do domu z tą wiadomością. Mieliśmy jednak dwa urządzenia sygnałowe. Niewypróbowane, ponieważ nikt wcześniej nie miał okazji ich użyć.

Pierwsze zawiodło i poważnie uszkodziło kadłub. Drugie udało się zmodyfikować, ale zniszczyło lalkę, która je odpalała. A potem zjawił się statek druuli.

— To nie były druule — powiedział Prilicla. — To był statek ratunkowy, który chciał wam pomóc.

— Teraz to wiem. Przykro mi.

Prilicla cofnął skaner i odsunął się od pacjentki. Miał już wszystkie dane potrzebne do wstępnej oceny stanu rozbitka, nadal jednak brakowało mu szeregu niemedycznych informacji.

— Będę z tobą w kontakcie, ale teraz idziemy zobaczyć Jasama. Przekaż mu, że nie ma się czego bać. Ani przyjaciel Fletcher, ani ja nie zrobimy mu krzywdy. Ale... dlaczego zaatakowaliście tamten pierwszy statek?

— Nie zrobiliśmy tego — odparła Keet szybko. — To on zaatakował naszą powłokę ochronną...

Przez kilka minut potrzebnych na przejście do sąsiedniego modułu Prilicla słuchał zapewnień, które Keet przekazywała swojemu partnerowi, i wyczuwał u niej rosnące zaufanie do obu przybyszy, chociaż Jasam wciąż zachowywał rezerwę.

— Druule atakowały nas przez setki lat — podjęła po chwili temat Keet. — Wielu naszych naukowców uważa nawet, że być może dawno zapomnieli, dlaczego to robią. Obecnie są już bardziej maszynami niż ludźmi, ale nadal mają ten sam cel. Wyposażeni specjalnie do przedarcia się przez okrywy naszych skafandrów ochronnych, aby wyjeść zawartość, tak samo jak wyjada się środek orzecha, atakują niekiedy z taką zajadłością, że zdobycz też ulega zniszczeniu i nic nie zostaje dla tej drobnej organicznej resztki, która tkwi jeszcze w druulach.

My pozostaliśmy nadal sobą, istotami myślącymi i cywilizowanymi, chociaż jesteśmy rasą chorą, która rzadko może się obyć bez skafandrów czy kokonów taki jak ten, dwuosobowy.

Tutaj musieliśmy poddać się kontroli maszyn i upodobnić trochę do druuli.

Zatem uważają swój statek za wielki skafander, podobny do tych, jakie muszą nosić u siebie za sprawą wojny z druulami, pomyślał Prilicla. Ciekawe. Wyczuwał rosnące zainteresowanie kapitana, który też słuchał opowieści Keet, ale wiedział, że przyjaciel Fletcher nie przerwie jej lawiną pytań, na które i tak uzyskają niebawem odpowiedzi.

— Osłona naszego kadłuba została tak zaprojektowana, aby zapewnić nam bezpieczne przejście przez atmosferę, gdzie druulowie już nie docierają. System obronny działa cały czas i chroni nasz komputer oraz system podtrzymywania życia przed przemienionymi w maszyny druulami. Nigdy jednak nie sądziliśmy, że spotkamy się wśród gwiazd. To był dla nas szok i nic nie mogliśmy zrobić.

— Bardzo pomogłoby w akcji ratunkowej, gdybyście wyłączyli teraz ten system obronny — powiedział Prilicla. — Czy możecie to zrobić?

— Nie. Sami nie damy rady. Do tego potrzebna jest specjalistyczna wiedza i urządzenia, które znajdują się tylko na naszym świecie. Poza tym nie wolno nam go wyłączać, ponieważ musimy przecież wrócić jakoś do domu, aby zameldować o odkryciu. A to oznacza ponowne wejście w atmosferę naszej planety. Niemniej... Ale czy Jasam przeżyje?

Widząc obrażenia partnera Keet oraz ślady zaschłej krwi na przyłączach, które znikały w ciele obcego, Prilicla pomyślał, że chyba nie zawsze prawda musi służyć powodzeniu pierwszego kontaktu.

— Istnieje duża szansa, że zdołamy go uratować — powiedział.

— Ale nie tutaj — dodał kapitan na prywatnym kanale. Szybko i treściwie wyjaśnił, dlaczego tak uważa, podczas gdy Prilicla próbował przekazać jego słowa rozbitkom w nieco bardziej optymistycznej wersji. Cały czas badał też pacjenta skanerem.

Obrażenia Jasama powstały podczas eksplozji pierwszej boi sygnałowej. Były to głównie złamania oraz krwawienia wewnętrzne spowodowane przez niekontrolowane przemieszczenie się implantów. Były poważne, ale jak wyjaśnił Trolannom, przy odpowiednim leczeniu nie powinny zagrozić życiu. Sam operował osoby o wiele dotkliwiej poszkodowane, które wróciły potem do pełni zdrowia.

— Warunkiem właściwej terapii jest jednak odłączenie was obojga od aparatury i zabranie ze statku...

— Mielibyśmy zostać bez skafandra?! — przerwała mu Keet. — I bez systemu podtrzymywania życia...? Straciliśmy już nasze lalki. Jasama została całkowicie zniszczona, moja jest uszkodzona tak bardzo, że nie da się już naprawić. Nie!

A zatem tak nazywają roboty, pomyślał Prilicla. Sądząc po wyczuwanych przez niego emocjach, musieli traktować je jak przyjaciół albo ulubione zwierzątka. Też ciekawa sprawa, choć temat ten musiał poczekać, aż rozwiążą ważniejszy problem.

— W waszym świecie też muszą być lekarze czy uzdrawiacze, którzy pomagają w wypadku chorób lub uszkodzeń ciała — powiedział, starając się empatycznie uspokoić Keet. — Aby działać skutecznie, potrzebują dojścia do źródła problemu, rozbierają więc chyba pacjenta z ubrania?

— Owszem. Ale to dzieje się na Trolannie. Tutaj...

— ...tutaj będzie nawet bezpieczniej — powiedział Prilicla spokojnie. — *Rhabwar,* ten statek, który unosi się w pobliżu, został zaprojektowany specjalnie do takich zadań i wielokrotnie uczestniczył w akcjach ratunkowych. Ale sprzęt jest masywny i bardzo czuły na wstrząsy. Samo przetransportowanie go na wasz statek byłoby trudnym zadaniem, a na dodatek mógłby tutaj ulec zniszczeniu tak samo jak obezwładniony przez system obronny druul. No i nie ma tu wiele miejsca, a wasze zasoby, zwłaszcza w wypadku Jasama, są na wyczerpaniu na skutek przecieków. Jeśli oboje macie przetrwać, musicie się zgodzić na jak najszybsze działanie.

Na chwilę zapadła cisza. Keet była coraz mniej pewna siebie, aż w końcu zapytała:

— Oboje? Bo myślałam, że jedno z nas zostanie tutaj i poczeka na ukończenie wszystkich napraw i wyleczenie Jasama, który wróci do kokonu i... Ja nie odniosłam prawie żadnych obrażeń.

— Wiem — powiedział Prilicla. — Ale będę potrzebował twojej rady i pomocy podczas każdego odłączania, abyśmy mogli powtórzyć to samo z twoim poważniej rannym partnerem.

Poddaliśmy już analizie wasze jedzenie, powietrze oraz waszą wodę. Są one niemal takie same jak nasze. Planuję umieścić was potem w jednych noszach ze wszystkimi potrzebnymi systemami podtrzymywania życia, abyś mogła wspierać swoją obecnością Jasama w drodze na nasz statek.

Keet znowu przez dłuższą chwilę nie odpowiadała.

— Odłączenie Jasama to trudna praca, która w warunkach pokładowych może zostać wykonana tylko przez lalkę. I tylko w wyjątkowej sytuacji oczywiście. Lalka Jasama zginęła podczas pierwszej eksplozji, moja została uszkodzona podczas drugiej. Spaliły się obwody kontrolujące ruchy manipulatorów potrzebnych do ekstrakcji. Nie jest zdolna wykonywać żadnych precyzyjnych prac. Przyjdzie nam tu zginąć...

— Niekoniecznie — powiedział Prilicla. — Nie przypuszczam nawet, aby to było w jakiejkolwiek mierze prawdopodobne. Nasze chwytne kończyny i precyzyjne mechanizmy sprawią się jeszcze lepiej. Mamy duże doświadczenie w wydobywaniu rannych rozbitków z wraków statków kosmicznych, a przyjaciel Fletcher posłuży za bardzo poręczną lalkę.

Kapitan wydał odgłos, którego translator nie przetłumaczył.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Gdy porucznik Dodds zjawił się przy włazie, lalka Keet już na niego czekała i szybko zaprowadziła go do Prilicli i Fletchera. Mimo uszkodzeń manipulatorów nadal była pomocna i wspierała niekiedy ekipę podczas długiego i żmudnego procesu odłączania Keet od całej aparatury. Prilicla i kapitan byli równie przejęci jak pacjentka, na dodatek wszyscy martwili się nieustannie o Jasama, którego musieli z przyczyn technicznych odciąć chwilowo od sieci komunikacyjnej.

Empata próbował uspokoić atmosferę, podpytując o lalki. Keet jednak nie chciała podejmować tego tematu.

— Nie wiem, co takiego w nich widzisz — powiedziała z zakłopotaniem. — To zabawki, którymi bawią się dzieci oraz niektórzy dorośli, próbujący przypomnieć sobie, jacy byliśmy kiedyś, gdy mogliśmy się swobodnie poruszać, pływać, wspinać się i biegać razem, i dotykać się bez ciężkich i niewygodnych skafandrów ochronnych. Lalki przypominają żywe istoty, są naturalnych rozmiarów i modelowane na wzór właścicieli. Dziecięce są o wiele prostsze, te dla dorosłych wyposaża się w lepsze mózgi i więcej funkcji, tak że mogą podejmować cały szereg złożonych czynności niedostępnych już właścicielom. W wielu wypadkach zbawiennie wpływają na naszą psychikę. Jasam i ja mieliśmy z powodów technicznych pozostawać cały czas w skafandrze, bez możliwości nawiązania fizycznego kontaktu aż po kres naszych dni.

Stąd psychologowie projektu postanowili, że przydana nam zostanie załoga złożona z dwóch wyspecjalizowanych lalek, najdoskonalszych spośród dotąd zbudowanych, aby obsługiwały naszą powłokę i pomagały nam walczyć z poczuciem straty, samotnością i szaleństwem.

Prilicla przemieścił się do niewielkiej wolnej przestrzeni, którą kapitan i robot przygotowali dla niego w gęstej masie przewodów, i nałożył małą klamrę zaciskową na gruby wąż dostarczający mieszankę odżywczą z prawie pustego już zbiornika. Drugi jego koniec ginął w ciele Keet w okolicy żołądka. Trochę to przypomina operację mózgu, pomyślał, starając się w tej ciasnocie nie wykonywać żadnych zbędnych ruchów. Pracował przez kilka minut, aż poczuł zadowolenie z wyniku i odsunął się od pacjentki.

— I pomagały? — spytał.

— Tak, aż do czasu, gdy znaleźliśmy ten wspaniały i nietknięty zniszczeniem świat i nasze urządzenie sygnałowe wybuchło, a potem zaatakował nas wasz statek ratowniczy. Ale teraz nie uważam już, abyście nas atakowali — dodała po chwili.

— Dziękuję — odparł empata, wiedząc, że Keet mówi całkiem szczerze. — Teraz jednak musimy przenieść cię na nosze i opatrzyć rany spowodowane ekstrakcją. To będzie prosta sprawa, starczy kilka szwów i nałożenie leczącej maści, której skład został dopasowany do twojego metabolizmu. Na pewno nie wywoła niepożądanej reakcji, ponieważ jest wzorowana na środkach z zestawu medycznego twojej lalki. Jak pamiętasz, poddaliśmy je analizie na potrzeby reprodukcji. Wszyscy gotowi?

Dalsze manewry kapitan nazwał przenoszeniem na wpół przyrządzonego naleśnika przez labirynt drutu kolczastego. Prilicla nie wiedział, co to naleśnik. Z ludzkiego pożywienia znał dobrze tylko spaghetti. Ostatecznie jednak wydobyli Keet z kokonu i ułożyli wygodnie na noszach.

— I co teraz? — spytała.

— Teraz zahermetyzujemy nosze i przeniesiemy się do sekcji Jasama, gdzie podłączymy tymczasowo do sieci łączności, abyś mogła przekazywać mu, co się dzieje, podczas gdy przyjaciel Fletcher i ja będziemy informować naszych ludzi, aby przygotowali się na przyjęcie dwojga nowych pacjentów. Potem zaś... Przepraszam, ale znowu muszę się zdrzemnąć.

Podczas transportu noszy Prilicla szybko wyjaśnił sytuację patolog Murchison, uzupełniając ją obrazami z obcego statku przesyłanymi na dół za pośrednictwem *Rhabwara.*Szpital polowy był bardziej przestronny niż *Rhabwar* i przebywała tam cała reszta ekipy medycznej wraz z podopiecznymi. Keet i Jasam pogrążeni byli w rozmowie, a kapitan brał się właśnie do złożenia raportu sytuacyjnego, który jak wszystko, co dotyczyło akcji, także miał zostać zarejestrowany, gdy Prilicla stracił raptownie kontakt z rzeczywistością.

Fletcher spojrzał na śpiącego empatę i ściszył głos.

— Kurier Jeden — powiedział na kanale, który był wykorzystywany także przez dwoje obcych. — Mogę już zameldować, że statek, który uległ awarii, nie był agresorem, a do zniszczenia *Terragara* doszło przypadkiem na skutek nieświadomego uruchomienia przez załogę statku zwiadowczego automatycznego systemu obronnego bliskiego zasięgu, który niszczy urządzenia elektroniczne, nie zagrażając żywym formom życia. Nie można go wyłączyć i nadal jest groźny dla każdej jednostki, która podeszłaby do obcego statku. Tym samym zakaz wchodzenia do układu zostaje utrzymany do czasu znalezienia środków zaradczych. Obcy statek pochodzi z układu Trolann, którego położenie pozostaje nieznane.

Toczy się tam od wieków wojna Trolannów z innymi inteligentnymi istotami, zwanymi druulami. Nie udaje się nawiązać z nimi pokojowych kontaktów, obecnie zaś są w tej wojnie po stronie wygranych. Fizycznie zdradzają podobieństwo do typu DBDG, co znacznie utrudniło realizację procedur kontaktowych, ponieważ załoga *Terragara,* podobnie jak i ziemska część personelu *Rhabwara,* zostały początkowo zidentyfikowane przez obcych jako druule. Obecnie sądzę, że zyskaliśmy ich zaufanie...

— Ograniczone zaufanie — wtrąciła się Keet. — Ufam Prilicli, wam zaś tylko o tyle, o ile wykonujecie jego polecenia i wyglądacie na skłonnych, aby nam pomagać. Jasam nadal się was obawia. Nie ufam także innym wyglądającym jak druule.

— Nie widziałaś ich przy pracy — powiedział kapitan. — Oni też mają swoje zadania i działają na waszą rzecz, tyle że nie na pierwszym planie. Nie byli, nie są i nie będą druulami, nie przypominają ich też zachowaniem. Czy mogę kontynuować?

— Trolannie należą do typu fizjologicznego CHLI — powiedział, gdy Keet nie zareagowała. — Są ciepłokrwistymi tlenodysznymi, chociaż w zanieczyszczonej atmosferze ich planety nie zostało już wiele tlenu. Mówią o sobie jako o mniejszości żyjącej w stanie oblężenia. Keet, ilu was zostało na Trolannie?

— Mniej niż sto tysięcy — odparła obca.

— Tak mało? — zdumiał się kapitan, blednąc lekko. — W tej sytuacji, a także dlatego, że Trolannie nie dysponują liczącą się flotą ani rozwiniętą techniką kosmiczną, zalecam zdecydowanie przygotowanie federacyjnej akcji ratunkowej mającej na celu ewakuację całej rasy z nienadającej się praktycznie do życia planety do świata, nad którym się znajdujemy.

Został on odkryty przez Keet i Jasama, zanim ich statek uległ awarii podczas próby uruchomienia urządzenia sygnałowego. Zalecam też przedsięwzięcie akcji policyjnej wobec druuli, aby powstrzymać ich od wszelkich działań zbrojnych do czasu zakończenia ewakuacji Trolannów. W późniejszym terminie wskazane będzie przygotowanie dla nich ewentualnego programu reedukacyjnego, a w razie jego powodzenia — ustalenie zakresu prac potrzebnych do umożliwienia im przetrwania...

Keet aż się zwinęła pod przezroczystą kopułą.

— Nie zamierzacie zabić ich wszystkich? — spytała ze złością. — Albo przynajmniej odizolować, aby sami się wymordowali? To właśnie zrobią, jeśli zabraknie im innego wroga.

A może nie chcecie ich zabijać? Może chcecie ich oszczędzić, bo są do was podobni? Przykro mi, ale wydaje mi się, że od początku mieliśmy rację. Nawet pomocny z pozoru druul pozostaje druulem. Rozczarowujesz mnie, Fletcher.

Kapitan pokręcił głową.

— Nasze fizyczne podobieństwo nie ma nic do rzeczy. Na Ziemi też są istoty przypominające ludzi. Ale podczas gdy my rozwinęliśmy inteligencję i ostatecznie zbudowaliśmy cywilizację, one pozostały zwierzętami. Nie są złe, chociaż czasem instynkt skłania je do agresywnych działań i z tego powodu pozostają pod kontrolą. Żyją pod naszą opieką na wydzielonych obszarach, gdzie nie mogą zrobić nam krzywdy. Jeśli druule są specyficznymi myślącymi zwierzętami, które nie umieją opanować instynktu, potraktujemy ich podobnie. Zarządzimy izolację ich świata bez prawa kontaktu z jakąkolwiek inną rasą. Nie podejmiemy się jednak eksterminacji całego gatunku tylko dlatego, że jego wielowiekowy wróg uważa to za konieczność. Możliwe, że ani wy, ani oni nie jesteście zdolni spojrzeć na sprawę obiektywnie. A teraz, jeśli można, chciałbym dokończyć składanie meldunku.

Kapitan opisał obecną sytuację i planowany przebieg akcji ratunkowej, przygotowując na to tym samym rozbitków i uprzedzając ich, czego jeszcze mogą się spodziewać. Keet ponownie nie udało się zachować milczenia.

— Dobrze, Prilicla i ty jesteście chyba w porządku. Ale ci wszyscy obcy, którzy mają się nami zajmować? To nas przeraża. Jasam może jeszcze bardziej się poranić, bo pewnie będzie próbował się bronić. Wolelibyśmy, aby Prilicla wszystkim się zajął. Lubimy go.

— Wszyscy lubią Priliclę — powiedział Fletcher, zerkając na śpiącego empatę. — Jest on jednak fizycznie zbyt słaby, aby samodzielnie wykonać wszystko, co trzeba. Dlatego będzie potrzebował pomocy Doddsa i Chena, dwóch takich samych Ziemian jak ja, którzy zjawią się wyposażeni w narzędzia tnące i przygotują miejsce do wstawienia powłoki ciśnieniowej, pod której osłoną Prilicla będzie mógł uwolnić Jasama i rozpocząć jego leczenie. Chociaż wyglądamy inaczej, przyświecają nam te same cele co Prilicli. Wszyscy chcemy was wyleczyć. W trakcie kuracji poznasz nas lepiej i sama się o tym przekonasz. Chętnie też wysłuchamy twojego zdania, jak możemy pomóc twoim pobratymcom.

Zapanowała długa cisza. Fletcher przeciskał się przez otaczające Jasama rumowisko i zaznaczał, co i gdzie trzeba będzie usunąć, komentując cicho swoje poczynania. Wszystko, co zostało dotąd powiedziane, w tym i rozmowy z Keet, miało się znaleźć w raporcie na temat wypadku *Terragara* oraz przebiegu pierwszego kontaktu.

— Jasam bardzo się niepokoi — powiedziała Keet nagle. — Lęka się tych istot, które wyglądają jak ty, pracujących w szpitalu na dole. Nie chce, aby go dotykały. Mówi, że prędzej umrze, niż na to pozwoli. Dlaczego nie zabierzecie nas do tego szpitala, który nam pokazywaliście, gdzie jest wielu różnych uzdrawiaczy nieprzypominających druuli?

Kapitan pamiętał, że podczas pierwszego kontaktu należy albo mówić prawdę, albo milczeć.

— Otrzymałem rozkazy pozostania wraz ze statkiem tutaj w celu utrzymania na dystans wszystkich jednostek, jakie próbowałyby zbliżyć się do planety i tym samym mogłyby zostać uszkodzone albo zniszczone w kontakcie z waszym systemem obronnym. Na *Rhabwarze* jest czteroosobowa ziemska załoga, włączając w to mnie, oraz czworo uzdrawiaczy. Priliclę już poznaliście, on jest szefem ekipy. Patolog Murchison jest ziemską kobietą i wygląda trochę inaczej niż ja. Pozostała dwójka to Kelgianka, która posiada dwadzieścia nóg i jest cała okryta falującym futrem, oraz Danalta, zmiennokształtny, który może wyglądać, jak zechce, i w razie potrzeby przybierze nawet waszą postać, jeśli poczujecie się dzięki temu lepiej w jego towarzystwie. Jest jeszcze trzech Ziemian, którzy dochodzą powoli do zdrowia po odniesionych obrażeniach. Cały zespół medyczny oprócz Prilicli przebywa na dole, zajmując się pacjentami w zorganizowanym specjalnie do tego celu ośrodku. Nikt z nich nie zamierza was skrzywdzić, co obejmuje także rozbitków z *Terragara.* Poza tym kwestie czysto medyczne to nie wszystko. Uważamy, że poczujecie się lepiej, jeśli będziecie mogli spędzić ten czas w pięknym świecie, który odkryliście dla Trolannów.

Nie doczekał się odpowiedzi, za to na prywatnym kanale usłyszał nagle głos Prilicli:

— Nie śpię już od kilku minut — powiedział empata. — Słyszałem, co mówiłeś, i sam bym lepiej tego nie wyłożył. Dziękuję, przyjacielu Fletcher. Uspokoiłeś Keet, a Jasam, chociaż ciągle półprzytomny, podziela jej odczucia. To będzie dobra chwila, aby wezwać przyjaciół Doddsa i Chena.

Przez następne trzy godziny, podczas których otoczenie Jasama było izolowane za pomocą namiotu ciśnieniowego oraz oczyszczane z wszelkiego złomu, Prilicla był bardzo zajęty, ponieważ działania Doddsa i Chena niewiele się różniły od precyzyjnej operacji chirurgicznej. Gdy skończyli i Jasam znalazł się na noszach wraz z Keet, empata był już tak zmęczony, że z trudem powstrzymywał się od zaśnięcia, chociaż do planowanej chwili udania się na spoczynek zostały mu jeszcze całe cztery godziny. Kapitan, który nie zmrużył oka od dwóch standardowych ziemskich dni, wydawał się w pełni przytomny i bez zwłoki dokończył składany kurierom raport.

— Udało się nawiązać przyjazny kontakt z dwoma trolańskimi rozbitkami, którzy są już gotowi do przeniesienia na *Rhabwara* i późniejszego transferu do szpitala polowego na powierzchni planety. Jak stwierdził doktor Prilicla, żeńska istota imieniem Keet nie odniosła poważniejszych obrażeń i jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, ale w wypadku drugiej istoty, męskiej, imieniem Jasam, istnieje poważne zagrożenie wymagające pilnej operacji.

Tutaj rokowania są niepewne. Otrzymaliście już wszystkie ważne materiały, sugeruję jednak pozostanie na dotychczasowych pozycjach w oczekiwaniu na dobre albo złe wiadomości, które napłyną najpóźniej za kilka godzin. Od tej chwili należy oczekiwać, że cała akcja będzie miała wyłącznie medyczny charakter. I nie przewiduję dalszych niespodzianek.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W szpitalu polowym dni płynęły spokojnie, bez dramatycznych zwrotów, ale rutynowe działania wydawały się szczególnie przyjemne za sprawą atrakcyjnego otoczenia, które nie pozwalało na nudę. Pacjenci byli w dobrym stanie, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, co zawdzięczali w znacznej mierze ordynowanym dwa razy dziennie kąpielom i wylegiwaniu się na plaży.

Tego dnia byli już w szpitalu, a do zachodu słońca została niecała godzina. Niskie światło odbijało się czerwonawym blaskiem na spienionych grzbietach fal, morze przybierało barwę ciemnego granatu. Była to idealna pora na kolejny spacer wokół wyspy. Jedyne, co irytowało Murchison, to nieuniknione towarzystwo zmiennokształtnego anioła stróża.

Nie było żadnego wyraźnego powodu, dla którego musiałaby wracać przed zmrokiem, może poza tym, że przyzwyczaiła wszystkich do niepozostawania na zewnątrz dłużej po zakończeniu dnia. Gdyby więc postąpiła inaczej, reszta grupy mogłaby się niepokoić. Aby uniknąć niepotrzebnego zamieszania, postanowiła przebyć drogę truchtem, z krótkim przystankiem w ulubionej zatoczce po drugiej stronie wyspy, która idealnie się nadawała do pływania.

Zbliżała się już do niej i szpital skrył się za cyplem, gdy słońce zaczęło zachodzić.

Wiedziała jednak z doświadczenia, że powinna zdążyć ze wszystkim przed zapadnięciem całkowitych ciemności. Danalta towarzyszył jej w wodzie pod postacią buszującej między falami i wyskakującej co jakiś czas z wody latającej ryby. Murchison biegła po twardym, wilgotnym piasku z oczami wbitymi w plażę, aby nie nadepnąć na rozrzucone tu i ówdzie białe kamienie, gdy zmiennokształtny wydał jakiś dziwny odgłos i wyskoczył z wody na brzeg. Szybko zmienił postać ze stworzenia morskiego na lądowe i wskazał grubiejącą w rękę płetwą przed siebie.

To coś nowego, pomyślała Murchison, przystając pod kępą drzew.

Był to gładki i lekko spłaszczony kształt pokryty zielonkawobrunatnymi łuskami czy wodorostami, który unosił się na wodzie z wąską przednią częścią leżącą na brzegu. Dość duży, aby wypełnić ćwierć zatoczki, przypominał wyrzuconego na brzeg przerośniętego wieloryba.

— To chyba jeden z obiektów, które widzieliśmy pierwszego dnia z góry — powiedziała Murchison. — Teraz jest blisko. Masz lepszy wzrok niż ja. Czy to jest żywe?

Danalta, który nie przybrał jeszcze wyrazistej postaci, powiększył oko.

— Przypomina wielkiego ssaka morskiego, chociaż jego otwory oddechowe muszą się znajdować akurat pod wodą albo są w jakiś sposób ukryte. Porusza się lekko, ale raczej pod wpływem fal, nie na skutek oddechu. Może być żywe i bliskie śmierci. Trudno jednak orzec, czy nie jest groźne. Mam zbadać je dokładniej?

— Razem to zrobimy — powiedziała Murchison z naciskiem na pierwsze słowo. — Potem o nim zameldujemy. Powiedziałabym, że ryzyko jest minimalne — dodała, wskazując na niebo.

— Sępy już się zbierają, a to zawsze wyraźna wskazówka co do stanu pacjenta.

Ptaki krążyły z rozpostartymi skrzydłami teraz nieco niżej, co pozwalało lepiej im się przyjrzeć. Skórzaste skrzydła były tego samego koloru co ciała i zdawały się mieć podobną fakturę jak wyrzucone na brzeg stworzenie. Nie wyglądały przyjaźnie. Murchison odruchowo cofnęła się pod osłonę gałęzi, aby nie zostać dostrzeżoną.

Danalta stał w bezruchu i wpatrywał się wielkim okiem w górę.

— To nie są ptaki — powiedział cicho, jeszcze bardziej wydłużając oko. — To maszyny.

Szybowce. W każdym jest pilot.

Murchison była zbyt zaskoczona, aby cokolwiek powiedzieć czy zrobić. To miał być niezamieszkany świat. Sensory *Rhabwara* nie wykryły żadnych śladów upraw, dróg, promieniowania elektromagnetycznego czy zanieczyszczeń przemysłowych. Nic nie wskazywało na obecność inteligentnych istot, zwłaszcza na tyle zaawansowanych, aby zdolne były budować latające maszyny. Murchison pomyślała nagle, że szybowce leciały tak nisko, aby skryć się za sylwetką góry i nie zostać dostrzeżonymi z obozowiska.

Pospiesznie sięgnęła do pasa po komunikator i przytykała go już do ust, gdy nagle spadło na nią coś miękkiego i wyposażonego w wiele kończyn. Jedna z nich złapała ją mocno za nogi, aż Murchison straciła równowagę i upadła, wypuszczając komunikator w chwili, gdy odruchowo starała się osłonić twarz przed uderzeniem.

Próbowała odzyskać urządzenie, gdy kolejna kończyna uchwyciła twardymi szczypcami jej nadgarstki i przyciągnęła je do tułowia. Została uniesiona na wysokość paru stóp i jej ciało zaczęło się obracać. Jednocześnie poczuła, jak coś krępuje mocną linką jej nogi, a później również ręce. Obróciła głowę i niemal natychmiast dojrzała porywaczy. To były pająki.

Dwa trzymały ją w powietrzu i obracały w równym tempie, podczas gdy trzeci wydobywał ze swego ciała białą nić, którą owijał wokół ofiary. Jeszcze trzy spuściły się właśnie z gałęzi na cienkich, niemal niewidocznych niciach. Były brunatnozielone i trudne do dostrzeżenia na tle roślinności. Każdy trzymał krótką, ale masywną kuszę gotową do użycia.

Murchison nigdy nie bała się ziemskich pająków ani innych, straszniejszych nawet stworzeń, z którymi dane jej było pracować w szpitalu, nie znaczyło to jednak, że uwielbiała każde indywiduum z ośmioma włochatymi nogami, zwłaszcza gdy zdawało się nastawać na jej życie.

Szamotanie się nie dało wiele, jako że nić okazała się bardzo mocna i miast pękać, zostawiała na skórze czerwone pręgi, a nawet płytkie rany. Murchison otworzyła usta i wykonała kilka specjalnie głośnych wdechów i wydechów, aby pokazać, że potrzebuje powietrza i że nie da rady go zaczerpnąć, jeśli zostanie zbyt mocno skrępowana.

Nie zdołała odgadnąć, czy została zrozumiana, czy też może pająki od początku brały to pod uwagę. Dość, że nić nie zacisnęła się mocno na jej klatce piersiowej. Pozwalała na swobodny, choć nie głęboki oddech. Głowa pozostała wolna i Murchison mogła też poruszać lekko ciałem w talii. Jeden z pająków zainteresował się jej translatorem i próbował go zerwać, ale urządzenie było wraz z torbą medyczną trwale przymocowane do pasa i stawiło opór. Gdy stworzenie nie ustępowało, Murchison wydała z siebie kilka pisków, sugerując, że odczuwa ból, i pająk ostatecznie dał spokój. Potem grupowo umieścili zdobycz w uplecionym z nici hamaku i cztery pająki poniosły ją plażą. Pozostałe dwa zostały jeszcze chwilę z tyłu, a ten, który interesował się translatorem, podniósł z piasku komunikator i zaczął oglądać go zaciekawiony.

Po Danalcie jakby wszelki ślad zaginął.

Murchison nie wiedziała, co zmiennokształtny mógłby w tej sytuacji zrobić, była jednak pewna, że kolega zdoła coś wymyślić. Ja też powinnam, pomyślała ze złością. Ale zaraz zastanowiła się, czy gniew nie pojawił się w niej tylko po to, aby utrzymać strach w ryzach.

Słońce już zaszło, nadal jednak było dość jasno i Murchison zdołała przyjrzeć się z bliska obiektowi, który wzięła wcześniej za wyrzucone na brzeg zwierzę. Gładka zewnętrzna pokrywa otwierała się, a jej fragmenty utworzyły coś na kształt trójkątnych żagli ziemskiej feluki, na razie jeszcze bez widocznych masztów i olinowania. Szybowce wylądowały na plaży i ich załoga na wpół niosła, na wpół ciągnęła swoje aparaty powietrzne w stronę statku.

Ale to grupa Murchison miała dotrzeć do niego pierwsza. Pająki musiały być mocno pobudzone, wydawały bowiem sporo przypominających kląskanie i popiskiwanie dźwięków.

Niektóre wołały coś nawet głośno do zbliżających się pilotów oraz członków załogi na pokładzie.

Nagle przerwały, usłyszawszy głos, który nie wydobywał się z żadnych miejscowych ust.

— Słucham. O co chodzi? — powiedziała z irytacją Naydrad. — Patolog Murchison, jeśli nie masz nic do powiedzenia, dlaczego mi przeszkadzasz? Jestem zajęta.

Pająki zatrzymały się nagle i Murchison omal nie wypadła z hamaka. Ten, który oglądał komunikator, upuścił go i odskoczył, ćwierkając coś przerażonym tonem. Murchison roześmiała się mimowolnie. Sytuacja była oczywista. Zapalone kontrolki świadczyły jednoznacznie o tym, że pająkowaty musiał włączyć urządzenie, nastawiając przy okazji siłę głosu na maksimum. Wprawdzie komunikator leżał kilka metrów od niej, ale działał i Naydrad najpewniej słuchała.

Pająki przywykły już do odgłosów wydawanych przez Murchison, teraz jednak chodziło o zborne i donośne wypowiedzenie kilku zdań, co mogło wzbudzić ich podejrzenia.

Przecież nikt jej akurat nie dotykał, nie miała się więc na co uskarżać. Jeśli pojmą, że chodzi o rozmowę i wezwanie pomocy, zapewne natychmiast zniszczą urządzenie. Już teraz próbowali je unieszkodliwić, rzucając w komunikator kamieniami. Szczęśliwie nie celowali najlepiej, mieli jednak jeszcze kusze, a elektronika nie lubiła zbyt brutalnego traktowania.

Murchison mruknęła pod nosem kilka słów, których nie przystawało wypowiadać damie, ale które i tak czasem artykułowała, budząc lekkie zgorszenie swego partnera uznającego skłonność do podobnych zachowań za jej jedyną niekobiecą cechę. Zastanowiła się szybko. Miała bardzo mało czasu, bo któryś z rzutów mógł się przecież okazać w końcu celny. Wzięła oddech na tyle głęboki, na ile nici jej pozwalały.

— Naydrad, mówi Murchison! — zawołała, mając nadzieję, że w zgiełku czynionym przez pająki jej głos pozostanie niezauważony. — Słuchaj, nie odpowiadaj. Zostałam uprowadzona przez tubylcze inteligentne istoty, wstępna klasyfikacja GKSD...

Stworzenia nie zwracały na nią uwagi, zbyt zajęte rzucaniem kamieniami, które nadal omijały połyskujący kontrolkami aparat.

— Wydają się ludem morskim — powiedziała Murchison, teraz już spokojniejszym głosem. — Używają wielkich statków żaglowych, szybowców oraz kusz. Nie widzę metalowej broni. Zostałam mocno skrępowana, ale nie jestem ranna. Nie widzę też nigdzie Danalty...

Przerwała, uświadamiając sobie, że kilka jej ostatnich słów mogło się rozmijać z prawdą. W zapadającym zmierzchu trudno było orzec cokolwiek na pewno, ale wydało się jej, jakby piasek obok komunikatora zafalował lekko. Chwilę potem fale ogarnęły także urządzenie, które zniknęło bezgłośnie z pola widzenia.

Pająki rzuciły jeszcze kilka kamieni, bardziej zdumione chyba niż zirytowane tym pokazem magii, ale szybko straciły zainteresowanie całą historią. Danalcie było zapewne wszystko jedno, specyficzna budowa ciała gwarantowała mu bowiem pełną odporność na wszelkie pociski o niewielkiej prędkości początkowej. Najważniejsze było to, że uratował komunikator i zaraz po odejściu pająków nawiąże kontakt ze stacją i *Rhabwarem.*Murchison poczuła się trochę pewniej, chociaż była świadoma, że jej najbliższa przyszłość może jeszcze kryć różne niespodzianki. Kilka minut później usłyszała wyraźny, zdecydowany i nawykły chyba do rozkazywania głos dobiegający ze statku.

Przez trójkątne otwory sączył się ze środka kadłuba żółtawy blask, który musiał pochodzić od płomieni lamp oliwnych albo świec. Wysoko na dziobie rysowała się na tle nieba ciemna sylwetka pająka, który czynił obecnie największy hałas. Trzymał przy głowie coś lejkowatego, co musiało być tubą. Za statkiem, pół mili od brzegu pojawiła się kolejna jednostka, identyczna z pierwszą pod względem wielkości i kształtu. Była podobnie oświetlona. Więcej Murchison nie zdołała dojrzeć, pająki bowiem uniosły ją ponownie i ruszyły w dalszą drogę po plaży.

Ponieważ nie zareagowały wcześniej, gdy przekazywała wiadomość, postanowiła dopowiedzieć jeszcze kilka istotnych informacji, zanim oddali się nazbyt w stronę statku:

— Danalta, wydaje się, że oni nie znają elektryczności ani radia. Do zatoki wchodzi drugi identyczny statek. Trzeci widzę na horyzoncie...

Przerwała, gdy jej eskorta przystanęła, a jeden z pająków zaszczebiotał coś do niej i wsunął łapę pod owijające ciało Murchison nici. Chyba sprawdzał, czy nie są za bardzo zaciśnięte. Nie było to przyjemne, wolała więc zamilknąć.

Nie wiedziała, czy jej słowa zostały dosłyszane, miała jednak nadzieję, że udający obecnie piasek Danalta nie zapomniał o dyskretnym wypuszczeniu ucha.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Widoczna na ekranie twarz kapitana pociemniała w sposób sugerujący silne emocje, które były czytelne nawet mimo odległości dzielącej centralę od pokładu medycznego.

— Doktorze, właśnie otrzymałem z dołu wiadomość pochodzącą od Danalty, który znajduje się na wyspie gdzieś poza szpitalem polowym. Nie wiem, co o tym myśleć. Donosi, że patolog Murchison została porwana przez piratów. Ale ten świat nie zdradza śladów obecności inteligentnego życia. Czyżby pański zespół dobrał się do zapasów środków medycznych i wykorzystał je w celach rozrywkowych? Proszę z nimi porozmawiać, zanim wyniknie z tego jakaś grubsza sprawa.

Prilicla spojrzał na nieprzytomnego Jasama i w pełni świadomą Keet i zastanowił się, czy nie powinien w tej sytuacji wyłączyć translatora, ostatecznie jednak uznał, że lepiej będzie tego nie robić. Ostentacyjne czynienie z czegoś sekretu nie pomogłoby w tej sytuacji.

— Oczywiście, przyjacielu Fletcher. Połącz mnie z nimi, proszę.

Słuchając meldunku Danalty, któremu czasem wchodziła w słowo Naydrad, Prilicla nie był już taki pewien, czy dobrze zrobił, pozwalając Keet poznać treść rozmowy. Trolannka była z każdą sekundą bardziej poruszona, podczas gdy twarz kapitana zaczęła wyrażać jedynie zatroskanie. On też odezwał się pierwszy, gdy Danalta skończył.

— Doktorze, zgodzi się pan chyba, że to raczej militarny, a nie medyczny problem. W tej sytuacji, z pańską zgodą albo i bez niej, muszę przejąć dowodzenie.

— I medyczny, i militarny, przyjacielu Fletcher — odparł Prilicla. — Ale jakkolwiek rzecz nazwiemy, musimy przede wszystkim zadbać o szczęśliwy powrót przyjaciółki Murchison.

— Właśnie — zgodził się kapitan. — Tyle że to delikatna sprawa. Stanęliśmy wobec konieczności rozpoczęcia drugiej procedury kontaktowej, podczas gdy pierwsza nie została jeszcze zamknięta. Z Trolannami porozumiewamy się coraz lepiej, ale te inteligentne pająki...

Trudno mi sobie wyobrazić kulturę pozbawioną metali, elektryczności i radia, która buduje jednak okręty wojenne, szybowce i kusze. Używają ognia jako źródła światła i zapewne do gotowania, ale zdają się nie znać jego przemysłowych zastosowań. Nic dziwnego, że czujniki nie wykryły ich obecności. Statek szpitalny nie jest uzbrojony, bez problemu jednak zdołamy powstrzymać ich za pomocą projektorów wiązek i tarczy przeciwmeteorytowej. Jeśli w ogóle będziemy mogli ich użyć — dodał po chwili.

Prilicla znał procedury nie gorzej od kapitana i wiedział, jakie potrafią być rygorystyczne. Jeśli nowo odkryta cywilizacja dysponowała technologią kosmiczną i była tym samym przygotowana na możliwość spotkania innego inteligentnego życia, wówczas można było działać otwarcie. Jeśli jednak chodziło o rasę prymitywną, należało postępować dyskretnie, nie ujawniać się i poczekać z podjęciem decyzji o kontakcie do chwili, gdy da się przewidzieć jego długofalowe skutki dla młodej cywilizacji.

Zawsze istniało ryzyko, że dziwne istoty spadające na wielkich statkach z nieba doznają szoku kulturowego i w konsekwencji kompleksu niższości, z którego mniej rozwinięta kultura nigdy się już nie podźwignie. Tutaj pewne szkody zostały już wyrządzone, gdyż pająkowaci musieli dostrzec ze swoich szybowców wrak *Terragara,* ale podejmowanie wobec nich wrogich akcji było bez dwóch zdań wbrew regulaminowi i nawet chęć ratowania Murchison wiele tu nie zmieniała.

— Załogi szybowców na pewno zameldowały już o szpitalu polowym — stwierdził zaniepokojony Fletcher. — W razie napaści będzie całkiem bezbronny.

— Niezależnie od reguł musimy bronić naszych ludzi i pacjentów — stwierdził Prilicla. — Ważne, aby nie zranić przy tym żadnego z pająkowatych. Zgadza się pan, kapitanie? Czy ma pan jakiś plan, jak to zrobić?

— Muszę chwilę pomyśleć — odparł Fletcher. — Ale co z patolog Murchison? Nie jesteśmy przygotowani ani wyposażeni do operacji antyterrorystycznych, a wydostanie jej w inny sposób... Moglibyśmy co najwyżej rozedrzeć tamten statek wiązkami.

— Przyjacielu Fletcher, najpierw powinieneś pomyśleć o obronie obozu. Od tego będzie zależeć, czy przeniesiemy tam Keet i Jasama, czy może raczej zabierzemy wszystkich stamtąd na górę. Co do przyjaciółki Murchison, przede wszystkim chciałbym omówić sprawę z Danaltą, który nadal znajduje się w pobliżu statku. Jest nie tylko świetnym zwiadowcą, ale i pomysłowym oraz wszechstronnym strażnikiem.

— Zgoda — powiedział kapitan. — Udostępnię panu mój kanał łączności, aby na bieżąco wiedział pan, co robię.

Podczas rozmowy ze zmiennokształtnym Prilicla wyczuł u Keet narastające zdumienie i nerwowość, ale pacjentka nie przerwała mu i nie zasypała go pytaniami nawet wtedy, gdy skończył. Bez dwóch zdań Danalta przejął się losem przyjaciółki Murchison, co samo w sobie było już niepokojące, gdyż metamorf rzadko się czymkolwiek przejmował. Prilicla przekazał mu kilka sugestii i poleciał na drugi koniec pomieszczenia, aby porozmawiać z coraz bardziej zagubioną Keet, gdy z głośnika rozległ się głos kapitana Fletchera:

— Kurier Jeden, mam dla was uaktualnienie raportu. Planeta pod nami jest jednak zamieszkana przez istoty inteligentne. Należą do fizjologicznego typu GKSD. Charakter zapewne wojowniczy. Technologia rozwinięta, ale bez wykorzystania metali. Porwali patolog Murchison. Według naszych ustaleń nie została jednak przy tym ranna. Obecnie prowadzimy dwie niezależne procedury pierwszego kontaktu. Uszkodzony statek Trolannów oraz cały układ nadal pozostają pod kwarantanną. Brak zgody na bliskie podejście jakichkolwiek jednostek. To tyle, Kurier Jeden, ruszajcie, aby jak najszybciej przekazać te wiadomości.

Kurier Dwa, pozostańcie na nasłuchu. Wyłączam się.

— Prilicla — odezwała się Keet, zanim empata cokolwiek powiedział. — Zrozumiałam każde słowo wypowiedziane przez ciebie i tego niby‑druula, ale nie wiem, czy pojęłam, o co chodzi. Czy Jasam i ja jesteśmy w niebezpieczeństwie? Osobiście nie martwię się ubyciem tej Murchison, nawet jeśli waszym zdaniem jest to świetny lekarz, choć wygląda jak druul.

Wcześniej jednak powiedzieliście mi, że ten piękny świat, który odkryliśmy z Jasamem, nie jest zamieszkany. Skąd się więc wzięły te wojownicze pająki? Polecieliśmy w najlepszym, ale i ostatnim naszym kokonie. Nasz lud może już nie dać rady zbudować następnego. Co się teraz z nami stanie?

Skupiony na Murchison Prilicla postarał się uspokoić empatycznie pacjentkę i dopiero potem zaczął wyjaśniać sytuację. Nie powiedział niczego, co nie byłoby prawdą, ale ponieważ miał do czynienia z chorą, starał się podchodzić do sprawy szczególnie optymistycznie.

— Oboje zostaniecie jak najszybciej przeniesieni na powierzchnię planety, gdzie razem z resztą zespołu medycznego zajmę się Jasamem, który pilnie wymaga interwencji chirurgicznej. Pająki zdają się zachowywać wrogo i dopóty się nie dowiemy, dlaczego tak właśnie jest, dopóki z nimi nie porozmawiamy. Jeszcze godzinę temu nie wiedzieliśmy nawet, że istnieją, ale to my jesteśmy obcymi na ich ziemi i wylądowaliśmy tu bez ich zgody. To czasem wystarczający powód do okazania wrogości. Możliwe też, że napotkawszy kogoś zupełnie sobie nieznanego, zapragnęły tylko zaspokoić swoją ciekawość. Nie stanowią jednak dla nas rzeczywistego zagrożenia, ponieważ dysponują technologią, która nie może równać się z naszą. Ale jakkolwiek są prymitywni, to ich dom. Federacja z całą pewnością nie pozwoli, aby Trolannie im go zabrali czy osiedlili się tutaj bez ich jednoznacznej zgody.

— Gdybyśmy tak postąpili, nie bylibyśmy lepsi od druuli — powiedział słabym głosem Jasam.

Prilicla zignorował taktownie jego uwagę, ale ucieszył się, że ten zdołał się włączyć do konwersacji.

— Jest jednak jeszcze wiele innych światów odkrytych przez zwiadowców Federacji, na których na pewno nie ma inteligentnego życia. Gdy oboje dojdziecie do pełni zdrowia i wrócimy razem jednym z naszych statków na Trolann, pokażemy wam ich obrazy, poznacie skład ich wody, powietrza oraz miejscową faunę i florę. Potem przeniesiemy was wszystkich do świata, który wybierzecie.

— I wygubicie druuli, abyśmy mogli odlecieć bezpiecznie? — spytała Keet.

— Żadna z tych istot nie zdecyduje się na eksterminację innej rasy czy nawet innej istoty, chyba że chodziłoby o zdławienie śmiertelnie groźnej epidemii — odezwał się Jasam, odpowiadając za empatę na jej pytanie. — Nie pojmuję, jak im się udało z takim podejściem wspiąć na szczyt drabiny ewolucyjnej.

— Miło mi, że się obudziłeś, Jasamie, i interesujesz się rozwojem sytuacji — zauważył Prilicla. — Nie przemęczaj się jednak. Odpowiedź na twoje pytanie istnieje, ale jest tak złożona, że usnąłbyś ze zmęczenia, nim całą bym ci przedstawił. Pozwól, że teraz ograniczę się tylko do spostrzeżenia, że wszyscy nasi przodkowie, włączając w to moich, przechodzili w swoim czasie różne etapy rozwoju i nie od razu stali się istotami cywilizowanymi. A teraz czy chcecie, abym zostawił was samych, byście mogli swobodnie porozmawiać o swojej przyszłości? Czujniki modułu medycznego nadal będą mnie informować o waszym stanie zdrowia.

Jego słowa wywołały u Keet przypływ żalu. Podobnie, chociaż nieco słabiej, zareagował Jasam. Oboje wiedzieli, jak bliski był śmierci, i być może ta chwila prywatności mogła być ich ostatnią. Zanim jednak zdołali odpowiedzieć, na pokładzie medycznym zadudnił głos kapitana:

— Doktorze, oto najświeższe informacje. Opuszczamy orbitę i schodzimy na poziom morza. Mierzymy w miejsce odległe o trzysta mil od wyspy, po stronie przeciwnej do wybrzeża, na którym wylądowały pająki. Szacowany czas przybycia to dwie godziny.

Wzgórze, za którym się ukryły, osłoni także i nasz dolot do wyspy. Naydrad i dwa serwy będą czekać, aby przejąć rozbitków. Na razie nie mamy nowych wieści od Danalty. Nasze czujniki nie wykryły żadnego ruchu w okolicy trzech statków pająków, możliwe więc, że wszyscy tam śpią. Pan też pewnie ledwie się trzyma na skrzydłach, proponuję więc podobnie zażyć trochę wypoczynku.

— Dziękuję, przyjacielu Fletcher, to dobra rada i natychmiast z niej skorzystam.

Złożył skrzydła i przysiadł na stelażu aparatury medycznej, gdy nagle wyczuł subtelną zmianę w emocjach Keet. Dotąd wszystkie jej odczucia, niezależnie od tego, czy dotyczyły Jasama, druuli czy całej sytuacji, były ostre i wyraziste. Kochała i nienawidziła z tą samą intensywnością. Teraz jednak pojawiła się w niej szczególna miękkość i łagodność.

— Wiem, że nie potrafię odbierać cudzych emocji tak jak ty — powiedziała powoli — ale z twoich słów i twojego zachowania zarówno tutaj, jak i wcześniej, na naszym statku, wnoszę... a właściwie czuję, że nasze dobro, Jasama i moje, naprawdę leży ci na sercu.

Zgadza się?

— Tak — odparł Prilicla, starając się nie zasnąć.

— Na Trolannie takie pytanie byłoby wręcz obraźliwą sugestią aberracji umysłowej, ale tutaj chyba... Czy twoja troska o tę druulowatą uzdrawiaczkę Murchison jest tak samo głęboka jak to, co czujesz wobec nas?

— Tak — powtórzył Prilicla.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pierwsi weszli jednak na pokład piloci niosący szybowce ze złożonymi skrzydłami.

Zaraz po nich wkroczyła na rampę grupa niosąca Murchison oraz osłaniający ich strażnicy z kuszami.

Patolog zauważyła, że rampa była szeroka i zdumiewająco długa. Sięgała od dziobu aż do suchego lądu. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale w głowie Murchison powstało przypuszczenie, że pajęczy marynarze bali się wody.

Wewnątrz statku została przeniesiona korytarzem, który był tak niski, że gdyby nie leżała w hamaku, mogłaby uszkodzić sobie twarz o szorstki, włóknisty sufit. Co jakieś dwadzieścia metrów rozmieszczono migoczące lampy. Woń wydzielana przez płomienie sugerowała, że do ich budowy użyto raczej jakiegoś oleju roślinnego niż ropy naftowej.

Każda lampa pływała w wielkim drewnianym naczyniu z wodą, obok zaś stały po dwa jeszcze większe pojemniki, jeden z wodą, drugi z piaskiem. Murchison pomyślała, że widocznie ognia pająki boją się nie mniej niż wody, a potem przypomniała sobie wszystko, co słyszała o czasach ziemskich żaglowców. Wtedy też bardzo dbano o to, aby ogień nie wymknął się spod kontroli.

Po dłużącym się krążeniu ciemnymi przejściami jej hamak spoczął na pokładzie.

Znajdowała się w pomieszczeniu o powierzchni około sześciu metrów kwadratowych i na tyle wysokim, że gdyby ją rozwiązano, mogłaby w nim uklęknąć wyprostowana.

Porywacze mieli najwyraźniej taki właśnie zamiar, dwóch bowiem uniosło ją i przytrzymało twarzą w dół, a trzeci otworzył otwór gębowy i zrobił coś, co zmiękczyło i poluzowało nici. Potem zaczęli obracać ją z wolna, a pająkowaty wchłonął wszystkie rozwinięte pasma.

Gdy skończył, pozostali wyszli z kabiny, ten jeden zaś owinął Murchison nogę w kostce czymś miękkim, co okazało się podściółką pod pętlę liny, tym razem splecionej chyba z jakiegoś włókna roślinnego. Pająk pochylił groteskową głowę nad nogą i splunął na linę, która w ciągu kilku sekund stwardniała. Drugi koniec został przywiązany do wspornika przy drzwiach i podobnie zamocowany. Lina była na tyle długa, aby Murchison mogła się swobodnie poruszać po całym pomieszczeniu, a nawet wyjść za próg. Pająk spojrzał na nią i wskazał najbliższą z kończyn na coś znajdującego się w kącie kabiny. Były to dwie niskie poręcze z płaską drewnianą pokrywą między nimi.

Stworzenie podeszło tam i odsunęło na bok pokrywę, a potem znowu wskazało kwadratowy otwór znajdujący się pod spodem. Potem skinęło na Murchison i zrobiło jej nieco miejsca.

Było zbyt ciemno, aby zajrzeć w głąb dziury, ale usłyszawszy dobiegające stamtąd lekkie uderzenia fal, Murchison zrozumiała, że ma przed sobą regularny wychodek. Aby pokazać, że wie, co to jest, złapała za poręcze i przykucnęła na chwilę między nimi, po czym opuściła pokrywę. Na pełną demonstrację nie miała ochoty. Pająk poczuł się chyba usatysfakcjonowany, wskazał bowiem z kolei na znajdującą się w przeciwległym rogu półkę, na której stały trzy dzbany: dwa wysokie i smukłe, jeden niski i pękaty, wszystkie z pokrywami. Było też coś przypominającego kubek, niewielka sterta drewnianych talerzy, duża misa i złożona równo płachta jakiejś miękkiej tkaniny. Murchison podeszła tam zaraz na czworakach i sprawdziła na początek zawartość wąskich dzbanów. Potrząsnąwszy lekko nimi, uniosła pokrywki, powąchała i doszła do wniosku, że oba zawierają wodę. Pękaty pełen był jakichś kulek wyglądających jak włochate ziemniaki.

Wyprostowała nogi i spojrzała na pająkowatego, potem wskazała na swoją torbę przy pasie. Nie chodziło jej o przyciągnięcie uwagi gospodarza, ten bowiem i tak wpatrywał się w nią bez przerwy, ale o uprzedzenie, że jej następny ruch nie będzie mu w żaden sposób zagrażał.

Powoli otworzyła torbę i dwoma palcami wyciągnęła z niej analizator, którzy przytrzymała w kąciku ust, aby mieć obie ręce wolne. Potem nalała do kubka nieco wody i wsunęła do niej końcówkę analizatora. Wykrył szereg śladowych ilości różnych substancji, ale żadna nie była trująca, Murchison wypiła więc wodę. Potem wzięła jedną z włochatych kulek i przełamała ją na pół. W środku była bladozielona i pachniała lekko cynamonem.

Zbadała ją analizatorem w kilku miejscach, ale i tutaj nie natrafiła na nic niepokojącego.

Odłożyła przyrząd i ugryzła zielonkawe coś.

O mdłości nie przyprawiło, ale chyba tylko ktoś krańcowo głodny uznałby to coś za jadalne. Przypomniała sobie przyjęcie wydane przez jej byłych studentów z okazji jej awansu na etatową szpitala.

Spróbowała wtedy kawałek kelgiańskiego warlganu, który był jednak trochę lepszy niż ten produkt.

Zmusiła się, aby przełknąć kęs.

— Dziękuję — powiedziała.

Pająk zaświergotał krótko i wycofał się do drzwi, skąd nadal ją obserwował.

Przez kilka minut siedziała na hamaku, który pozostawiono na podłodze, rozmyślając, co powinna zrobić. No i czego mogą od niej oczekiwać gospodarze. Dysponowali prymitywną techniką, ale bez wątpienia byli cywilizowani. Na razie nie wykazali się celowym okrucieństwem, udowodnili za to, że potrafią myśleć i szybko dostosowują się do nowych sytuacji. Byli wyraźnie nią zaciekawieni i wykazali troskę o to, aby było jej wygodnie. Skoro tak, należało odpłacić im podobną monetą.

Zgięła się wpół i ruszyła na zwiedzanie kabiny. Na jednej ścianie wisiały zwoje lin różnej grubości, na drugiej umieszczono półki z drewnianymi narzędziami, które przypominały marszpikle widywane przez nią na ilustracjach w książkach poświęconych historii żeglugi. Nie było niczego metalowego, nawet metalowych okuć. Sam statek też wydawał się zbudowany wyłącznie z twardych i mocno tkanych włókien ciemnozielonej barwy, między którymi widać było cienkie jasnoszare wzmocnienia.

Murchison domyśliła się, czym był ów jasnoszary materiał. Widziała go już wcześniej pod postacią cienkich pasm, którymi związano kusze, oraz misternej kratownicy tworzącej kadłub i skrzydła szybowców. Wzdrygnęła się lekko, pomyślawszy o technologii opartej na wytworze ciał tych istot.

Trzecia ściana była goła i tylko na samej górze, gdzie spotykała się z sufitem, znajdowała się uchylona lekko na zewnątrz klapa. Przez szeroką na sześć cali szczelinę wpadało do środka świeże i chłodne, już po zachodzie słońca, powietrze. Bez wątpienia chodziło o wywietrznik. Pod czwartą ścianą, w której były drzwi, znajdowała się lampa z zestawem przeciwpożarowym. Chcąc przyjrzeć się jej bliżej, Murchison podpełzła do pojemnika z wodą i wtedy przyszło jej do głowy, że może udałoby się tak ustawić knot, aby dawał więcej światła, i wyciągnęła rękę.

Gdy jej palce znalazły się może stopę od lampy, krzyknęła z bólu i zaskoczenia, gdyż kończyna pająkowatego opadła na jej rękę.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytała, ściskając dłoń pod pachą, aby ukoić ból.

Pająk sięgnął po kuszę i wystrzelił, a bełt wbił się z hukiem w podłogę tuż przed lampą. Potem podszedł do tego miejsca, z niejakim wysiłkiem wyciągnął strzałę z podłogi i założył z powrotem na cięciwę.

Miała odpowiedź na swoje pytanie. Wiadomość brzmiała: ręce precz od lampy.

Zrozumiała, że pająk nie zamierza uczynić jej krzywdy, jeśli będzie się trzymać wyznaczonych reguł. Zastanowiła się, jak by się czuła, gdyby role się odwróciły. W tych warunkach krótka chwila nieostrożnego obchodzenia się z ogniem mogła spowodować olbrzymie szkody, o obrażeniach cielesnych nie wspominając.

Strata szybowca, sama w sobie dotkliwa, byłaby też zapewne tragedią dla pilota, który konstruował pracowicie aparat latający z materii uzyskanej z własnego ciała. Ale pożar statku, który musiał był efektem działań zespołowych wielu stworzeń, to już prawdziwa katastrofa dla całej społeczności. A wszystkie te jednostki musiały być nad wyraz łatwopalne, co czyniło pływanie na nich zajęciem wysoce ryzykownym. Tym samym lepiej było posłuchać pająkowatego. Albo wytłumaczyć mu, że nie musi się niczego obawiać z jej strony.

Dobrze byłoby zająć się tym już teraz, ale Murchison była zbyt zmęczona, aby wdawać się w konwersację wymagającą energicznego i długotrwałego posługiwania się dłońmi. Mogła jednak uczynić chociaż pierwszy krok.

Wskazała na ścianę ze szczeliną wentylacyjną, potem na sam otwór, kilka razy dmuchnęła głośno, wysilając płuca, zadrżała widowiskowo i wróciła na hamak. Tam położyła się na jednej jego części, drugą zaś okryła się, na ile to było możliwe. Tkanina była szorstka, ale ciepła. Z ręką pod policzkiem Murchison spojrzała na strażnika.

— Dobranoc — powiedziała cicho.

Pająk zaszczebiotał coś w odpowiedzi.

Nie miała pojęcia, czy jej pantomima została zrozumiana, chciała w każdym razie przekazać wiadomość, że nie będzie nic kombinować i raczej nie złamie żadnego zakazu.

Leżąc, zerkała na strażnika, który też nie przestawał jej obserwować. Pod sobą czuła twardy pokład i miała wrażenie, że nijak nie uda się jej zasnąć.

###### \* \* \*

Obudziła się, gdy było już jasno. W międzyczasie ktoś zgasił lampę i otworzył szeroko klapę w ścianie, tak że blask słońca i podmuchy wiatru wpadały swobodnie do środka. Jakaś dobra dusza nakryła też Murchison dodatkową płachtą materiału identycznego jak ten, z którego upleciony był hamak. Kobieta mocno zdrętwiała w nocy, ale ulżyło jej, że próba porozumienia przyniosła pozytywne rezultaty. Gdy uniosła się na łokciu i chrząknęła cicho, strażnik otworzył oczy. Zdaniem Murchison był to ciągle ten sam osobnik.

Przeciągnęła się kilka razy, rozmasowała trochę mięśnie i uniosła klapę wychodka.

Spojrzała wyczekująco na strażnika, który wyszedł za próg i przesunął się trochę, znikając jej z oczu.

Dziwna sprawa, pomyślała Murchison, że wszystkie istoty Federacji jednakowo żywiły awersję do publicznego wydalania odchodów. Gdy umyła się jeszcze i zjadła trochę, a była już na tyle głodna, że kulki wydały się jej znacznie bardziej jadalne niż wieczorem, rozrobiła resztki pożywienia w małej ilości wody i posługując się zwiniętym narożnikiem tkaniny, wykonała na oświetlonej słońcem ścianie dwa proste szkice. Potem wysunęła głowę na korytarz i skinęła na pająka, aby wrócił do kabiny.

Nadeszła pora, aby zacząć rozmowy. Ale strażnik miał inny pomysł. Splunął na linę w miejscu przymocowania jej do wspornika, potem wykonał zgrabną pętlę, którą złapał w jedną z kończyn. Inną kończyną pokazał na łuk i bełt, ostatecznie zaś pociągnął za linę, uprzejmie dając jej w ten sposób do zrozumienia, że ma pewien wybór.

Ostatecznie jednak okazało się, że nie było czym się martwić. Strażnik chciał ją tylko oprowadzić po statku, dając też całej załodze, która składała się chyba z ponad stu osobników, okazję obejrzenia więźnia. Pokazywali ją sobie, machali kończynami i szczebiotali podnieceni. Ich język ciała nie pozostawiał wątpliwości, że stała się sensacją, ale ciche poszczekiwanie pazurów strażnika trzymało wszystkich na dystans. Murchison domyśliła się, że jest on kimś wyższym rangą i że zależy mu, aby osobliwa istota czuła się jak najlepiej.

Murchison to nie przeszkadzało, zwłaszcza że była bardzo ciekawa oryginalnego statku.

Skoro u obu stron ciekawość tak szybko przeważyła nad ksenofobią, był to dobry znak.

Wewnątrz jednostka wydawała się nawet większa, niż można się było domyślać tego z zewnątrz. Gładki kadłub krył skomplikowany trójwymiarowy labirynt. Całość musiała mieć jakieś osiemdziesiąt metrów długości, sześćdziesiąt metrów szerokości i trzydzieści w swoim najwyższym punkcie. Ponad linią wodną znajdowało się pięć albo sześć pokładów, każdy nieco mniejszy od poprzedniego, przez co okrywające je fragmenty poszycia mogły być wykorzystywane jako żagle. Takie rozwiązanie pozwalało równocześnie na precyzyjne sterowanie z wykorzystaniem siły wiatru. Budulec musiał być bardzo lekki, gdyż mimo masywnego wyglądu statek siedział wysoko na wodzie.

Murchison nie była zdumiona, zobaczywszy, że dwa pokłady znajdujące się tuż nad linią wodną pozbawione były pokryw i tym samym wentylacji oraz naturalnego oświetlenia.

Mieszczące się tam przedziały były bardzo obszerne, wypełnione linami, sieciami i całą masą jakichś przypominających węgorze stworzeń, które rozsiewały wkoło zapach ryb. Niektóre jeszcze się ruszały. Z radością opuściła te okolice, wracając na przewiewne i jasne od słonecznego blasku górne pokłady.

Nagle jednak słońce zniknęło i wraz z nim zmalały podmuchy wentylującego statek wiatru. Murchison musiała stanąć pod ścianą, a strażnik pokazał jej, aby nie wchodziła nikomu w drogę. Cała załoga zaczęła się krzątać, zamykając kolejne żagle i uszczelniając krawędzie otworów. Zanim zakończyli, patolog udało się zerknąć na zewnątrz i dostrzec prawdopodobną przyczynę tej nagłej aktywności.

Słońce schowało się za ciemnoszarą zasłoną deszczu, który nadchodził od strony morza.

W drodze powrotnej do swojej kabiny miała nad czym myśleć. Ten i oba pozostałe statki musiały być częścią floty rybackiej, która korzystała ze zwiadu powietrznego naprowadzającego jednostki na ławice. Osłony wykorzystywane jako żagle stanowiły równocześnie zabezpieczenie na wypadek sztormu albo deszczu. Wszystko wskazywało na to, że pająkowaci mieli coś wspólnego z kotami, Kelgianami i innymi stworzeniami o bujnej sierści, dla których zmoknięcie oznaczało poważne fizjologiczne ryzyko. Skoro tak, trzeba było przyznać, że byli zaiste dzielnymi marynarzami.

Klapa w jej kabinie została przymknięta na tyle, że bębniący już o kadłub deszcz nie dostawał się do środka. Strażnik pokazał na pustą wcześniej półkę, na której ktoś pod jej nieobecność ułożył stertę szerokich bladożółtych liści, cienki pędzelek na krótkiej rączce i drewniany pojemnik z czymś, co wyglądało na atrament.

Przy takiej pogodzie tym bardziej należało zająć się rozmową.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

*Rhabwar* nadleciał nad stację bardzo cicho, korzystając tylko z energożernych wiązek nastawionych na odpychanie. Wyładował Priliclę oraz trolańskich rozbitków i jak najszybciej wrócił na orbitę, skąd Fletcher mógł obserwować poczynania pajęczych statków bez ryzyka, że zostanie zauważony. Przypuszczał, że nawet jeśli dostrzegą na niebie nową gwiazdę, nie domyślą się, czym ona naprawdę jest.

— Wszystkie trzy statki stoją przy brzegu z dziobami częściowo wysuniętymi na piasek — przekazał na użytek statku kurierskiego oraz obsady szpitala polowego. — Wkoło krąży na małej wysokości pięć szybowców. Są zbyt nisko, aby można je było dojrzeć z obozu. Część załogi wyszła na plażę i pod pobliskie drzewa, ale jest ich za mało na przeprowadzenie ataku.

Potem wspomniał jeszcze, że wszyscy załoganci oraz szybowce wróciły na pokład jakieś dziesięć minut przed nadejściem szkwału.

— Doktorze, czy są jakieś medyczne nowiny, które powinienem przekazać Kurierowi Dwa? — spytał na koniec.

— Nie ma, przyjacielu Fletcher.

— Żadnych? A co z patolog Murchison? Czy zmiennokształtnemu udało się ją odnaleźć? Skoro w szpitalu przybyło pacjentów, jej obecność byłaby wskazana.

— Ona jest... — zaczął Prilicla, ale Naydrad, która pomagała mu przy Keet, odpowiedziała za niego ze zwykłym brakiem taktu, nie bacząc na to, że pacjentka nosi już translator:

— Nie „wskazana”, ale wręcz niezbędna. Trolannie są fizjologicznie bardzo złożoną rasą. Ta tutaj przetrwa, ale jej partner niemal na pewno nie, zwłaszcza jeśli Murchison nie wróci niebawem i nie zajmie się nim jako patolog. Wszyscy martwimy się o nią i boimy się utracić w niej wysokiej klasy specjalistę.

W odróżnieniu od Kelgian, którzy zawsze musieli wypowiadać to, co akurat myśleli, kapitan mógł wyrażać się mniej bezpośrednio:

— Wasz zespół został uszczuplony o połowę — powiedział. — Danalta bardziej przydałby się w szpitalu niż na dyżurze w zatoce. Zaczynam się zastanawiać, czy istnieje ryzyko, że patolog Murchison już nie wróci. Co pan o tym sądzi, doktorze?

Prilicla zadrżał. Naydrad wiedziała, co to znaczy, ale Keet najpewniej nie. Uspokoił się zatem, chociaż niełatwo było mu opanować te emocje.

— Owszem, istnieje taka możliwość, przyjacielu Fletcher. Mam jednak nadzieję, że ten rozwój wypadków jest bardzo mało realny. Danalta stracił z nią kontakt krótko po jej porwaniu, gdy był jeszcze na plaży zaraz po odzyskaniu komunikatora. Od tamtej pory próbuje ustalić, na którym statku przebywa, na razie jednak jeszcze mu się to nie udało. Nie odwołam go, ponieważ znam patolog Murchison od wielu lat. Jest osobą ciepłą, otwartą na innych, z dużym poczuciem humoru i wrażliwą. Wiem dobrze, jak głębokim uczuciem darzy swojego partnera. Znam jeszcze inne jej emocje, które nie dadzą się ująć w słowa. Co więcej, bez trudu umiem rozpoznać jej emanację, bliską mi prawie tak samo jak moja. Statki pająków znajdują się na granicy mojego zasięgu, nie mogę więc powiedzieć, że wyczuwam coś dokładnie, ale gdyby patolog Murchison była bliska śmierci, natychmiast bym się o tym dowiedział.

Kapitan rozłączył się bez słowa.

###### \* \* \*

Murchison zaczęła klasycznie, zgodnie z tradycją wypracowaną na długo przed pierwszą ludzką wyprawą w kosmos. Rysowała po prostu istoty i przedmioty, których nazwy chciała poznać. Szkice były niewielkie i proste, ponieważ nie wiedziała, jak wielkim zapasem surowca piśmiennego dysponuje, atrament zaś płynął jak woda i przy pierwszych dwóch próbach rozlał się błyskawicznie na cały liść. Ostatecznie coś zaczęło jej z tego wychodzić, przytrzymała więc rysunek przez kilka chwil poziomo, aby wysechł, i pokazała go pająkowi. Wskazując na siebie i ludzką sylwetkę na liściu, wymówiła głośno słowo „człowiek”.

Powtórzyła je kilka razy, aż w końcu wskazała na pająka i jego podobiznę, tym razem jednak nic nie mówiąc.

Chyba podziałało, gdyż pająk dotknął swojego rysunku kończyną i przemówił. To, co wypowiedział, brzmiało jak „Kritkuk”.

Murchison odłożyła liść.

— Człowiek, Kritkuk — powiedziała, wskazując najpierw na siebie, potem na pająka.

— Czokwek — powtórzył pająk. — Kritikuk — dodał głośniej.

Drugie słowo wymówił z takim naciskiem, jakby chciał zasugerować, że Murchison nie wymówiła go prawidłowo. Ale on też nie powtórzył należycie słowa „człowiek”.

Spróbowała inaczej. Chociaż nie znała dotąd żadnych innych wyrażeń, istniała szansa, że komunikat przejdzie.

— Mówisz zbyt szybko jak dla mnie — powiedziała normalnym tempem. — Proszę...

mów... wolno... i... wyraźnie — dodała powoli.

Pająk musiał zrozumieć, ponieważ tym razem zdołała wychwycić w jego nazwie jeszcze jedną sylabę. Próbowała ją powtórzyć, ale zakrztusiła się i rozkaszlała. Zaczerpnęła głęboko powietrza i spróbowała jeszcze raz.

— Krititkukik.

— Krititkukik — zgodził się pająk.

Ucieszona pierwszym lingwistycznym sukcesem postanowiła nie marnować czasu na naukę lepszej wymowy języka Ziemian, tylko uklękła na złożonym hamaku i sięgnąwszy po nowy liść, znowu wzięła się do rysowania.

Rysowanie kręgów mających symbolizować planety byłoby na tym etapie zbytnim komplikowaniem przekazu, ale jako marynarz jej pająk powinien używać gwiazd do nawigacji między wyspami i mógł wiedzieć, że jego świat jest okrągły. Nakreśliła więc w najszerszej części liścia linię, która miała być horyzontem, powyżej narysowała krąg z rozchodzącymi się promieniami, na dole dodała zarys wyspy oraz małe zakrzywione odcinki symbolizujące fale. Z jednej strony wstawiła trzy płaskie kształty z unoszącym się nad nimi i trochę nazbyt dużym szybowcem. Wskazała po kolei na każdy z obiektów.

— Niebo. Słońce. Morze. Wyspa. Statek. Szybowiec.

Pająk podał swoje określenia. Niektóre z nich udało się jej nawet powtórzyć bez poprawiania, ale jej towarzysz zaczął chodzić wkoło, jakby pobudzony albo zniecierpliwiony.

Nagle wyjął pędzelek z dłoni Murchison i zaczął domalowywać coś do jej rysunku. Po drugiej stronie wyspy pojawiły się trzy małe kwadraty, czyli stacja medyczna. Potem obrócił pędzelek i postukał rączką kilka razy w to miejsce.

Murchison domyślała się, że pająkowaci zauważyli już szpital dzięki zwiadowi powietrznemu i musieliby być mocno nierozgarnięci, aby nie pojąć, że ona jest właśnie stamtąd. Wzięła kolejny liść i narysowała obozowisko bardziej szczegółowo. Zaznaczyła piasek, morskie fale i dodała cztery postaci: siebie, cylindryczny kształt na wielu krótkich nogach, mało kształtny stożek Danalty i Priliclę, który przypominał na jej rysunku Krititkukika, tyle że miał dwie pary skrzydeł i unosił się nad ziemią.

Pająk przez chwilę trwał nieruchomy albo ze zdumienia, albo czekając po prostu, aż atrament wyschnie, potem wskazał pędzelkiem na Murchison i postukał w jej podobiznę, pozostałe sylwetki, a w końcu w zabudowania. Powtórzył tę sekwencję ruchów, tym razem między każdym wskazaniem postaci dotykając stacji, aż wreszcie postukał mocno w samą stację i spojrzał na nią, wydając stanowczy dźwięk.

Murchison była pewna, że daje jej do zrozumienia, że wie, iż wszyscy oni są ze stacji, ale chce wiedzieć, skąd jest sama stacja.

Jedną z podstawowych zasad podczas nawiązywania pierwszego kontaktu z mniej rozwiniętymi rasami było nieujawnianie własnego zaawansowania technicznego, gdyż mogłoby to przytłoczyć tubylców i sprawić, że poczuliby się gorsi. Ale Murchison nie sądziła, aby ten marynarz, któremu nie można było odmówić odwagi, pomysłowości i zaradności, koniecznych podczas żeglugi po otwartym oceanie, zdolny był rozpoznać kompleks niższości nawet wtedy, gdyby skoczył na niego od tyłu i ugryzł go we włochaty tyłek.

Tym razem, zanim zaczęła rysować, sięgnęła najpierw do pojemnika z wodą.

Na nowym liściu linię horyzontu umieściła bardzo nisko i znacznie mniej szczegółowo nakreśliła wyspę, statki i stację. Potem wylała trochę wody na złożoną dłoń, dodała kilka kropli atramentu i wymalowana szare, czyli nocne, niebo. Gdy wyschło, zamiast słońca dodała kilkanaście rozrzuconych tu i ówdzie mniejszych i większych kropek.

Marynarz musiał je rozpoznać.

— Gwiazdy — powiedziała, wskazując kolejno na wszystkie kropki.

— Preket — odparł pająk.

Wskazała na jeden ze statków i staranie wymówiła jego nazwę: krisit. Potem narysowała jeszcze jeden, tym razem wysoko na nocnym niebie, po czym wskazała na niego, na siebie i na stację.

— Preket krisit — powiedziała.

Pająk zareagował dość gwałtownie. Cofnął się i zaczął mówić coś pospiesznie, ale czy był to wyraz zdumienia, podniecenia czy strachu, tego nie potrafiła ocenić. Mówił bowiem zbyt szybko, aby zrozumiała choć słowo, nawet jeśli wcześniej już je słyszała. Potem podszedł bliżej i stuknął łapą w obrazek tak silnie, że ukruszył kawałek liścia. Raz za razem pokazywał trzy statki, wyspę, gwiezdny statek, stację i znowu gwiezdny statek. W końcu odepchnął gwiezdny statek tak gwałtownie, że liść przedarł się na pół.

Wyraźnie chciał jej powiedzieć, że trzy statki i wyspa należały do pająków i że obcy powinni się wynieść. A skoro byli odważnymi i dobrze uzbrojonymi rybakami, dysponującymi na dodatek zwiadem dalekiego zasięgu, bardzo możliwe, że polowali również czasem na swoich, nie ograniczając się wyłącznie do ryb. Statek z daleka, który stworzył na wyspie swoją bazę, był dla nich najpewniej zagrożeniem i nie mogli go tolerować. Zwłaszcza że wedle ich wyobrażeń gwiezdna załoga musiała być co najmniej takimi samymi zabijakami jak oni.

Murchison musiała dać mu jakoś do zrozumienia, że ani statek, ani stacja medyczna w niczym im nie zagrażają, a nawet przeciwnie. Uniosła więc obie ręce i pokazując wnętrza rozpostartych dłoni, poprosiła o ciszę. Gdy pająkowaty się uspokoił, wzięła pędzelek, ale zamiast malować, przytrzymała go przed twarzą obcego. Potem odłamała końcówkę rączki.

Niewielką, aby narzędzie nadal nadawało się do użycia. Odczekawszy chwilę, wzięła odłamany kawałek, przytknęła go do rączki i napluła na złącze, podając następnie oba elementy pająkowi.

— Połącz — powiedziała powoli. — Napraw.

Tamten powiedział coś, co zabrzmiało jak pytanie, ale zaraz pojął, o co chodzi.

Starczyła bardzo niewielka ilość jego śliny, aby pędzelek znów był cały. Gdy wysechł, pająkowaty oddał go Murchison. Poza lekkim zgrubieniem w miejscu złączenia był jak nowy.

Murchison znowu wzięła się do rysowania, tym razem jednak nie trudząc się przedstawianiem wyspy, statków czy słońca. Po lewej stronie liścia narysowała w pionie cztery postacie przedstawiające ją, pająka, Naydrad i Priliclę. Trochę na prawo od nich umieściła drugą linię sylwetek, tyle że jej postać została przedzielona pustą przestrzenią w pasie, a jedna z nóg była oddzielona. W przypadku pająka trzy nogi przedstawiła osobno, podobnie pokawałkowała Kelgiankę i swojego szefa. Następnie naszkicowała stację i jeszcze jeden zestaw postaci, ponownie w całości. Dla dodatkowego wyjaśnienia wyrysowała strzałki łączące niekompletne sylwetki ze stacją oraz stację z kompletnymi osobami.

Wskazała na złącze pędzelka i powiedziała powoli;

— My naprawiamy ludzi.

Pająk chyba jej nie zrozumiał, ponieważ odrzucił rysunek, zawiązał ponownie linę wokół nogi Murchison i nic więcej nie mówiąc, czym prędzej wyszedł.

Patolog rzuciła pędzelek na pognieciony rysunek. Na zewnątrz deszcz przestał już padać i w szparze wentylacyjnej ponownie pokazało się słońce. Murchison podeszła do niej i odsunęła całkowicie klapę w nadziei, że widok jasnego świata doda jej trochę otuchy.

Z góry dobiegało skrzypienie drewnianych mechanizmów oraz szczebiot, ponad który wybijał się jeden szczególnie donośny głos. Murchison była prawie pewna, że należał do kapitana, który dodatkowo używał tuby. Załogi innych statków otwierały żagle i podnosiły rampy.

Pomyślała, że dzieje się coś ważnego. Niemal na pewno pająki podjęły decyzję o zbrojnej napaści na stację medyczną. Odwróciła się ze złością od otworu i siadła na złożonym hamaku. Była przekonana, że sama sprowokowała tę sytuację nieudolnymi próbami nawiązania kontaktu i zasłużyła na karę. Ale gdy spojrzała na drzwi, odniosła wrażenie, że coś się tam zmieniło. Obok wygaszonej obecnie lampy wcześniej z obu stron stały pojemniki z wodą i piaskiem. Nie zniknęły, tyle że skrzynki z piaskiem były aż dwie. Murchison odetchnęła w duchu, uznając jednak, że nijak nie zapracowała na tę nagłą odmianę losu.

— Przestań się zabawiać — powiedziała do Danalty. — Którą skrzynką jesteś?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Zgiełk towarzyszący pajęczej krzątaninie osiągnął chyba apogeum. Na korytarzu zrobiło się jaśniej, a strumień ciepłego powietrza mógł znaczyć tylko tyle, że żagle zostały postawione. Chwilę potem Murchison poczuła lekkie kołysanie. Wiedziała, gdzie flota zamierza popłynąć.

— Chcą zaatakować stację — powiedziała. — Musimy wrócić i ich ostrzec.

— Już ich ostrzegłaś — odparł Danalta, obecnie pod postacią skrzynki, która wypuściła oko, ucho i usta. Odsunął się trochę, ukazując leżący na podłodze komunikator z mrugającymi światełkami nadawania i rejestracji. — Byłem tu podczas całej twojej rozmowy z pająkiem. Kapitan Fletcher twierdzi, że korzystając z pomocy doktora Prilicli, który posługuje się dość podobnym językiem, zdoła zaprogramować translator, tak że gdy wrócimy, będziemy mogli normalnie się z nimi porozumiewać. Ale przede wszystkim jesteś potrzebna w szpitalu.

Jak najszybciej. Trolański rozbitek jest w bardzo kiepskim stanie.

Murchison podniosła komunikator i przypięła go do pasa.

— Przez chwilę zapomniałam, z czego żyję. Muszę natychmiast zameldować się Prilicli.

— Szkoda na to czasu — odparł Danalta zdecydowanie. — Zameldujesz się osobiście. Pani patolog, musimy natychmiast wracać do stacji.

Rzadko kiedy zgadzała się z innymi w całej rozciągłości, a teraz tak było. Rozejrzała się po ciasnym pomieszczeniu. Powrót na stację zapewne nie będzie łatwy, zwłaszcza dla niej. Wskazała na otwór wentylacyjny.

— Statki płyną całkiem szybko — powiedziała. — Już teraz jesteśmy dwieście metrów od brzegu. Nawet jeśli od razu uciekniemy, sporo czasu upłynie, zanim dobrnę do brzegu, a potem plażą do stacji. Możemy nie zdążyć przed ich przybyciem.

Skrzynka z piaskiem przybrała bardziej ożywioną postać i podtoczyła się pod nogi Murchison, szczerząc przy tym paszczę pełną ostrych zębów.

— Z moją pomocą przebędziemy całą drogę w wodzie — powiedział Danalta, przegryzając linę przy nodze Murchison. — Mam powiększyć dla ciebie ten otwór?

— Nie. Można go otworzyć na tyle szeroko, abym się przecisnęła. Nie chcę niepotrzebnie uszkadzać im statku. Próbowałam się z nimi zaprzyjaźnić.

— To skacz.

Zamiast skakać, zanurkowała po prostu i wypłynęła dopiero dwadzieścia metrów od statku. Za sobą usłyszała plusk, z którym Danalta niezgrabnie wpadł do wody, oraz szczebiot coraz większej liczby pająków. Chwilę potem woda zagotowała się od bełtów. Murchison zaczerpnęła powietrza i znowu zanurkowała, chociaż obawiała się, że kilka metrów wody nie zrobi żadnej różnicy. Pociski z kusz były bardzo szybkie. Przyspieszyła w nadziei, że w ten sposób trudniej będzie ją trafić. Gdy wypłynęła ponownie w celu nabrania oddechu, usłyszała pająka wydającego przez tubę jakiś rozkaz i bełty przestały nadlatywać.

Uspokojona i wdzięczna za ten gest popłynęła dalej. Dopiero potem przyszło jej do głowy, że być może kapitan nie chciał po prostu marnować amunicji, przekonany, że i tak schwyta Murchison ponownie po zajęciu ośrodka. Pod nią przemknął zielony kształt z długim karbowanym rogiem na czole. Zanim patolog doszła do jakichś wniosków w sprawie kapitana, tuż obok wynurzył się przypominający tym razem rekina Danalta.

— Złap się rogu. Mocno, obiema rękami — powiedział.

Gdy zmiennokształtny nabrał prędkości, karbowanie bardzo się przydało. Szeroki ogon Danalty pracował ostro na boki, pchając oboje coraz szybciej przez wodę. Nie był to najwygodniejszy sposób podróżowania — przypominał trochę uprawianie narciarstwa wodnego bez nart. Na dodatek zmiennokształtny nie tyle wspinał się na fale, ile przecinał je, przez co Murchison musiała obracać się twarzą ku tyłowi, ile razy chciała zaczerpnąć powietrza. I zawsze wtedy widziała, jak powiększa się dystans między nimi a statkami pająków. Zaśmiała się w duchu, pomyślawszy o kapitanie i jego zdziwieniu na widok tak szybkiej ucieczki.

Z wolna jednak zaczęło się jej robić zimno. Danalta nadal przyspieszał, ale mimo promieni porannego słońca temperatura jej zanurzonego w wodzie ciała zaczęła spadać.

Traciła też czucie w zaciśniętych na rogu dłoniach. W pewnej chwili odkryła na dodatek, że chociaż pas z wyposażeniem został na miejscu, jej biały kostium kąpielowy odpłynął w siną dal.

Statki pająków znikały już za krzywizną brzegu, w polu widzenia pokazał się wrak *Terragara,* a chwilę później dojrzała zabudowania stacji. Nie minęło kilka minut, a dotarli na płycizny przy plaży i Danalta zaczął wykształcać sobie nogi.

Murchison wyczołgała się na piasek i zamachała ramionami, aby trochę się ogrzać.

Potem, jeszcze drżąca, pobiegła do największego kontenera, w którym mieścił się oddział pooperacyjny.

Spotkała tam Naydrad czuwającą nad trzema ziemskimi rozbitkami.

— Siostro — powiedziała, dzwoniąc zębami — proszę rzucić mi strój lekarski.

— Tak też świetnie pani wygląda — powiedział jeden z oficerów z *Terragara,* uśmiechając się od ucha do ucha.

— Może, ale w obecnym stanie nie wpłynę dobrze na pańskie ciśnienie — zauważyła, ubierając się pospiesznie. — Naydrad, gdzie Prilicla?

— W pomieszczeniu łączności — odparła Kelgianka.

###### \* \* \*

Prilicla zadrżał z ulgi i radości, gdy Murchison dołączyła do niego przed ekranem, na którym widniała twarz kapitana. — Cieszę się, że wróciłaś, przyjaciółko Murchison — powiedział. — Widzę, że jesteś cała i zdrowa, ale zaniepokojona. Nie martw się. Przyjaciel Fletcher zdąży przed nimi. *Rhabwar* zajmie się pająkami, nic nam więc nie grozi.

— Ależ doktorze, teraz to oni znajdują się w niebezpieczeństwie — powiedziała Murchison.

— Nie, proszę pani — odezwał się kapitan. — Nigdy nie wyznawałem zasady, że najlepszą formą obrony jest atak. Utrzymamy ich z dala od stacji aż do chwili, gdy będziecie gotowi do transferu na *Rhabwara.* Wszystko z użyciem minimum siły — jeśli w ogóle będziemy musieli się do niej uciekać.

Prilicla wyczuwał w Murchison narastające rozdrażnienie.

— Proszę posłuchać, kapitanie. Chociaż o tym nie wiedziałam, Danalta nagrał moje próby porozumienia się z pająkami, ale nie przekazał tego, czego dowiedziałam się wcześniej o ich sposobie życia i ich technologii oraz jej ograniczeniach, ani o sposobie, w jaki mnie potraktowali, który wcale nie był taki najgorszy. To inteligentne, odważne i pomysłowe istoty, ale przy tym słabe i wrażliwe.

— Rozumiem — odparł kapitan. — Postaramy się żadnego nie skrzywdzić, ale przecież moim zadaniem jest obrona stacji. Chyba pani o tym pamięta?

— Nie rozumie pan! Pająki używają technologii opartych na wydzielinach ich ciała.

Nigdy wcześniej nie spotkałam się z czymś podobnym. Wszystkie ich wytwory, jak statki, szybowce, narzędzia i zapewne domy, są w znacznej części zbudowane z nici. Ich własnej.

Nie wiem, na ile cenią ten surowiec ani czy jego pozyskiwanie stanowi dla nich problem, ale zniszczenie czegokolwiek, co do nich należy, będzie przypominało zniszczenie ich samych. A na pewno pozbawienie ich nad wyraz cennej własności osobistej. To bardzo delikatna sytuacja, kapitanie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pomyślała o czymś jeszcze.

— Używają ognia, ale z tego, co widziałam, tylko jako źródła światła. I zawsze zachowują przy tym wielką ostrożność. Przypuszczam, że ich ciała, jak i wszystko, co wytwarzają, są wysoce łatwopalne. Na dodatek, chociaż są marynarzami, żywią zdecydowaną awersję do wody. Ich statki są tak zaprojektowane, aby żagle mogły służyć jednocześnie jako osłona górnych pokładów przed deszczem i rozpryskami fal. Przykro mi, kapitanie, że utrudniam panu zadanie powiedziała przepraszającym tonem — jeśli jednak mamy nawiązać z nimi przyjazne kontakty, co jest moim zdaniem bardzo realne, nie wolno panu używać przeciwko nim broni wydzielającej ciepło. Myślę o flarach sygnałowych, wszelkiej normalnie nieszkodliwej pirotechnice czy promiennikach powodujących wyładowania elektryczne. Nie wolno też dopuścić do tego, aby którykolwiek z nich spadł z pokładu czy szybowca do wody.

Kapitan milczał przez chwilę, nadal będąc szczęśliwie poza zasięgiem empatycznego zmysłu Prilicli. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie, a twarz nie odbijała żadnych emocji.

— Dziękuję pani za te dodatkowe informacje — powiedział, zerkając na sąsiedni ekran. — Powinniśmy przechwycić ich za siedemnaście minut w odległości stu pięćdziesięciu metrów od waszej plaży. Do tego czasu postaram się odpowiednio zmodyfikować przyjętą metodę obrony. Ale jak sama pani chyba rozumie, nie mogę działać z całkowicie skrępowanymi rękami.

Murchison pokręciła głową, widząc przed sobą poczerniały raptownie ekran.

Przesunęła się do monitora ukazującego obraz z zewnątrz. Prilicla zawisł nad jej ramieniem.

Trzy statki pająków okrążyły już cypel i wykonywały zwrot ku plaży. Ich sylwetki zaczęły się skracać. Wszystkie sześć szybowców znalazło się w powietrzu. Krążyły w ciasnych kręgach, nabierając wysokości. Odległość tłumiła zgiełk dobiegający z pokładów, redukując go do słabego owadziego brzęczenia. Prilicla zauważył z aprobatą, że wśród emocji Murchison były zmęczenie, zatroskanie i narastające podniecenie, brakło jednak strachu.

— Przyjaciółko Murchison — powiedział, wskazując na znajdujący się pod drugiej stronie pomieszczenia ekran diagnostyczny. — To dobra chwila, abyśmy przejrzeli ostatnie dane kliniczne dotyczące obojga obcych. Życiu pacjentki Keet nic już nie zagraża i jej leczenie postępuje pomyślnie, gorzej jednak jest z pacjentem Jasamem.

Patolog kiwnęła głową i przeszła do ekranu, na którym widniały już powiększenia skanerowych obrazów pacjentów. Przez kilka minut studiowała je, zmieniając skalę i kąt widzenia, podczas gdy pajęcze jednostki podpływały coraz bliżej. Tyle że w odróżnieniu od Prilicli nie zwracała na nie uwagi.

— Danalta uprzedzał, że pacjent Jasam to trudny przypadek, i miał rację. Ale i stan pacjentki Keet, chociaż nie wymaga natychmiastowej interwencji, też nie jest najlepszy.

Cierpi na zaburzenia krążenia, degenerację niektórych narządów, jak sądzę, wywołaną zapewne niedawną traumą, oraz anemię wynikającą z mało urozmaiconej diety. Ale pacjent Jasam rzeczywiście jest w znacznie poważniejszym stanie. Doradzam natychmiastową interwencję chirurgiczną. Zgadza się pan ze mną, doktorze?

— W pełni, przyjaciółko Murchison. — Prilicla wskazał na ekran. — Mamy tu jednak aż trzy głębokie rany, które mogły w nieznany nam sposób uszkodzić organy wewnętrzne.

Wszystkie na pewno po równi wymagają uwagi. My zaś możemy zająć się tylko jedną naraz.

Od której powinniśmy zacząć? To całkiem nowa forma życia.

Ziemianka zastanowiła się głęboko, aż nagle pojawiło się w niej całkiem niespodziewane poczucie pewności.

— Nie ma naprawdę nic nowego pod tym czy jakimkolwiek innym słońcem — powiedziała. — Nasi CHLI zdradzają wiele podobieństw do Kelgian. Mam na myśli brak wewnętrznego kośćca czy bogatą sieć naczyń krwionośnych i nerwów dochodzących do kończyn i narządów zmysłów. Może to ulotne podobieństwa, ale są. Z kolei szybko bijące serca przypominają mięśnie sercowe lekkograwitacyjnych LSVO albo MSVK. Układ trawienny jest bardzo dziwny, ale proces wydalniczy przypomina to, z czym spotykamy się u Melfian. Jeśli uzna pan, że możemy zaryzykować, sądzę, że będę w stanie ustalić właściwe funkcje porażonych narządów. Tylko że — uniosła dłonie i rozpostarła palce — tymi wyrostkami tego nie zrobię — powiedziała. — Tutaj potrzebne są znacznie wrażliwsze dłonie i wszystko, co potrafi wykształcić metamorf, aby sięgnąć w najbardziej niedostępne zakątki. Pan i Danalta poprowadzicie operację. Ja będę tylko asystować i służyć radą.

— Dziękuję, przyjaciółko Murchison — powiedział Prilicla, żałując, że Ziemianka nie może odczuć jego wdzięczności i ulgi. — Natychmiast się przygotujemy.

— Zanim otworzymy Jasama... — zaczęła, ale urwała, ponieważ całe pomieszczenie zadrżało pod wpływem narastającego pomruku, który zwiastował przybycie *Rhabwara.*Zirytowana Murchison nie spojrzała nawet na ekran, tylko po prostu uniosła głos. — Chciałabym przeprowadzić palpacyjne badanie obojga pacjentów w celu porównania i potwierdzenia tego, co pokazał obraz ze skanera.

— Oczywiście. Potrzebuję jednak kilku minut, aby Naydrad zaaplikowała im narkozę.

— Po co? — spytała patolog. — Naprawdę nie mamy wiele czasu.

— Przykro mi, przyjaciółko Murchison, ale w odróżnieniu od oficerów *Terragara* Trolannom widok twojego ciała nie sprawi żadnej przyjemności.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Fletcher obserwował na ekranie rozwijające się siły pająków oraz krążące nad polem przyszłej bitwy szybowce. Miękki kapitański fotel wydawał mu się twardy niczym zwykłe deski, ze względu na podwładnych starał się jednak ukrywać narastające napięcie.

*Rhabwar* nie był wielką jednostką, ale długi kadłub i rozłożyste, deltoidalne skrzydła sprawiały, że przewyższał rozmiarami spłaszczone niczym skorupa żółwia statki przeciwników. Wcześniej planowana ścieżka podejścia z pewnością spowodowałaby wśród nich skrajne zamieszanie, może nawet sporo zniszczeń i daleko posuniętą demoralizację, ale słowa Murchison spowodowały, że kapitan zmienił scenariusz działania.

Chciał przejść nisko i z dużą szybkością nad plażą, ciągnąc za sobą uderzeniową falę dźwięku. Nie przypuszczał, aby statki przez to ucierpiały, podobnie jak ich załogi, niemniej turbulencje wywołane przez bliski ponaddźwiękowy przelot podobnej masy musiałyby zmasakrować szybowce. To nie byłoby nawet strzelanie do kaczek, raczej strącanie motyli za pomocą miotacza ognia.

— Zwolnić — polecił. — Zawis na wysokości stu metrów w połowie drogi między stacją a brzegiem. Chcę trzech skupionych wiązek równej mocy.

— Sir, wolniejsze podejście da im czas na lądowanie — zauważył Haslam.

Kapitan nie odpowiedział, ponieważ sam widział świetnie, co się działo, i doszedł do tego samego wniosku.

— Dodds, statki przeciwnika są wysoce łatwopalne. Gdy zajmiemy pozycję, obróć nas tak, aby nasze dysze skierowane były w głąb wyspy. Potem przesuń jedną wiązką po plaży, aby zniechęcić pająki. Początkowe skupienie u celu dziesięć metrów, potem zmiennie w celu wywołania turbulencji. Przeciągnij nią raz i drugi w poprzek ich drogi. Najlepiej wywołaj tam lokalną burzę piaskową.

— Zrozumiałem, sir.

— Maszynownia, zaraz postawimy statek na wiązkach bez pomocy napędu. Jak długo zdołasz nas utrzymać? Potrzebuję tylko przybliżonej wartości.

— Chwilę — odparł inżynier. — Około siedemdziesięciu trzech minut na pełnej mocy z redukcją jednego przecinek trzy procent co minutę aż do całkowitego ustania pracy emiterów i przymusowego lądowania siedemnaście przecinek trzy minuty później.

— Dziękuję, Chen — powiedział Fletcher, uśmiechając się pod nosem. Inżynier maszynowy nie lubił przybliżeń i zawsze starał się być precyzyjny. — Przekazuję obraz na ekrany. Miłej... hm... bitwy.

Poranne słońce musiało utrudniać pająkom dojrzenie lekkiej mgiełki powstałej w miejscu przebiegu wiązek. Dla nich statek unosił się po prostu w powietrzu lekki niczym ich własne aparaty latające.

— Mam pewną sugestię, sir — powiedział Chen. — Jeśli mamy przeprowadzić tu demonstrację siły, która odbierze nieprzyjacielowi odwagę albo i skłoni go do panicznej ucieczki bez powodowania obrażeń fizycznych, jest na to pewien sposób...

— Pająki nie są naszym nieprzyjacielem, poruczniku — odparł Fletcher chłodno. — Po prostu zachowują się jak zwykle. Ale słucham.

— Jeśli jednak nie dadzą się zastraszyć, będziemy tu mieli regularne oblężenie, którego nie zdołamy opanować, zanim zabraknie nam mocy. Proponowałbym wylądować i tak ustawić tarczę przeciwmeteorytową, aby objęła półkulą cały obóz oraz nas. Ten rodzaj osłony będziemy mogli długo utrzymywać. Skoro już pokazaliśmy, że jesteśmy dużą i groźną jednostką, która potrafi zawisnąć w powietrzu, nie ma powodu, aby z tym przesadzać. Z całym szacunkiem, sir, sądzę, że powinniśmy wylądować, i to raczej wcześniej niż później.

Dokładnie te same myśli przebiegły Fletcherowi przez głowę, ale informując o tym Chena, wyszedłby na kiepskiego raczej kapitana. Istniało jednak jeszcze dodatkowe niebezpieczeństwo, iż któryś z szybowców zderzy się z wiązką, co najpewniej skończy się jego rozbiciem i śmiercią pilota.

— Dziękuję, Chen — odparł kapitan. — Przyjmuję twoją propozycję. Haslam, lądujemy.

Dodds, zdejmij moc, ale utrzymaj przednią wiązkę, aby burza piaskowa nie wygasła. Chen, jak szybko możesz uruchomić osłonę przeciwmeteorytową z podanymi modyfikacjami?

— To trudno precyzyjnie określić — odparł inżynier. — Na pewno nie od razu.

— Postaraj się, aby było to jak najszybciej.

Szybowce umknęły zaraz po nadejściu *Rhabwara,* ale już zawracały. Ich piloci uznali zapewne, że lądowanie statku jest oznaką słabości. Wszystkie trzy jednostki pająków kierowały się ku plaży, a najbliższa opuściła już rampę. Chwilę później pierwsze pająki zeszły na brzeg, oczywiście z kuszami w łapach. Dodds sprawdził skupienie wiązki. Oddział szturmowy liczył już dwudziestu osobników i z każdą sekundą się powiększał.

Dokładnie przed nimi uniosła się nagle w powietrze połać piasku o średnicy dwudziestu metrów i grubości jakichś trzech cali i eksplodowała chmurą kurzu, gdy wiązka zastała wprawiona w przypadkowe drgania. Gruba kurtyna opadła przed pająkowatymi, przy czym część piasku wylądowała bezpośrednio na nich.

Przez chwilę kręcili się niezdecydowanie, aż nagle na nadbudówce statku pojawił się osobnik z tubą, wydał jakiś rozkaz i grupa podzieliła się na pół, a każda z podgrup ruszyła plażą w przeciwnym kierunku. Burza piaskowa podążyła ich śladem.

Dwa pozostałe statki też wyładowywały piechotę; szybowce krążyły już w ciasnych kręgach nad *Rhabwarem* i stacją. Szczęśliwie na razie nie schodziły na tyle nisko, aby zderzyć się z osłoną, gdy zostanie uruchomiona.

— Sir, burza nie robi chyba na nich większego wrażenia — powiedział Dodds. — Zwłaszcza teraz, gdy wszystkie trzy grupy rozciągnęły się na plaży. Chyba chcą zejść nam z oczu i podejść od tyłu. Mam zwiększyć moc i zasięg, aby poruszyć więcej piasku, czy może starać się ich osaczyć...

— Dobrze byłoby uruchomić jeszcze jedną wiązkę — wtrącił się Haslam. — Chwilowo nie mam nic ważnego do roboty.

— Moglibyśmy użyć wody zamiast piasku — dopowiedział Dodds. — Gdyby ich ochlapać, pewnie by się rozbiegli. Potem uwięzilibyśmy ich między wodą a deszczem.

Fletcher nie wpadł wcześniej na ten pomysł i tym bardziej ucieszyła go twórcza inicjatywa porucznika.

— Z tego, co wiemy, woda może być dla nich groźna, my zaś, cokolwiek powiedzieć, staramy się zachowywać przyjaźnie. Spróbuj, ale bardzo ostrożnie, żeby ich nie skąpać.

— Z całą pewnością boją się wody — powiedział Dodds kilka minut później. — Zatrzymali się. Teraz jednak znowu ruszają w głąb wyspy.

— Haslam, uruchom drugą wiązkę — rozkazał kapitan. — Dodds poda ci koordynaty. On zajmie się dalszymi grupami, ty zaś weźmiesz najbliższą. Przesuwaj wiązkę wzdłuż ich szeregu, aby nie zbliżali się do stacji. Zostaw wodę, jeśli będzie trzeba, niech tym zajmie się Dodds. Ty atakuj ich tylko piaskiem. Niech nie widzą, gdzie idą, i niech ogólnie poczują się jak najgorzej. Ale nie rób im krzywdy.

— Tak, sir — odparł Haslam.

Coraz więcej pająków schodziło po rampach na brzeg, nie rozpełzały się jednak po plaży z powodu zagrożenia spadającą z nieba wodą. Gdybym to ja był na ich miejscu, pewnie zdziwiłbym się, dlaczego ciągle obrywam piaskiem, nie wodą, pomyślał Fletcher. Ale logika pająków mogła być przecież całkiem odmienna. Nagłe przeciwnik zmienił taktykę.

— Proszę spojrzeć, sir — powiedział Dodds. — Teraz zaczynają zmieniać szybko położenie i gdy tylko trafia się okazja, skaczą poprzez piasek. Gdy zajmuję się jedną flanką, druga zyskuje metr albo dwa. Muszę ciągle zmieniać moc wiązki, aby ich nie zahaczyć. Chen, potrzebujemy tarczy. Już.

— To samo dzieje się u mnie — dodał Haslam. — Zrzuciłem już na nich chyba z tonę piasku, ale się nie przejęli. Biegną zygzakami w burzę i... Cholera, trafiłem jednego!

To musiało być muśnięcie raczej niż trafienie, ale pająkowaty wyleciał na dwa metry w powietrze i spadł na grzbiet. Przez czyste już powietrze Fletcher widział, jak poszkodowany machał łapami w powietrzu. Haslam bez rozkazu cofnął wiązkę, gdy kilka innych stworzeń zgromadziło się przy rannym towarzyszu i pomogło mu stanąć na nogach.

Gdzie indziej na plaży pająki zwarły ponownie szeregi i ruszyły w stronę stacji. Na nadbudówce statku znów pojawił się osobnik z tubą i zaczął przekazywać coś swoim.

Oddziały zawahały się i stanęły. Nim minęło kilka sekund, wszyscy pająkowaci zawrócili i zaczęli ładować się z powrotem na statki. Dwóch poniosło rannego. Szybowce już wylądowały i lada chwila miały znaleźć się znów na pokładach.

— Przykro mi z powodu tego jednego, sir — powiedział Haslam. — Nie sądzę, aby poważnie oberwał, ale chyba coś zrozumieli, bo się wycofują.

— Nie stawiałbym na to większej sumy, poruczniku — mruknął Fletcher.

Chciał wskazać coś na przednim ekranie, gdy zabrzmiał brzęczyk komunikatora i przed nim pojawił się portret doktora Prilicli.

— Przyjacielu Fletcher, emanacja emocjonalna twojej załogi nagle osłabła. Czeka nas teraz długa i żmudna operacja. Czy powinienem się spodziewać dalszych gwałtownych zmian napięcia emocjonalnego?

— Do wieczora będzie spokojnie, doktorze — powiedział Fletcher i zaśmiał się cicho. — Sądząc po tym, co widzę na niebie, zbliża się ulewa. Tym razem już nie szkwał, ale prawdziwa burza. Pająki pospiesznie wracają na statki.

Ciemne chmury wypełzały zza horyzontu i ogarniały coraz większą połać nieba.

Pająki i ich szybowce całkiem już zniknęły, a statki zamknęły wszystkie pokrywy. Słychać było tylko ulewę łomoczącą coraz głośniej o kadłuby, które teraz przypominały trochę parasole.

— To chyba pierwszy raz w historii bitwa została odwołana z powodu deszczu — powiedział Haslam.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pacjent został już przygotowany do operacji i zespół złożony z Danalty, Naydrad i Prilicli stał zmobilizowany już blisko dwadzieścia minut, czekając, aż Murchison rozwiąże pewien niemedyczny problem małego empaty. Tak bardzo się starała, że jej emocje wprawiały Priliclę w nieustanne drżenie.

— Keet, twój partner Jasam jest nieprzytomny i nie poczuje żadnego bólu, ani teraz, ani podczas rekonwalescencji. Ty jednak jesteś cała obolała emocjonalnie. Miota tobą niepewność i rozpacz wywołana obawą, że stracisz ukochanego. Z brutalną szczerością powiem, że istnieje takie ryzyko, ale mamy szansę go uratować. Pomożesz nam, jeśli zejdziesz nam teraz z oczu. Nie masz wykształcenia medycznego i widok każdego cięcia, resekcji czy szycia może sprawić ci poważny ból. Tobie też będzie łatwiej przeczekać to gdzie indziej. Przecież nie chcesz sprawiać Jasamowi dodatkowego cierpienia?

Keet spojrzała ze swoich noszy na nieruchomą postać Jasama. Zażądała wcześniej, aby ją tu przywieźć, i teraz nie powiedziała ani słowa.

— Z mojego doświadczenia wiem, że żadna bliska osoba bez przygotowania medycznego nie powinna być świadkiem równie poważnej operacji — powiedziała Naydrad, falując energicznie futrem. — To zasada znana powszechnie we wszystkich cywilizowanych światach, nie tylko nasza fanaberia. Jeśli u was jest inaczej, macie błędne pojęcie o podstawowych sprawach i hołdujecie medycznemu barbarzyństwu.

Prilicla miał już przeprosić za język Kelgianki, ale powstrzymał się, gdyż Keet już wiedziała, dlaczego Naydrad zawsze jest taka bezpośrednia.

— Nie mamy tego zwyczaju — odparła Trolannka, wyraźnie urażona. — Ale nie zwykliśmy też wpuszczać druuli na sale operacyjne. Nigdy.

Prilicla wyczuł, że jeszcze chwila, a Murchison straci cierpliwość do pacjentki.

Ostatecznie jednak wytrzymała i zmieniła nieco taktykę:

— Wszystko, czego doświadczyłaś na waszym statku, gdy Jasam odniósł ciężkie obrażenia, a ty nie mogłaś mu pomóc ani nawet być blisko niego, musiało odcisnąć w tobie głęboki ślad. Nie chcesz go teraz tracić z pola widzenia w obawie, że więcej się nie spotkacie.

Rozumiem to, zwłaszcza teraz, i bardzo ci współczuję. Ale być może ta troska o partnera utrudnia ci spokojne przeanalizowanie sprawy, wyjaśnię ci to więc raz jeszcze. Nie jest ważne, do kogo i jak bardzo jestem podobna. Ważne, że nie jestem druulem, a moja wiedza medyczna jest w tym wypadku po prostu niezbędna. Nie będę sama operować Jasama, nawet go nie dotknę. Jeśli nalegasz, aby być obecną podczas operacji, otrzymasz moją zgodę. Ale widok zabiegów chirurgicznych przeprowadzanych na twoim partnerze może okazać się dla ciebie nad wyraz stresujący, proponuję zatem, abyś obserwowała raczej mnie niż jego. Tak na wszelki wypadek, gdybym nagle zgłodniała i chciała go zjeść.

— A podobno to Kelgianie słyną z braku taktu — mruknął Danalta.

— Tak czy siak, ta kwestia była zupełnie bez sensu — powiedziała Naydrad, jeżąc sierść.

Prilicla wiedział jednak, że Murchison celowo zastosowała kurację wstrząsową. Z emocji Keet zaczęło wynikać, że był to dobry pomysł.

— Widziałaś już Priliclę w działaniu i wiesz, jaki potrafi być precyzyjny — podjęła Murchison. — Wiesz także, że jest superwrażliwy na cudze emocje. Jak się na pewno domyślasz, twój strach i głębokie wzburzenie mogą mu poważnie przeszkadzać w poprawnym przeprowadzeniu operacji. Musisz zatem cały czas dokładnie kontrolować swoje emocje, nawet jeśli będzie chodziło o całkiem naturalne reakcje, aby go nie rozpraszać.

Rozumiesz, o czym mówię, i zgadzasz się?

Trolannka nie odpowiedziała, ale Prilicla poczuł, że jej wzburzenie zaczęło opadać, jakby celowo starała się je stłumić. Nawet jej się to udawało i nie czuła potrzeby odpowiadania tej strasznej druulowatej istocie, za którą miała Murchison. Zrozumiała najważniejsze i było jej do pewnego stopnia nawet przykro, że tak się zachowała.

— Dziękuję, przyjaciółko Murchison. Możemy zaczynać...

Nad pacjentem płonęły jasno lampy i gdy Prilicla odwracał chwilami oczy, aby dać im trochę odpocząć, zaniesione chmurami niebo na zewnątrz wydawało mu się tak ciemne, jakby zapadła już noc. Chociaż gdy w pewnej chwili spojrzał na ekran podający obraz z zewnątrz, ujrzał rzeczywistą ciemność. Spokojny głos kapitana meldował co jakiś czas, że pająki nie wykazują żadnej aktywności. Po nastaniu nocy śledzili ich poczynania za pomocą podczerwieni. Wcześniejsze przypuszczenia potwierdzały się: tubylcy byli wybitnie dziennymi stworzeniami.

— Albo może nie lubią deszczowych nocy — zauważyła Naydrad o wiele za głośno, aby kapitan jej nie dosłyszał. — Doktorze Prilicla, sądzę, że powinien się pan przespać.

— I ja też tak uważam — powiedziała Murchison. — Stan pacjenta jest nadal krytyczny, ale już stabilny na tyle, abyśmy mogli zamknąć dolną część klatki piersiowej i przerwać operację na kilka godzin. Uszkodzenia tchawicy w miejscach, gdzie implanty rozerwały tkankę, zostały już naprawione i pacjent oddycha samodzielnie. Dostaje tlen i składniki odżywcze. Naprawa zniszczeń spowodowanych usunięciem podajnika żywności i przewodu usuwającego odpady może chyba chwilę poczekać?

— Zapewne masz rację, przyjaciółko Murchison — powiedział Prilicla, używając formy, która w jego ustach była najbardziej bezpośrednim wskazaniem komuś, że się myli — ale w uszkodzonych partiach jelita pozostały jeszcze toksyczne substancje, które wolałbym usunąć, zanim zdecydujemy się na przerwę. Przyjacielu Danalta, bądź gotów, gdy dojdę do pierwszego z uszkodzeń. Nie martw się, przyjaciółko Murchison. Obiecuję, że przez najbliższą godzinę nie zasnę nad pacjentem. A teraz do roboty.

— To najdziwniejsze połączenie żołądka z jelitami, jakie w życiu widziałam — powiedziała Naydrad, uruchamiając aparaturę. — Kolorem i kształtem przypomina spaghetti, które pan tak lubi, doktorze. Czy to nie dziwne, pani patolog?

— W świetle mojej wcześniejszej uwagi gastronomicznej twoja uwaga brzmi szczególnie dziwnie, zwłaszcza że została wygłoszona w obecności osoby bliskiej pacjentowi — powiedziała Murchison chłodnym tonem. — Poza tym to nie jest wcale aż takie dziwne.

Podobne rozwiązanie występuje u Dwerlan, chociaż muszę przyznać, nie jest tam zdublowane. Niemniej w ksenomedycynie nie ma prawdziwych nowości. Zdarzają się tylko nowe kombinacje znanego. I tylko niektóre są bardziej złożone, jak ta tutaj.

Keet poruszyła się niespokojnie na noszach.

— Tak naprawdę nie wierzę, aby ktokolwiek z was chciał zjeść wnętrzności mojego partnera. Nawet druul zastanowiłby się poważnie przed pożarciem jelit. Nie widzę jednak, co robicie. Zasłaniasz mi widok, Murchison.

— Celowo — odparła patolog. — Lepiej, abyś zobaczyła dopiero wynik tego, co robimy.

Naydrad pilnowała ze swoją ssawą, aby pole operacyjne wolne było od płynu, Danalta zaś sięgał specjalnie wytworzonymi wyrostkami tam, gdzie instrumenty chirurgiczne nie miały szansy dotrzeć. Przytrzymując brzegi rany, pomagał Prilicli w precyzyjnym działaniu.

Keet milczała, w coraz bardziej nietypowy dla niej sposób emanując wyłącznie zatroskaniem.

Murchison obserwowała przebieg operacji, ale też się nie odzywała. Organizm pacjenta był już im prawie znany i nie musiała na razie niczego objaśniać. Pierwszy raz otworzyła usta dopiero pół godziny później.

— Keet — powiedziała z silną ulgą i zadowoleniem, których Trolannka nie mogła oczywiście wyczuć. — Wszystko idzie ku lepszemu.

— Dziękuję, Murchison — odparła Keet.

— Proszę. Na razie jednak zachowaj spokój, aby nie rozpraszać zespołu. Jest jeszcze wiele do zrobienia.

O wiele pogodniejsza Keet odpowiedziała milczeniem. Murchison jednak nadal martwiła się trochę, tyle że tym razem o Priliclę. Nie zaskoczyła go więc, gdy zwróciła się wprost do niego:

— Jest pan zmęczony, a drżenie nóg wskazuje, że pilnie potrzebuje pan wypoczynku.

Tutaj trzeba już tylko posprzątać, a z tym Danalta i Naydrad mogą się uporać bez pana. Jest jednak coś jeszcze. Może nie pilne ani nie zagrażające zdrowiu, ale dobrze byłoby zająć się tym teraz, aby ponownie nie otwierać pacjenta.

— O czym mowa? — odezwała się nagle Keet. — Nie chcę, aby Jasam był cięty bez wyraźnego powodu.

— Problem jest zasadniczo medyczny i dotyczy drobnego zabiegu — wyjaśniła Murchison, biorąc ołówek świetlny i używając go w roli wskaźnika. — Chodzi o interwencję w pracę układu wydzielania wewnętrznego pacjenta. Dokładnie o ten gruczoł, ten tutaj, który uległ częściowej atrofii i nie spełnia należycie swoich funkcji z powodu nagromadzenia przyswajanych przez lata toksyn. Chwilowe usunięcie go z niekorzystnego środowiska i poddanie działaniom pewnych specyfików może spowodować, że oczyści się i podejmie działanie w czasie nie dłuższym niż przewidywana rekonwalescencja pacjenta.

— O czy ty mówisz? — spytała Keet.

— Biorąc pod uwagę, że populacja Trolannów jest bardzo nieliczna i niewiele dzieli ich od wyginięcia, byłoby wskazane, aby na nowym świecie pojawiło się jak najwięcej par zdolnych do posiadania potomstwa. W wypadku układu rozrodczego pacjenta Jasama proces uaktywnienia nie przedstawia większych trudności i nie sądzę, aby mogły w jego trakcie pojawić się jakieś komplikacje. Z pacjentką Keet będzie trudniej, co zresztą nie dziwi, żeńskie układy rozrodcze zawsze są bowiem bardziej skomplikowane, ale dobrze będzie, jeśli zajmie się pan w najbliższym czasie i tym, doktorze Prilicla. Oczywiście po należytym wyspaniu się.

Zgadza się pan?

Prilicla na chwilę zaniemówił. Zadrżał, wyczuwszy radość, która wybuchła w umyśle Trolannki. Bardzo się ucieszył, że jego asystentka tak właśnie przedstawiła sytuację, wiedział też, że zyskała w tej chwili w Keet dozgonną przyjaciółkę.

Gdy emocjonalna wichura trochę się uspokoiła, odsunął się od stołu operacyjnego i rozprostował skrzydła i kończyny.

— Dobra robota, dziękuję wam wszystkim — powiedział. — Przyjaciółko Murchison, zgadzam się z obiema twoimi sugestiami. Zajmij się niezwłocznie Jasamem i wyjaśnij Keet, że jej partner pozostanie nieprzytomny jeszcze przez długi czas, co wspomoże jego zdrowienie, i nie zamierzamy na razie robić nic więcej poza przedstawionym przez ciebie zabiegiem.

— Niech się pan nie martwi, wyjaśnię Keet, co trzeba — odparła Murchison. — A teraz proszę się udać na spoczynek.

Postaci Murchison, Danalty, Naydrad i obojga pacjentów rozmyły się nagle. Sala operacyjna też jakby oddaliła się mocno od Prilicli.

— Ja już śpię — wymamrotał.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Zła pogoda z ulewnymi deszczami i silnym wiatrem utrzymała się przez następne sześć dni, skutecznie zniechęcając pająki do kolejnego ataku. Keet z powodzeniem przeszła wykonany przez Priliclę zabieg i czekała niecierpliwie, aż Jasam zostanie wybrudzony z farmakologicznej śpiączki. Kurier Jeden powrócił z najnowszymi informacjami oraz całym szeregiem narzekań ze strony wysokich oficerów Korpusu Kontroli i różnych przedstawicieli Federacji, którzy nie kryli niepokoju i podawali w wątpliwość rozsądek załogi *Rhabwara.*Kurier Dwa czekał niecierpliwie na zestaw świeżych meldunków oraz wyjaśnienia i odpowiedzi.

Fletcher długo się nad nimi męczył, aż w końcu poprosił o pomoc.

— Przygotowałem raport, ale chciałbym go jeszcze skonsultować z panem, doktorze Prilicla — powiedział z niejakim zakłopotaniem i wskazał na ludzkich i trolańskich pacjentów widocznych za przezroczystą ścianą pomieszczenia łączności. — A właściwie nie tyle z panem, ile z całym pańskim zespołem. Z pewnych powodów, które zaraz zrozumiecie, nie chciałbym, aby moi oficerowie słyszeli naszą rozmowę. Chodzi o coś, z czego nie jestem wcale dumny.

Jeśli doszłoby do śledztwa czy nawet procesu, chciałbym oszczędzić im rozterek, na wypadek gdyby musieli zeznawać przeciwko mnie.

Fletcher osobiście przyszedł z *Rhabwara,* moknąc na deszczu, aby im to przekazać.

Prilicla spróbował trochę go uspokoić, ale nie wyszło mu to za bardzo. Pierwsza odezwała się Naydrad:

— Nie rozumiem problemu, kapitanie. Wśród Kelgian podobny problem w ogóle by nie powstał. Albo przedstawilibyśmy fakty jak należy, albo zachowali milczenie, gdyby ujawnienie czegoś nam nie pasowało. Ci Ziemianie!

— W odróżnieniu od siostry ja umiem zniekształcać rzeczywistość — powiedział Danalta. — Wiem, co to dyplomacja, uprzejmość czy terapeutyczne kłamstwo. Ale uważam, że na dłuższą metę prościej jest mówić prawdę.

— Tylko że ta prawda jest bardzo złożona — rzucił Fletcher z lekką irytacją. — Dla moich przełożonych może się okazać zbyt skomplikowana, aby skłonni byli w nią uwierzyć. Kurier Jeden zabrał raporty o pierwszym kontakcie z Trolannami, który zasadniczo przebiegł

pomyślnie, ale dalsze sukcesy będą zależeć od tego, czy nasi rozbitkowie przetrwają drugi kontakt z kolejnym inteligentnym gatunkiem, tym, który porwał patolog Murchison...

— To akurat skończyło się szczęśliwie — wtrąciła się Murchison, spoglądając na moknące na plaży statki pająków. — Przynajmniej na razie.

— Na skutek tamtych zdarzeń jednak mieszkańcy planety wypowiedzieli nam wojnę.

To nie ma nic wspólnego z procedurami kontaktowymi i nasi dowódcy będą bardzo niezadowoleni z tego, co tu zdziałaliśmy. Zwłaszcza ze mnie. Kapitan Kuriera Dwa przekazał mi nawet wprost, że były pomysły, aby wysłać tutaj jeden ze statków kontaktowych, zapewne *Descartes’ea,* aby zajął się drugą rasą, podczas gdy my nadal pracowalibyśmy z pierwszą.

Wspomniał też o kompletowaniu zespołów specjalistów, które mają rozpracować trolańską technologię oraz przyjrzeć się skutkom pojawienia się technologii kosmicznej na planecie pająków. Ale teraz, gdy Kurier Dwa dostarczy kolejny mój raport, który wyjaśnia dokładnie, na jakim etapie rozwojowym pozostają pająki, w ciągu tygodnia może zaroić się tutaj od jednostek Korpusu.

Kapitan westchnął ciężko. Zapewne dlatego, pomyślał Prilicla, że mówił dość długo, nie robiąc niemal przerw na nabranie oddechu. Ze względu na małego empatę Fletcher starał się panować nad emocjami, które były bez dwóch zdań dość mroczne.

— Przyjacielu Fletcher, nasze zakresy władzy pokrywają się częściowo, co powoduje też równy rozkład odpowiedzialności, w razie gdyby coś poszło nie tak. Ale w tym wypadku kontekst był głównie medyczny. Zaczęło się od ratowania rozbitków z *Terragara,* potem pojawili się Trolannie, ostatecznie zaś to ja wymusiłem na panu podjęcie obrony naszej stacji.

W ten sposób większa odpowiedzialność spoczywa na mnie...

Napięcie kapitana trochę zmalało, jednak Prilicla czuł narastający w nim sprzeciw. W odróżnieniu od ziemian empata mógł równocześnie mówić i oddychać, nie potrzebował więc specjalnych przerw.

— Doradzałbym przekazanie prawdy, ale nieujawnianie na razie incydentu z przyjaciółką Murchison. Na ile znam diagnostyka Conwaya, to przy jego zaangażowaniu natychmiast by tu przyleciał i...

— Bez wątpienia — powiedziała cicho Murchison.

— ...i mocno wszystko skomplikował swoją obecnością — dokończył Prilicla. — Chodzi o to, że Conway ma wystarczającą rangę, aby przybyć tutaj którymś ze szpitalnych statków, chociaż obawiam się też, że i bez niego będzie tu niebawem dość wszelkich jednostek.

Ponadto starczy nam jedna Keet, która martwi się ciągle o Jasama, druga taka para byłaby już ponad moje siły. Wyczuwam, że zgadzasz się ze mną, przyjaciółko Murchison. Co się zaś tyczy reszty raportu, niech będzie dokładny i rzeczowy. Nie wątpię, że ponowi pan w nim ostrzeżenie przed bezpośrednim kontaktem z trolańskim statkiem. No i uświadomi swoim przełożonym, w uprzejmych słowach oczywiście, jeśli kariera panu miła, jak szkodliwe może być wtrącanie się w podobne akcje ludzi dysponujących jedynie relacjami i pozbawionych bezpośredniego wglądu w sytuację.

Kolejne, o czym powinien pan wspomnieć, to druule. Kontakt z nimi będzie o wiele trudniejszy i zapewne niebezpieczny. Ale gdy tylko uda się ich spacyfikować, co może wymagać wojskowej interwencji, Trolannie muszą zostać ewakuowani z tamtej planety zgodnie z procedurami przewidzianymi na wypadek kataklizmu. W późniejszym czasie konieczna będzie jeszcze podobna akcja wobec druuli, którzy mogą się jednak okazać podatni na reedukację i być może pewnego dnia też zostaną członkami Federacji. Może pan również zasugerować, że nasi obecni pacjenci będą w tych działaniach nieocenioną pomocą, zważywszy na to, że zyskaliśmy już ich zaufanie.

— Ale konflikt między Trolannami a druulami nie wymaga natychmiastowego rozwiązania... — zaczął kapitan.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Prilicla. — W ten sposób jednak stworzy pan wrażenie, że pana zdaniem chodzi o coś znacznie poważniejszego niż nasza obecna akcja.

Pańscy przełożeni na pewno docenią, że pochyla się pan z troską nad ich przyszłymi problemami, i uznają, że bez wątpienia jest pan na tyle kompetentny, aby samodzielnie uporać się ze wszystkim, co się tutaj dzieje. Jeśli zaś mimo wszystko spróbują nam pomóc, jestem pewien, że przyjaciółka Keet bez trudu dostarczy nam szeregu istotnych informacji na temat trudnego położenia Trolannów. I jeśli za każdym razem, gdy będą chcieli się zająć nami, będą otrzymywać od nas jakiś twardy orzech do zgryzienia, w końcu dadzą sobie spokój.

— A jak przedstawić atak pająków na stację? — spytał kapitan. — Jak uczynić z tego błahostkę?

— Proszę powiedzieć prawdę, tyle że niecałą. Najlepiej będzie zasugerować, że po pierwszych nieporozumieniach kontakt rozwija się pomyślnie.

— Rozwijać to on się i owszem, rozwija, ale na razie wszystko idzie jak najgorzej.

Doktorze, jak na kogoś tak wrażliwego i nieśmiałego, to nader cyniczna i kłamliwa z pana bestia.

— Dziękuję, przyjacielu Fletcher. Miło mi słyszeć, że ktoś mnie tak postrzega.

Murchison i Danalta wydali dźwięki, których translator nie przełożył, Naydrad zaś zjeżyła sierść ze zdumienia, ale nie zdążyli niczego skomentować, na ekranie bowiem pojawiła się twarz Haslama.

— Sir, czujniki meteo podają, że za pięć godzin nadciągnie tu ciepły front, który oczyści niebo — powiedział oficer. — Nastąpi to tuż przed zmrokiem. Za nim przesuwa się obszar wysokiego ciśnienia, co oznacza dwanaście do piętnastu dni bardzo dobrej pogody.

Poza tym zbliża się do nas kolejna flota pająków, również złożona z trzech statków. Sądząc po ich obecnym kursie i prędkości, przejdą przed porankiem trochę na południe od wyspy, aby wylądować po jej drugiej stronie. Czy byłby pan skłonny powrócić na statek?

Było to oczywiście pytanie retoryczne, ponieważ kapitan znajdował się już w połowie drogi do wyjścia.

###### \* \* \*

Jak można się było spodziewać, atak od strony lądu został przeprowadzony dopiero późnym popołudniem następnego dnia. Do tego czasu słońce osuszyło roślinność. Cała sytuacja była na bieżąco przekazywana na ekrany stacji, a kapitan komentował poszczególne etapy akcji. Naydrad przebywała z trolańskimi pacjentami i rozmawiała z Keet. Jasam pogrążony był jeszcze w śpiączce, ale jego stan nie budził niepokoju, Danalta zaś pokazywał sztuczki, aby rozbawić trochę rozbitków z *Terragara,* którzy narzekali na brak codziennych kąpieli w oceanie. Tylko Murchison i Prilicla śledzili uważnie to, co działo się na wyspie. W pani patolog narastało coraz wyraźniejsze poczucie winy połączone z głębokim niezadowoleniem.

Flota przy plaży otworzyła część otworów wentylacyjnych, ale nie opuszczała na razie ramp. Zdaniem kapitana chodziło o uśpienie uwagi obrońców w sytuacji, gdy główny szturm miał nadejść od strony porośniętego gęstą roślinnością środka wyspy. Pająki nie przypuszczały zapewne, że *Rhabwar* może wiedzieć o przybyciu drugiej floty. Ostatecznie same nie znały sposobów, aby widzieć cokolwiek na naprawdę duży dystans albo w ciemności, i nie mogły wyobrazić sobie prawdziwych możliwości statku zdolnego wykryć ślady życia w kosmicznym wraku nawet z odległości tysięcy mil. W tej sytuacji dojrzenie ruchu oraz ciepła wydzielanego przez ciała ukrytych wśród listowia istot nie było naprawdę żadnym problemem.

— Nie cierpię takich widoków — rzuciła nagle Murchison. — To inteligentne i dzielne istoty, które przez brak edukacji robią z siebie kompletnych idiotów. Nie włącza się panu tryb boski, kapitanie Fletcher?

Usłyszeli, jak kapitan wypuszcza głośno powietrze, Prilicla zaś wyczuł też stłumioną odległością falę gniewu. Mimo to głos kapitana pozostał spokojny.

— Poniekąd tak. W porównaniu z nimi jestem wszechwiedzący, ale muszę ukrywać przed nimi prawdę dla ich dobra. Najchętniej zatrzymałbym ich już teraz, zanim wpadną na tarczę przeciwmeteorytową. Widzieli wcześniej, jak wywołujemy burze piaskowe i sprowadzamy deszcz z czystego nieba, a takie pokazy nieodróżnialnej od magii nauki mogą mieć zgubny wpływ na ich kulturę. Nie da się przewidzieć, czy nie wyrośnie z tego przypadkiem nowa religia, która zahamuje rozwój prawdziwej nauki i postęp technologiczny.

To im naprawdę nie pomoże.

— Przepraszam, kapitanie — powiedziała Murchison. — Nie pomyślałam.

Kapitan skinął głową.

— Pewne szkody już ponieśli. Widzieli nasz statek w locie i budynki stacji, doświadczyli wspomnianych cudów. Inna sprawa, że atak załamał się dopiero wraz z nadejściem burzy. Mogą uważać, że to my ją ściągnęliśmy. Ale jeśli teraz wpadną na niewidzialną ścianę, to będzie już pewnie za wiele nawet na tak odważne i zdolne do szybkiej adaptacji istoty jak oni. Problem polega na tym, że nie potrafimy tworzyć burz piaskowych pod drzewami ani przenosić wody na większe odległości, nie rozlewając jej po drodze.

Możemy zwiększyć moc wiązek i powyrywać drzewa z korzeniami, ale nie zdołamy uczynić tego na tyle precyzyjnie, aby żaden pająk nie ucierpiał. Czy nie wspominała pani wcześniej, że boją się ognia tak samo jak wody?

— Owszem. Chodziło mi jednak bardziej o to, że zarówno oni, jak i ich wytwory to bardzo łatwopalna materia.

— Przestraszę ich, nie czyniąc im krzywdy — oznajmił Fletcher. — Bez obaw, będę uważał. Chcę jednak także, aby zbliżyli się do doktora Prilicli, by odczytał ich emocje.

Szczególnie te, które wiążą się z tak silną niechęcią okazywaną całkiem nieznanemu im i bez dwóch zdań lepiej uzbrojonemu przeciwnikowi.

Niemal przez godzinę śledzili na ekranach zbliżające się powoli oddziały pająków.

Stworzenia korzystały z każdej możliwej osłony, przemieszczając się bardzo szerokim frontem. Kapitan co rusz chwalił ich taktykę, zwłaszcza gdy środek się zatrzymał, aby oba skrzydła mogły zajść stację i *Rhabwara* z boków. Gdy byli już jakieś sto metrów od zabudowań, kapitan odezwał się ponownie:

— Doktorze Prilicla, czy wyczuwa pan ich emocje?

— Tak, przyjacielu Fletcher. Są silne, ale rozmyte. Brak precyzyjnego odczytu wynika z dużej liczby osobników podzielających te same odczucia. Jest w nich niepewność typowa dla utrzymywanego pod kontrolą strachu i ogólna antypatia wobec przeciwnika...

— Ślepa ksenofobiczna nienawiść — mruknął kapitan. — Tego się obawiałem.

— Jak wspomniałem, przyjacielu Fletcher, trudno odczytać coś jednoznacznie, ale sądzę, że ta nienawiść jest skierowana nie tyle przeciwko nam, ile przeciwko naszym praktykom.

— Ale przecież nie robimy niczego złego — zaprotestował kapitan. — W każdym razie o niczym takim nie wiem. Nieważne zresztą, musimy powstrzymać ich, zanim podejdą bliżej.

Haslam, odpalaj pirotechnikę. Daj ją równo przed nimi co dwadzieścia metrów. Dodds, przenoś wiązkami płonące gałęzie i wszystko tak, aby nie było żadnej luki. Ma nas otoczyć krąg ognia i dymu. I bądź w pogotowiu, aby uruchomić tarczę, gdyby to zawiodło.

Wystrzelone z *Rhabwara* flary sygnałowe opadły ognistymi łukami w zaplanowanych miejscach pośród drzew.

— Po trzech dniach deszczu wszystko jest jeszcze na tyle wilgotne, że pożar nam nie grozi — powiedział Fletcher, pamiętając o wątpliwościach Murchison. — Więcej z tego będzie dymu niż ognia.

Błękitnawy blask flar, które zostały pomyślane jako źródło światła widocznego na dystans tysięcy mil kosmicznej pustki, otoczyły natychmiast płomienie. Roślinność eksplodowała ogniem. Dodds zaczął zbierać ją, tworząc nowe ogniska. Para i dym uniosły się ku niebu, przyćmiewając słońce, ale kilka minut później ujrzeli, że wtórnie rozpalone ogniska przygasają. Miejsca, gdzie upadły flary, też nie wyglądały najlepiej, wszelako spełniły swoje zadanie.

— Wiatr od morza znosi dym w głąb wyspy — powiedział kapitan. — Pająki wycofują się w stronę statków. Z tego, co widzę, nie ma rannych.

— Potwierdzam — dodał Prilicla. — Tyle że bardzo się wystraszyły i teraz jeszcze bardziej nas nie lubią.

— Sir, załogi statków po drugiej stronie wyspy musiały dostrzec dym, bo wypuściły szybowiec. Wznosi się teraz nad wzgórzami i kieruje w naszą stronę. Bez wątpienia ma sprawdzić, co tu się dzieje. Chyba wygraliśmy.

— Owszem, poruczniku. Ale tylko bitwę, nie wojnę. Gdybyśmy i wojnę mieli wygrać, oznaczałoby to naszą klęskę, ponieważ tutaj jedynym sposobem na zwycięstwo jest zapobieżenie walce, zanim ktokolwiek zginie. Pozostaje kwestia, jak tego dokonać. Słucham zatem, jestem otwarty na wasze propozycje.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Przez resztę dnia obserwowali krążący nad nimi szybowiec. Głównie dlatego, że nie mieli chwilowo nic lepszego do roboty poza posiłkami, obchodami pacjentów oraz, w przypadku Prilicli, drzemkami od czasu do czasu. Przy okazji przekonali się, że szybowce potrafią nie tylko latać. Były wyposażone w urządzenie sygnałowe pozwalające na utrzymywanie łączności ze statkami.

Był to spory okrągły panel zamontowany u nasady skrzydła, który obracał się swobodnie w strumieniach powietrza, przy czym jedną stronę miał brunatną, w kolorze poszycia szybowca, drugą zaś żółtą. Znajdował się na tyle blisko kabiny, że pilot mógł sięgnąć do niego kończyną i ustawiać na określony czas w żądanym położeniu. Z daleka żółty punkt był świetnie widoczny.

— Genialne — powiedział z podziwem kapitan. — Przypomina ziemskie semafory i alfabet Morse’a. Pająkowaci mogą nie mieć radia, ale na średnie dystanse da się tym rozmawiać. Na właściwości lotne szybowca wpływ ma minimalny i nadawać można przez cały czas akcji. Sądząc po przerwach w sygnalizacji, które wynoszą do piętnastu minut, zapewne na statku jest drugie takie urządzenie przekazujące pilotowi odpowiedzi.

— Sir, ale dlaczego on się ciągle wznosi, zamiast wracać na statek? — spytał Haslam. — Sądziłbym, że raczej zniży lot i spróbuje nam się przyjrzeć, aby pilot miał co zameldować.

Kapitan zachował się jak typowy dowódca, który nie zna odpowiedzi na pytanie podwładnego: zarządził ciszę na kanale dowodzenia.

Nosze z pacjentami zostały wystawione na popołudniowe słoneczko, ale Ziemian oddzielono od Trolann nieprzezroczystym parawanem, tak samo jak robiono to na oddziale.

Kilka pająków chodziło po plaży, ale trzymały się blisko statków i nic nie zapowiadało kolejnego ataku. Tarcza była na razie wyłączona, aby nie zużywać niepotrzebnie energii i aby pacjenci mogli cieszyć się podmuchami ciepłego wiatru. Oni też obserwowali krążący leniwie szybowiec.

Nadal wisiał nad nimi, gdy późnym popołudniem pacjenci wrócili do środka, a słońce zaczęło chować się za górami. O zmroku nie zniknął. Rysował się wyraźnie w pomarańczowym poblasku zachodu.

W pewnej chwili zaczął zakręcać ostrzej, jakby przymierzał się do pokazu akrobacji.

— Doktorze, zaczynam się niepokoić o naszego orła — powiedział kapitan. — W tej chwili znajduje się na wysokości pięciu tysięcy metrów. Tam musi być bardzo zimno i to chyba nie jest najlepszy czas na popisy. Owszem, być może chodzi o jakiś rytuał religijny odprawiany przez pilotów szybowców, ale jakoś niezbyt jestem skłonny w to wierzyć.

— Co pan ma na myśli, przyjacielu Fletcher?

— Szybowiec jest zbyt wysoko, aby jego sygnały były czytelne bez teleskopu, nie wyobrażam zaś sobie istot lękających się ognia, które umiałyby jednocześnie wytapiać szkło.

Sądzę, że ta akrobacja to jeszcze jeden rodzaj sygnałów. — Przerwał w oczekiwaniu na czyjąś uwagę, po czym wrócił do wyjaśnień: — Zasób znaków nie będzie duży, szybowiec może bowiem wykonywać tylko kilkanaście łatwo zauważalnych manewrów, zatem i przekaz będzie zbyt uproszony, aby wyrazić bardziej złożone kwestie. Da się go jednak dostrzec z bardzo dużej odległości.

— Czy masz coś na wsparcie swojej teorii, przyjacielu Fletcher? — spytał Prilicla, domyślając się odpowiedzi. — W pobliżu są jeszcze inne statki pająków?

— Obawiam się, że tak, doktorze. Nasz radar nie jest tu zbyt miarodajny, ponieważ zarówno statki, jak i ich szybowce nie są zbudowane z metalu. Pokazał sześć jednostek, z których pięć zmieniło kurs w naszą stronę jakieś pół godziny po pojawieniu się szybowca na niebie. Ostatni płynie w przeciwnym kierunku, ku innej flocie, która znajduje się zbyt daleko, abyśmy mogli policzyć jej statki. Domyślam się, że ta szósta jednostka wypuści o świcie swój szybowiec, aby przekazać sygnał dalej. Niebawem ściągną tutaj wszystkie pająki z tej części oceanu i pobliskich lądów — dodał. — I wszystkie będą chciały coś z nami zrobić.

— Ale co, przyjacielu Fletcher? — spytał Prilicla przerażony podobną perspektywą bardziej jeszcze niż kapitan. — Nie popełniliśmy tu żadnej zbrodni, niczego im nie zrobiliśmy, a gdy nas zaatakowali, postaraliśmy się ich nie skrzywdzić. Gdyby zastanowili się choć chwilę, musieliby zrozumieć nasze intencje oraz to, że jesteśmy nieporównanie od nich silniejsi. Samo zestawienie tego, co moglibyśmy zrobić, z tym, co zrobiliśmy, powinno rozwiązać problem...

— Owszem, nie zrobiliśmy niczego złego, o czym byśmy wiedzieli — zgodził się kapitan. — Nie zapominajmy jednak, że to całkiem nowa rasa. Mogą postrzegać naszą postawę jako oznakę słabości albo niezdolności do zrobienia im krzywdy. Albo nazbyt nienawidzą nas tylko za to, że tu jesteśmy.

— Gdybyśmy mogli z nimi porozmawiać — powiedział Prilicla. — Gdybyśmy mogli powiedzieć im, że nie chcemy tu wcale być, może to by pomogło.

Fletcher pokręcił głową.

— Patolog Murchison sporządziła listę kilkunastu słów, ale to za mało dla komputera.

Zresztą nawet gdybyśmy mogli im coś przekazać, nie jest powiedziane, że by nam uwierzyli.

Poza tym nie mogę przestać myśleć o wiekach ziemskiej ksenofobii i o tym, jak nerwowo ludzie reagowali niegdyś na samo hasło inwazji z kosmosu. Pewnie nie rozmowy były im wtedy w głowie. Ludzkość zmobilizowałaby swoje siły zbrojne i uderzyła na paskudnych obcych. Dokładnie tak samo jak oni teraz.

Prilicla zastanowił się chwilę.

— Trolannie też czuli do nas z początku nienawiść, zwłaszcza do tych, którzy przypominali im druuli. Opanowali jednak fobię, poznawszy historię Federacji. Dlaczego nie mielibyśmy powtórzyć tego dzisiejszej nocy? Pająki na pewno wystawiły warty, na wypadek gdyby coś się działo. Wszystko się dobrze składa.

Kapitan pokręcił głową, ale bardziej w wyrazie niezdecydowania niż sprzeciwu.

— Trolannie znali już podróże międzygwiezdne i byli poniekąd gotowi na spotkanie innych kosmicznych wędrowców. Pająki zaś są w odmiennej sytuacji. Nie zrozumieją.

Zapewne tylko bardziej byśmy ich wystraszyli, dając kolejne powody do nienawiści. No i moglibyśmy zabić ich kulturę. Dopóki ich emocje nie podpowiedzą nam, że mogłoby być inaczej, zasady pierwszego kontaktu nie dozwalają nam na podobne postępowanie.

— Na razie są zbyt daleko — powiedział z żalem Prilicla. — No i jest ich zbyt wielu, aby odczytać coś wyraźnie. Wyczuwam tylko jedną wielką nienawiść i agresję. Gdybyśmy mogli wyodrębnić z tej grupy jednego albo może kilku, to co innego. Na razie nie odpuszczą i znowu zaatakują. Ale w czasie walki emocje są zawsze zbyt zaburzone. Idealnym wyjściem byłoby znaleźć sposób, aby z nimi porozmawiać — powtórzył. — Walką na pewno niczego nie osiągniemy.

— Zgadzam się — powiedział kapitan i przerwał połączenie.

###### \* \* \*

Prilicla dołączył do reszty zespołu, który przenosił nosze z pacjentami na plażę, aby zażyli oni codziennej porcji słońca i świeżego powietrza. Spędził nad nimi kilka minut, zamieniając kolejno z każdym parę słów. Zaczął od rozbitków z *Terragara,* którzy byli w mniejszym lub większym stopniu pozbawieni kończyn, po czym dołączył do obojga CHLI, włączając się na chwilę w ich cichą rozmowę. Keet miała się już całkiem dobrze i mogła się poruszać bez pomocy noszy, ale świadomość, że podobne druulom istoty kręcące się wokół ich nie są groźne, nie zapadła w nią jeszcze na tyle głęboko, aby próbowała zawierać z nimi znajomości. Trzymała się więc swojego miejsca za parawanem. Wiedziała, że pozostali pacjenci na pewno nie wstaną i do niej nie przyjdą. Życiu Jasama nic już nie zagrażało, ale przedwczesny kontakt z innymi DBDG nie wpłynąłby korzystnie na jego rekonwalescencję.

Prilicla jednak nie zjawił się na plaży tylko po to, aby z nimi porozmawiać.

Pomyślał, że jeśli ktoś miałby spróbować wyjaśnić coś pająkom, to najlepiej będzie się do tego nadawać osoba, która nawiązała już z nimi kontakt.

Godzinę później patolog Murchison ruszyła powoli w stronę morza z Priliclą lecącym na wysokości jej ramienia. Trochę niezadowolona, że nie wybiera się tam po to, aby popływać, niosła nieduży płat giętkiego — plastiku, który po zrolowaniu miał jej służyć za tubę. Oboje zgodzili się, że użycie mikrofonu i donośnych głośników *Rhabwara* byłoby przesadą. Za sobą na module antygrawitacyjnym holowała nieduży terminal komputera tłumaczącego.

— Owszem, rozmawiałam z ich kapitanem, jeśli dobrze go identyfikuję, ale to było tylko kilka czasowników i rzeczowników — powiedziała, gdy minęli linię piasku naruszonego przez osłonę przeciwmeteorytową. — Nie wiem też, czy jego rozkaz wstrzymania ognia był dowodem przyjaźni. Możliwe, że nie chciał marnować amunicji na morzu, pewien, że i tak rychło pojmie nas wszystkich.

Prilicla wyczuł w niej przelotne zakłopotanie związane z ludzkim tabu nagości.

— Gdy mnie widział, miałam na sobie tylko kostium kąpielowy. Niestety, to był jedyny, który zabrałam, a ta bielizna jest trochę innego kroju i koloru. Może mnie nie poznać.

Obawiam się, że za dużo pan ode mnie oczekuje, doktorze.

— Może faktycznie mam nadzieję na cud — odparł empata. — Ale spróbuj, przyjaciółko Murchison.

Wyszli może ze trzydzieści metrów poza obszar chroniony tarczą. Gdyby była włączona, pokonaliby ją bez przeszkód, gdyż była nastawiona na zbliżające się obiekty.

Wrócić więc by już nie mogli. Kilka pająków krążyło w pobliżu statków, ze dwa poruszały się po pomoście wzniesionym między plażą a wrakiem *Terragara.* Trudno było się domyślić, jakie wrażenie na istotach nieznających metalu mogła zrobić taka twarda i sztywna konstrukcja. Prilicla wyczuł irytację Murchison, która uniosła wreszcie tubę do ust.

— Krisit! — zawołała, wskazując na najbliższy statek, potem odwracając się, aby wskazać na *Rhabwara.* — Preket krisit — dodała i powtórzyła to kilka razy, aż wskazała na siebie. — Czokwek — powiedziała i to słowo także powtórzyła.

Na koniec wskazała na ten statek pająków, który przybył pierwszy i na którym przebywał zapewne kapitan.

— Krititkukik! — krzyknęła.

Prilicla nie dojrzał żadnej szczególnej reakcji, wyczuł jednak unoszącą się ze statku chmurę wrogości, która mieszała się z zainteresowaniem i ciekawością. Na górnym pokładzie pojawił się pająk, który zaczął wykrzykiwać coś przez swoją tubę, ale wyraźnie nie do nich.

Na rampie pojawiła się grupa pięciu osobników, którzy ruszyli nagle biegiem, sięgając przy tym po kusze.

— Krititkukik! — krzyknęła znowu Murchison. — Czokwek!

— Oni nie biegną rozmawiać — zauważył Prilicla.

— Nie muszę być empatą, aby to zauważyć — odparła patolog bardzo zła i rozczarowana. — Kapitanie, tarcza!

— Słusznie — powiedział Fletcher. — Pełna moc za dziesięć sekund od teraz. Tyle macie, aby dobiec do linii na piasku, albo zostaniecie tam ze swoimi przyjaciółmi.

Prilicla zawrócił gwałtownie i poleciał z powrotem, zygzakując z lekka, gdy bełty świstały obok jego powoli bijących powietrze skrzydeł. Potem doszedł do wniosku, że uniki mogą jednak nie być najlepszym pomysłem, ponieważ pająki strzelały w biegu i nie miały szansy dobrze przycelować. W tej sytuacji większe było prawdopodobieństwo, że on nadzieje się na przelatujący obok pocisk, niż że ktokolwiek zdoła trafić go rozmyślnie. Postanowił wziąć przykład z Murchison, która biegła prosto przed siebie, stanowiąc na dodatek znacznie większy cel, ale nie oberwała ani razu.

Linię tarczy minęli całe dwie sekundy przed jej uruchomieniem. Żadne więcej bełty nie nadleciały, wstrzymane przez osłonę. Patolog zatrzymała się i obróciła, przyglądając się przez chwilę strzałom, które odbijały się od niewidocznej przeszkody i nie czyniąc nikomu krzywdy, spadały na piasek. Z kolei emocje pająków były na tyle silne, że drżący Prilicla musiał aż wylądować. Patolog uniosła tubę do ust.

— Szkoda gardła, przyjaciółko Murchison — powiedział empata. — Cokolwiek powiesz, nie będą słuchać. W tej chwili nie myślą, czują tylko złość i rozczarowanie, zapewne z powodu nieudanego pościgu. Nienawiści i wrogości jest w nich tyle, ile w Keet na samym początku, gdy myślała jeszcze, że przyjaciel Fletcher to druul. Wracajmy do naszych pacjentów.

Tym razem Prilicla szedł, zamiast lecieć, obok Murchison. Odnotowała jego drżenie i przejęła się empatycznym bólem, jakiego doznał.

— No dobrze — powiedziała, chcąc zmienić temat. — Przynajmniej rozerwaliśmy trochę naszych znudzonych podopiecznych.

— Rozrywek u nas dostatek — odezwał się kapitan bardzo spokojnym głosem, który zwiastował zwykle nie najlepsze nowiny. — Do przeciwległego brzegu wyspy zbliża się sześć kolejnych statków. Za pół godziny dołączą do tych trzech, które już tam są. Dodatkowe sześć majaczy na horyzoncie z naszej strony, następne dwa zespoły, każdy po trzy jednostki, pojawią się rano, jak wiatr pozwoli. Wszystko zdaje się sugerować, że pająki przymierzają się do kolejnych operacji. Desant z morza, desant z powietrza, tyralierą naprzód i tak dalej. Wasi pacjenci będą mieli miejsca w pierwszym rzędzie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Ani Ziemianie, ani CHLI nie przerazili się, słysząc o perspektywie kolejnego ataku, byli bowiem przedstawicielami ras znających podróże kosmiczne i znali efektywność tarczy przeciwmeteorytowej. Oficerowie z *Terragara* martwili się, że pierwszy kontakt z pająkami nie przebiega najlepiej, nie przejmowali się jednak tym przesadnie, jako że nie oni za to odpowiadali. Poza tym szykowało się naprawdę wspaniałe widowisko. Keet i Jasam cieszyli się przede wszystkim samolubnie z tego, że żyją i najpewniej jakiś czas jeszcze żyć będą.

Poza tym nie uwolnili się jeszcze od lekkiego zagubienia wywołanego tyloma nowymi dla nich sprawami. Murchison, Danalta i Naydrad trzymali emocje na wodzy. Jedynym, który zdawał się niepokoić, był kapitan, przemawiający właśnie do nich z *Rhabwara* z zaleceniem, aby się nie martwili.

— Nie ma powodów do obaw — powiedział. — Przynajmniej na razie, dopóki nasz wehikuł wytrzyma. System podtrzymywania życia mógłby zasilać bez końca, ale z tarczą i wiązkami to już gorsza sprawa. Uruchomienie tarczy w atmosferze wymaga pięć razy większej mocy niż w próżni. Ten statek został zaprojektowany do szybkiego udzielania pomocy, nie do walki.

— To oczywiste, że statek szpitalny to nie okręt wojenny — stwierdziła Naydrad, falując futrem. — Ile mamy czasu?

— Czterdzieści sześć godzin przy pełnej mocy. Potem będziemy musieli wystartować albo pozostać bez osłony, dopóki ktoś nas nie uratuje. Wyjaśnię wam zaraz sytuację taktyczną...

Nie potrzebowali jednak ani jego wyjaśnień, ani świeższych raportów, sami bowiem widzieli wszystko jak na dłoni.

Trzy statki cumujące dotąd po drugiej stronie wyspy nadciągnęły, trzymając się blisko brzegu, i wpasowały się w luki pomiędzy trzema, które stały już przy plaży. Wszystkie opuściły rampy i otworzyły górne pokrywy, spod których, jak przekonał się Prilicla podczas poprzednich obserwacji, wystrzeliwano szybowce. Nic innego na razie się nie działo, niewiele zdarzało się również rozmów między statkami. Kapitan uznał, że widocznie wszystko już zaplanowano, rozkazy zostały wydane i teraz czekali tylko na sygnał do ataku. Kolejne sześć jednostek nadciągało w szyku czołowym, płynęły szybko z kompletem żagli w górze. Na horyzoncie za nimi, odległe o jakieś pięćdziesiąt stopni, widać było dwa uprawiające akrobację sygnałową szybowce przyzywające trzy kolejne floty, co dawało łącznie piętnaście okrętów. Najdalsze jednostki znajdowały się jeszcze za horyzontem i według szacunków kapitana zjawić się miały dopiero następnego dnia.

Sześciu ostatnich przybyszy znalazło sobie miejsca przy plaży. Oni też zamknęli żagle i opuścili rampy. Na plaży zaczęło być naprawdę tłoczno, a *Terragar* skrył się za szeregiem zielonobrunatnych kadłubów przypominających gigantyczne mięczaki. Na każdym ze statków odezwał się głos komenderujący coś przez tubę, po czym zapadła dłuższa chwila ciszy.

— Nie wydaje mi się, aby zaczęli dzisiaj — powiedział kapitan. — Chyba czekają na pozostałych. Chociaż nie...

Pająki zaczęły schodzić po rampach i ustawiać się w szeregach na suchym piasku.

Wszystkie były uzbrojone w kusze, osiem z nich zaś niosło coś, co wyglądało na dwa tarany z ostrymi czubkami. Równocześnie wystrzelono szybowce, po dwa z każdego statku, wszystkie w stronę morza.

Wspięły się ciężko pod wiatr i dopiero gdy skręciły powoli w stronę lądu, aby skorzystać z prądów nad plażą, można było dostrzec, że tym razem niosły pasażerów, podobnie jak piloci uzbrojonych w kusze.

Szybowce powoli zyskiwały wysokość, tymczasem oddziały lądowe ustawiły się w trzy szeregi wygięte w półksiężyc, z taranami na przodzie i w samym środku szyku. W końcu cała armia ruszyła w stronę stacji i przyglądających się pajęczym manewrom pacjentów.

— Dodds — odezwał się kapitan. — Wystrzel kilka flar w głąb lądu i przeciągnij je do perymetru. Uważaj tylko, aby nie wywołać większego pożaru, bo roślinność podeschła już porządnie. Chcę kilka płonących krzaków i sporo dymu. Nie widzę, aby szykowali atak z tamtej strony, ale na wszelki wypadek wolę i tak wybić im ten pomysł z głowy.

— Czy mam wywołać burzę piaskową na plaży? — spytał Haslam.

— Nie. Nie ma co marnować energii. Ostatnim razem chcieliśmy uchronić ich od zderzenia z tarczą, ale teraz i tak już wiedzą o jej istnieniu. Musieli dostrzec coś podczas ostrzeliwania Murchison i Prilicli. Ale niech wiązki będą w pogotowiu. Doktorze Prilicla?

— Tak, przyjacielu Fletcher.

— Nie ma co narażać pacjentów na szwank. Wprawdzie pająki nie przejdą przez tarczę, ale kto wie, co sobie zrobią, próbując. To może nie być miły widok, doradzałbym więc zabranie naszej gromadki ozdrowieńców, zanim...

Kolejne słowa kapitana zginęły w chóralnym jęku protestu.

— Dziękuję za sugestię, przyjacielu Fletcher, ale odbieram silne wokalne i emocjonalne sygnały świadczące o tym, że ani pacjenci, ani personel nie chcą stracić nic z przedstawienia.

— Krwiożercze dzikusy — mruknął kapitan. — I nie mówię wcale o pająkach.

Przy plaży znajdowało się dwanaście statków, każdy z dwoma szybowcami i załogą sięgającą dwustu osobników. Jasny piasek ginął pod brunatnozielonymi ciałami ponad dwóch tysięcy pająków i gdyby nie świadomość, że tarcza bez trudu powstrzyma taką ciżbę, byłby to zaiste przerażający widok. Pierwszy szereg znieruchomiał w odległości około pięćdziesięciu metrów od obozu i uniósł kusze. Poza szmerem krążących w górze szybowców słychać było tylko szum wiatru. Wszyscy wiedzieli już, co mają robić, i czekali na sygnał.

— To czysta głupota — powiedziała Murchison, stojąc wraz z całym zespołem medycznym tuż pod Priliclą. — Przecież oni nic w ten sposób nie wskórają, dlaczego więc nie zostawią nas w spokoju i nie wrócą do domu? Ostatecznie nic im nie zrobiliśmy i dalej staramy się ich nie skrzywdzić. Ale jeśli ten cyrk potrwa dłużej, ktoś w końcu pożałuje.

— Na pewno ich jakoś zraniliśmy — powiedział Prilicla. — Nie fizycznie, ale duchowo lub w jeszcze inny nieznany nam sposób. Być może mają nas za spadłe z nieba potwory, forpocztę całej monstrualnej inwazji. To już by wystarczyło, ale sądzę, że chodzi o coś więcej.

Są na tyle blisko, że czuję nie tylko bijącą od nich nienawiść, ale także obrzydzenie.

To bardzo intensywne i wspólne dla wszystkich osobników doznanie.

— Nie wierzę — zaprotestowała Murchison. — Gdy wzięli mnie na ten statek, ich kapitan traktował mnie bardzo dobrze. Owszem, byłam więźniem, ale spotkałam się z zaciekawieniem i wieloma oznakami wysokiej inteligencji. Chyba że to naukowiec, który potrafi opanować emocje. Chociaż nie. Nie jestem silną empatką, ale gdyby w grę wchodziła nienawiść i odraza, raczej bym to zauważyła. Sądzę, że coś się stało po mojej ucieczce. Coś, co zmieniło ich nastawienie.

Naydrad wyprostowała się nagle, stając częściowo słupka, i spojrzała w niebo.

— Nawet na początku bitwy ich piloci lubią się popisać — powiedziała. — Patrzcie tylko.

Szybowce krążyły bezładnymi grupami na wysokości niemal trzech tysięcy metrów, nagle jednak zebrały się w szyk i utworzyły regularny krąg. Jednoczesnymi manewrami zmniejszyły jego średnicę na tyle, że cała formacja znalazła się dokładnie nad stacją.

— Świetna koordynacja — powiedział kapitan. — Ale to chyba nie popisy. Piloci i pasażerowie sięgają po broń. Chyba chcą ostrzelać was z góry w nadziei, że spadające z takiej wysokości bełty zyskają na sile przebicia. Pomysł dobry, ale w tej sytuacji całkiem chybiony... Ale co oni robią, u diabła?

Jeden z szybowców położył się na skrzydło, zacieśnił skręt i runął w dół. Po chwili wszystkie maszyny schodziły już ciasną spiralą w stronę stacji.

— O, nie! — zakrzyknął Fletcher. — Widzieli, jak zatrzymaliśmy ich bełty na poziomie ziemi, i sądzą, że to rodzaj niewidzialnego muru. Nie wiedzą, że to półkula, i zaraz rozbiją się o tarczę... Haslam, Dodds, włączcie wiązki, szeroki promień i niska moc na odpychaniu.

Starajcie się nie zniszczyć szybowców, tylko zbić je z kursu, zanim uderzą.

— Potrzebuję kilku sekund na każdy cel, sir — zaprotestował Haslam.

— A celów jest zbyt wiele — dodał Dodds.

— Róbcie, co w waszej mocy — powiedział kapitan, gdy pierwszy szybowiec wpadł na niewidzialną krzywiznę tarczy.

Wyglądało to tak, jakby aparat latający złożył się w powietrzu całkiem sam i bez wyraźnej przyczyny. Pogięta konstrukcja uwięziła obie istoty i wraz z nimi zaczęła zsuwać się po tarczy. Drugi pilot domyślił się, że coś jest nie tak, i spróbował wyjść z nurkowania ostrym zwrotem, ale zahaczył o tarczę skrzydłem. Płat pękł, a jego główny dźwigar przebił kadłub. Szybowiec runął na tarczę i z coraz większą szybkością zjeżdżał po gładkiej, niepowodującej tarcia powierzchni.

— Łapcie ich! — krzyknął kapitan do swoich oficerów. — Zwolnijcie tempo ich upadku i połóżcie na ziemi. Dobrze, doktorze?

— Czyta mi pan w myślach, przyjacielu Fletcher. Przyjaciółko Naydrad, proszę natychmiast nakazać robotom odprowadzenie pacjentów na oddział.

Upadek pierwszego szybowca udało się zahamować pięć metrów nad ziemią i opadł na piasek tak łagodnie, że prawie go nie poruszył. Drugi został złapany dopiero na dwóch metrach, tak więc uderzył w powierzchnię z całkiem sporym impetem.

Prilicla spojrzał na półkole oczekujących pająków, które przysuwały się coraz bliżej.

Biła od nich taka wrogość, że empata ledwie mógł utrzymać się w powietrzu. Szybko przeliczył coś w myślach.

— Przyjacielu Fletcher, czy mógłbyś zwiększyć...

— ...zasięg tarczy o dziesięć metrów — przerwał mu kapitan. — Czyżbym nadal czytał panu w myślach, doktorze?

— Zaiste, przyjacielu Fletcher.

Idealna formacja atakujących szybowców rozpadła się i każdy pilot usiłował ratować się na własną rękę. W końcu reszta szybowców zaczęła ponownie nabierać wysokości.

Wszystkie oprócz dwóch, które zderzyły się nad plażą i spadały właśnie, sczepione skrzydłami. Obracając się wokół wspólnego środka ciężkości, rozbiły się ostatecznie na piasku, powodując zapewne ofiary wśród pająków na ziemi. Tyle dobrego, że nie runęły jak kamienie, co dało kusznikom szansę na ucieczkę. Spadły jednak za daleko, aby rozciągnąć tarczę w ich stronę, poza tym towarzysze załóg raczej nie pozwoliliby na udzielenie pomocy rannym. Pozostało mieć nadzieję, że sami zdołają się nimi zająć.

— Przygotować się na przyjęcie poszkodowanych — oznajmił Prilicla. — Czterech wrogo nastawionych pacjentów, konieczne ograniczenie ruchów. Fizjologiczna klasyfikacja GKSD, brak danych medycznych. Oczekiwany wstrząs wywołany upadkiem z możliwymi obrażeniami wewnętrznymi, złamaniami, ranami ciała, stłuczeniami i powierzchniowymi otarciami. Zbadam ofiary i ustalę kolejność interwencji. Naydrad, wyślij nosze i sprzęt ratunkowy. Reszta za mną.

Poleciał w stronę wraku pierwszego szybowca, ale biegnąca na długich kształtnych nogach Murchison zdołała go wyprzedzić. Nosze dotarły trzecie.

— Obaj poszkodowani są nieprzytomni i nie stanowią w obecnej chwili zagrożenia — powiedział. — Potem chyba też nie będą, jeśli odbierzemy im broń. Czy potrzebujesz Danalty do pomocy?

Murchison pokręciła głową. Pochłonięta nowym wyzwaniem zawodowym porwała jednak obie kusze i cisnęła je ze złością przez barierę prosto w szeregi pająków.

— Dla tych dwóch ciężkich idiotów wojna już skończona — powiedziała. — Przepraszam, doktorze, ale chyba się zamyśliłam. Ci dwaj są tak oplątani resztkami konstrukcji, że zamiast wycinać ich na miejscu, proponuję zabrać całość za pomocą wiązki przed sam szpital. Sądzę, że w ten sposób ograniczymy szok. Mogą być jeszcze inne obrażenia, których lepiej byłoby nie powiększać.

— Masz rację, przyjaciółko Murchison — powiedział Prilicla, odlatując do drugiego wraku. — Zróbmy tak.

Z załogi drugiego szybowca tylko pilot był nieprzytomny. Jego pasażer aż się gotował ze złości, strachu i nienawiści. Nagle wyskoczył z połamanego aparatu i wycelował w Priliclę, który wykonał unik. Danalta zasłonił go, po czym spróbował chwycić pająka, ale nawet zmiennokształtny potrzebował chwili, by zmienić postać. Obcy, który ruszył biegiem w kierunku szpitala, był już w połowie drogi do otwartego wejścia do sali zabiegowej, gdzie Murchison i Naydrad wyciągały rannych z wraku. Ignorując czekających nadal na wprowadzenie do środka pacjentów, napastnik uniósł kuszę i wycelował...

Nagle coś przygniotło go do ziemi, zatrzymując w pół kroku i unieruchamiając jakby pod wielką szklaną taflą.

— Przepraszam, ale musiałem działać szybko i pewnie nie byłem zbyt łagodny — powiedział Haslam. — Powiedzcie mi, kiedy mam go uwolnić spod wiązki.

Murchison podbiegła bliżej, przystanęła tuż obok granicy pola i pochyliła się, aby się przyjrzeć pająkowi. Zaraz potem obok niej zjawił się Danalta.

— Prawie go pan rozpłaszczył, poruczniku — powiedziała po kilku chwilach. — Może go pan uwolnić. Nie widzę złamań, ale doznał wstrząsu i niedotlenienia i chyba jest nieprzytomny.

— Jest — stwierdził Prilicla, który też do nich dołączył. — Ale nie głęboko.

— Racja — powiedziała Murchison. — Danalta, weź jego broń i pomóż mi przenieść go na nosze. Naydrad, dokończmy wyplątywanie tamtych.

Kilka minut później Prilicla wrócił wraz z Danaltą do drugiego wraku. Uszkodzenie klatki piersiowej mogło zagrażać życiu pilota, ale jego stan wydawał się stabilny, emocje zaś nie wskazywały na bliskie zejście. Z małą pomocą żałośnie słabego empaty Danalta wyłuskał pająka z plątaniny szczątków konstrukcji i przeniósł go na nosze, na wszelki wypadek dodając pasy. Do tego czasu wszyscy pacjenci znaleźli się już w szpitalu.

— Sądząc po akcji naszego samotnego bohatera, ich plan był prosty — powiedział kapitan. Jego twarz widniała już na ekranie, gdy weszli do sali zabiegowej. — Uznali, że skoro nie mogą przebić muru, wykonają desant. Wiedzieli, że nie ma nas wielu, chcieli zatem nas pozabijać, aby potem zniszczyć to coś, co utrzymywało mur. Tyle że to nie był mur...

Wyjąwszy ich niewiedzę, świetnie to sobie pomyśleli...

— Nasz bohater odzyskał przytomność — przerwała mu Murchison. — Naydrad, przytrzymaj mu tors, abym mogła go zeskanować.

Prilicla podleciał bliżej i spróbował empatycznie uspokoić badanego, ten jednak był tak przerażony i zagubiony, że emanował emocjami typowymi dla kogoś, kto oczekuje najgorszego. Chwilowo znajdował się całkiem poza zasięgiem doktora.

Empata zerknął przez okno na pajęczą hordę stojącą ciągle poza tarczą i na krążące szybowce. Nadal czuł bijącą od tych istot nienawiść. Jeśli nie wynikała ona z czystej ksenofobii, winne musiało być coś, co zespół medyczny robił w tej chwili. Albo coś, czego nie robił, ale to oznaczałoby jakieś piramidalne nieporozumienie. Nieporozumienia wynikają jednak w trakcie walki, gdy obie strony kierują się głównie emocjami, nie refleksją.

Spojrzawszy na przerażonego pająka, Prilicla pomyślał, że wojna to okrutna mieszanka niepotrzebnej nienawiści i źle ulokowanego heroizmu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

— Poza odniesioną przez jednego z pilotów raną klatki piersiowej, spowodowaną przez wyrwany z mocowania dźwigar skrzydła, u pacjentów wydobytych z obu wraków stwierdzono też cały szereg złamań kończyn, ale stosunkowo niewiele obrażeń wewnętrznych — mówiła Murchison, sporządzając potrzebne do dokumentacji nagranie. — Wynika to z faktu, że ich ciała okryte są elastycznym i wytrzymałym egzoszkieletem, który raczej się ugina, niż pęka. Trzech znajduje się w stanie, który na podstawie naszej skromnej wiedzy na temat tego gatunku określiłabym jako poważny, ale nie krytyczny. Jeden, ten, który zaatakował w pojedynkę stację i został przygnieciony wiązką, ucierpiał na skutek niedotlenienia oraz lekkich deformacji kończyn. Jedno i drugie nadaje się do leczenia polegającego na czasowym unieruchomieniu kończyn i odpoczynku. Zasadniczo powinien więc zostać uznany za najmniej pilnie potrzebującego pomocy, ale ponieważ chodzi o całkiem nową dla nas formę życia, za zgodą doktora Prilicli postanowiłam wykorzystać go jako egzemplarz wzorcowy podczas zabiegów na jego ciężej poszkodowanych kolegach. — Przerwała dyktowanie, aby spojrzeć badawczo na Priliclę. — Stan emocjonalny czwartego rozbitka musi być bardzo dokuczliwy dla doktora Prilicli i niewykluczone, że poważnie utrudnia mu pracę. Z tego powodu proponuję utrzymywanie go w stanie farmakologicznej śpiączki, aż nie zaczniemy...

— Czy to będzie bezpieczne? — spytał empata.

— Sądzę, że tak. Wiemy z doświadczenia, że metabolizm, budowa mózgu i reszty układu nerwowego są u wszystkich insektoidów bardzo podobne. Reagują na te same leki przeciwbólowe i środki znieczulające. Będziemy stopniowo zwiększać mu dawkę, aż natrafimy na właściwą, i potem będziemy mogli zastosować ją wobec pozostałych.

— Działaj zatem, przyjaciółko Murchison. I dziękuję.

Strach, nienawiść i obrzydzenie właściwe pająkowatemu zaczęły stopniowo słabnąć, przechodząc w łagodną emanację typową dla umysłu, który nie był już dłużej zdolny do inteligentnej refleksji. Co dziwne, to samo działo się z szumem emocjonalnym dochodzącym z zewnątrz. Głos kapitana wyjaśnił przyczynę tego stanu rzeczy.

— Słońce zachodzi i pająki wracają na statki — powiedział, a Prilicla odczuł ulgę. — To samo dotyczy szybowców. Atak dobiegł końca. Zachowujemy czujność na wypadek nocnego napadu, ale chwilowo wyłączamy pole, aby oszczędzać energię.

— Jeszcze trochę, a będziemy musieli operować przy świeczkach — rzuciła gniewnie Naydrad.

— Pacjent numer cztery pozostaje nieprzytomny — powiedziała Murchison. — Nie ma żadnych znaków, aby źle reagował na środek znieczulający. Czy wyczuwa pan jakieś jego emocje, które sugerowałyby coś przeciwnego?

— Nie, przyjaciółko Murchison. Zajmijmy się zatem pacjentem, który najbardziej potrzebuje pomocy. Przyjaciółko Naydrad, czy pacjent numer jeden jest gotowy?

— Gotowy od zawsze — odparła pielęgniarka, falując futrem. — Unieruchomiłam jego kończyny z nieuszkodzonej strony, ale poza tym niczego więcej nie robiłam. Jestem lekarzem, nie cieślą.

Ja też, pomyślał Prilicla. Podszedł do leżącego na stole operacyjnym pilota i spróbował przekazać mu sugestię spokoju.

— Musimy obciąć, wygładzić i wyjąć ten kawałek drewna, który przebił pancerz pacjenta, po czym odtworzyć uszkodzony fragment zewnętrznego szkieletu. W pewnym sensie to rzeczywiście będzie robota stolarska. Zaczynajmy.

Uderzenie, które oderwało skrzydło od kadłuba, wbiło złamany dźwigar w podbrzusze pilota. W jego ciele przemieścił się on ku górze, aż dotarł do grubego pancerza grzbietowego, przebił go i wysunął się na kilka cali na zewnątrz. Wcześniej jednak pancerz stawił na tyle duży opór, że drewniany dźwigar wygiął się i pękł niczym kość przy złamaniu podokostnowym, zwanym też złamaniem zielonej gałązki. Tyle że tutaj stało się to pośród miękkich narządów wewnętrznych i proste wyciągnięcie kawałka konstrukcji, który był nie dość że nadłamany i pełen drzazg, to jeszcze oklejony resztkami płótna z poszycia szybowca i opleciony linkami naciągowymi, musiałoby spowodować więcej zniszczeń niż pierwotny wypadek.

Wystający z pancerza kawałek zostawili na później. Badanie skanerem ujawniło, że drewno tak ciasno wpasowało się między narządy wewnętrzne, że zatamowało niemal całkowicie upływ krwi z przerwanych naczyń. Tym samym mogło poczekać, aż uda się zoperować bardziej poszkodowaną okolicę brzucha.

Prilicla zaczął od chirurgicznego powiększenia rany wlotowej, aby dać Danalcie więcej miejsca do pracy. W tym wypadku czas był ważniejszy niż unikanie dodatkowych cięć. Ostrożnie przesunął laserowe ostrze do miejsca, gdzie dźwigar wygiął się i pękł.

Buchnęło trochę pary, gdy przeciął drewno, i kilka drzazg wypadło z rany wraz z niewielką ilością krwi oraz innych płynów ciała.

— Naydrad — powiedział Prilicla. — Wyciągnij drewno pod tym samym kątem, pod jakim weszło, i daj ssawę tam, gdzie ci wskażę. Danalta, bądź gotów pomóc mi opanować krwawienie i zacząć konieczne naprawy. Murchison, usuń obcy materiał z utraconej krwi i przygotuj ją do ewentualnego użycia.

Tyle wokół nas pająków, pomyślał Prilicla, ale ani jednego chętnego na honorowego krwiodawcę.

— Na razie zostawię wszystkie luźne drzazgi. Posprząta się później. Ale uważaj na nie, Murchison, aby nie dostały się do krwiobiegu. Naydrad, zacznij łagodnie wyciągać.

Zanim kawałek drewna wyszedł z rany, skaner pokazał narastające krwawienie z dwóch większych naczyń, wcześniej ściśniętych.

— Naydrad, ssawa. Musimy widzieć, co robimy. Danalta, zaciski. Ja zajmę się perforacją jelita. Murchison, powiększ obraz pola operacyjnego cztery razy i trzymaj nieruchomo.

Danalta czekał z masywną ręką opartą o krawędź stołu operacyjnego i wysuwał w kierunku pacjenta dwa bardo długie palce. Gdy znalazł przerwane naczynia krwionośne, każdy z palców rozdzielił się na dwa szpatułkowate wyrostki, które objęły delikatnie żyły ponad uszkodzonymi miejscami i poniżej nich, zacisnęły się i zahamowały krwawienie.

Prilicla sięgnął delikatnymi kończynami do rany i podwiązał uszkodzone jelito w bardziej tradycyjny sposób, za pomocą nici chirurgicznych.

— Rozdarcie jest zbyt szerokie i nieregularne, aby próbować szycia, musimy więc dokonać resekcji całego odcinka jelita — powiedział. — Ale nie wolno nam wycinać za wiele.

System trawienny tego gatunku cechuje mniejszy nadmiar odcinka jelitowego niż Ziemian czy Kelgian. Naydrad, przygotuj opatrunek biodegradowalny z czasem rozpadu pięćdziesiąt dni. Sądząc po metabolizmie naszego pacjenta, do tego momentu powinien być w pełni zdrowy. Przyjaciółko Murchison?

— Zgadzam się. Ale czy mogę coś zasugerować? Nie powinniśmy przesadzać z czystością roboty. Przejawy życiowe pacjenta są o wiele słabsze niż w wypadku innych, nie tak poważnie rannych. Istnieje ryzyko poważnego wstrząsu wywołanego przebiciem, dlatego proponowałabym także całą operację przeprowadzić od tej strony, bez otwierania pancerza grzbietowego, co na pewno pogorszyłoby stan pacjenta.

— Dobrze, tak właśnie zrobimy — zgodził się Prilicla i zaraz wyczuł ulgę Murchison.

Wprawdzie operacja dotyczyła przedstawiciela całkiem nieznanego im gatunku, sama w sobie była jednak rutynowa. Zapisy edukacyjne, jakie Prilicla nosił w głowie, obejmowały wiedzę na temat leczenia właściwą Kelgianom, Melfianom, Ziemianom, Tralthańczykom i lekkograwitacyjnym Eurilom. No i znał się jeszcze na własnym gatunku. Mimo pozornej różnorodności istniała ograniczona liczba sposobów operowania podstawowych urazów u ciepłokrwistych tlenodysznych, przy czym Prilicla znał w tej chwili większość z nich.

Odetchnął, widząc, że fizjologia pająków przypomina pod pewnymi względami kelgiańską oraz jego własną, musiał jednak szukać dalej.

Z niejakim zażenowaniem przedzierał się przez myśli i wspomnienia innych istot, które przemieszkiwały poniekąd w jego głowie. Bez zapisów edukacyjnych międzygatunkowa chirurgia czy medycyna w ogóle nie mogłyby powstać, ale wiązała się z nimi jedna drobna uciążliwość, która powodowała, że mogły korzystać z nich tylko najbardziej zrównoważone psychicznie istoty. Prilicla dodawał do tego jeszcze: najbardziej tchórzem podszyte i niestawiające oporu. Problem polegał na tym, że zapisy nie zawierały jedynie wiedzy medycznej, ale i obraz osobowości dawcy, co obejmowało także słabostki, fobie, nerwowość i wszelkie psychiczne niedoskonałości.

Wiele razy szpitalni diagnostycy oraz ich młodsi koledzy opisywali przyjmowanie zapisów jako wejście w świat wielokrotnej schizofrenii, gdyż osobowości dawcy zawsze walczyły w jakiś sposób o przejęcie władzy nad nosicielem. Było to doznanie czysto subiektywne, ale powodowało liczne psychiczne, a nawet fizyczne niedogodności. Prilicla znalazł własny sposób radzenia sobie z tym problemem, który wywołał wstrząs u naczelnego psychologa szpitala, żadna bowiem istota nie wykazywała się zwykle tak daleko posuniętym tchórzostwem. Empata po prostu nie stawiał żadnego oporu przyjmowanym osobowościom i korzystał w pełni ze wszystkich dostarczanych przez nie informacji, nie czyniąc różnicy między nimi a własnymi myślami.

Musiał tylko pamiętać, że w rzeczywistości cały czas jest tym samym, kruchym i słabym Cinrussańczykiem, a nie ciężkim i masywnym Hudlarianinem czy Tralthańczykiem.

Pająki były podobne do niego o tyle, że też posiadały sześć nóg, były jednak znacznie silniej zbudowane i na pewno nie cechował ich brak odwagi.

Usuwanie reszty dźwigara trwało dłużej, bo chociaż Naydrad sprawnie wypchnęła go od góry, podczas gdy Danalta i Prilicla ciągnęli od dołu, to trzeba było jeszcze zatamować krwawienie uszkodzonych naczyń, co w tym miejscu było robotą o wiele trudniejszą ze względu na ograniczony dostęp. Ostatecznie jednak uporali się z zadaniem, oczyścili jamę ciała ze śmieci, zaszyli ranę w dolnej części tułowia i nałożyli sterylną płytkę na ranę wylotową w górnym pancerzu. Nie był to jeszcze koniec, ale reszta chirurgii mogła chwilę poczekać.

Podczas upadku pacjent złamał trzy żebra, z czego jedno w dwóch miejscach, co omal nie doprowadziło do traumatycznej amputacji.

— Jak już stwierdziliśmy, kończyny pacjenta są egzoszkieletowe i składają się z twardej tkanki zewnętrznej, która tworzy cylindryczną strukturę pozbawioną receptorów zmysłów oraz mięśni — poza służącymi do poruszania chwytnymi zakończeniami kończyn. Stawy wyposażone są w proprioceptory pozwalające mózgowi na pełne i nieustanne kontrolowanie położenia kończyn. Za motorykę odpowiedzialny jest układ hydrauliczny wykorzystujący naturalny płyn ciała, którego pacjent stracił sporo na skutek zranień. Jego poziom będzie uzupełniany za pomocą oczyszczonego płynu do czasu, gdy organizm sam podejmie jego wytwarzanie w potrzebnej ilości. Wykorzystamy tu znaną metodę łączenia pęknięć i złamań egzoszkieletowych, polegającą na nałożeniu sztywnego kołnierza pożądanej długości.

Zaczniemy od lewej przedniej kończyny i... Jestem zmęczony, Murchison, ale nadal dobrze kojarzę. Panuj nad swoimi emocjami, zachowujesz się jak kłótliwa żona!

Patolog nie odpowiedziała, wyczuł jednak jej zaniepokojenie.

— Przepraszam, przyjaciółko Murchison — odezwał się po chwili. — Chyba trochę się pogubiłem. Pewne aspekty tej procedury spowodowały, że ziemskie i kelgiańskie części mojej osobowości przepchnęły się do przodu, a taka kombinacja nigdy nie sprzyja uprzejmości.

Murchison zaśmiała się cicho.

— Tyle to się sama domyśliłam. Proszę jednak spojrzeć za okno. Mamy już poranek.

To była bardzo długa operacja i musi pan chyba być krańcowo zmęczony. Z tym doświadczeniem, które właśnie zdobyliśmy, sama dam radę zająć się resztą. Gdybyśmy napotkali jakiś problem, poczeka, aż się pan obudzi. Jestem pewna, że damy radę.

— Na pewno dacie radę — powiedział Prilicla, który mało co już widział. — Jest jednak jeszcze coś, co mnie niepokoi. Ten pacjent tutaj różni się trochę od wzorcowego. Zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Chociaż to jednak nowy gatunek. Pilot mógł doznać innych obrażeń. Może to kwestia przemieszczenia organów podczas upadku, deformacji albo...

Przerwał, gdy Murchison znowu się roześmiała, tym razem głośniej. Pośród jej emocji dominowało rozbawienie. Podobnie jak u pozostałych członków zespołu, którzy jednak skryli zaraz skwapliwie swoje uczucia.

— Zapewne nazbyt skupił się pan na kwestiach chirurgicznych i dlatego nie zauważył pan najważniejszego, jeśli chodzi o te różnice — powiedziała patolog. — Chodzi o to, że nasz wzorcowy pacjent jest rodzaju żeńskiego, ten zaś wręcz przeciwnie.

— Masz rację, muszę być bardzo zmęczony — powiedział Prilicla, śmiejąc się sam z siebie. Potem poleciał chybotliwie na szafkę z instrumentami i usadził się na jej szczycie. — Będę jednak was obserwował i postaram się nie zasnąć, aż wszyscy nasi pacjenci nie zostaną opatrzeni.

Ku własnemu zaskoczeniu udało mu się doczekać do tej chwili, chociaż zmęczenie już mocno mąciło mu myśli. Gdy ostatni pacjent trafił na oddział pooperacyjny, zdołał dojrzeć jeszcze stojącą przy komunikatorze i rozmawiającą z kapitanem Murchison.

— Próbowałam już nawiązać kontakt z jednym z nich i spróbuję ponownie, korzystając z uproszczonej procedury. Oni nie znają podróży kosmicznych i nic nie zyskają, oglądając cały materiał historyczny. Chwilowo nie mamy nic innego do roboty, więc zamiast snuć ponure myśli, chcę podjąć próbę porozumienia się z nimi. Co pan on tym sądzi?

— Jestem za, proszę pani. Proszę dać mi pół godziny na zmodyfikowanie programu, potem postaram się doradzić, jak najlepiej go wykorzystać. Na horyzoncie pojawiło się kolejne osiem statków, następnych dwadzieścia mamy na radarze. Na plaży panuje spokój, ale niewątpliwie to się w pewnej chwili zmieni, przez co masa istot, z nami włącznie, może zginąć. Rozmowy to jedyny sposób, aby wyjść z tej podłej sytuacji.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Prilicla obudził się z wrażeniem, jakby nagle znalazł się pośrodku wzburzonego tłumu. Do jego umysłu dobijało się wiele obcych słów i co chwila ogarniały go fale gniewnych emocji. Zaspany jeszcze i trochę przerażony, pomyślał, że może tarcza wysiadła i pająki opanowały stację, ale po chwili pojął, że najgłośniejsze dwa źródła hałasu znajdowały się tuż obok, w sali pooperacyjnej, i że jednym z nich była świetnie mu znana osoba.

Nie ufając jeszcze swoim skrzydłom, przeszedł chwiejnie do drugiego pomieszczenia, aby sprawdzić, co się właściwie dzieje.

Poza nieprzytomnym ciągle pacjentem numer cztery oraz kapitanem Fletcherem, który spoglądał z ekranu, wszyscy obecni w sali próbowali mówić równocześnie, przez co spora część konwersacji ginęła w popiskiwaniu przeciążonych translatorów. Nieco dalej rozbitkowie z *Terragara* spierali się z Keet, której sekundował chwilami osłabiony jeszcze i znajdujący się pod wpływem środków znieczulających Jasam. Najgłośniejsza była jednak kłótnia tocząca się pomiędzy Murchison a całkiem prawie zdrowym pasażerem szybowca.

Pająk się wykłócał...?

Prilicla nie wiedział, czy bardziej ma się z tego cieszyć, czy smucić, podkręcił więc nieco własny translator i sięgnął do ziemskiego słownika, aby spacyfikować towarzystwo.

— Czy moglibyście z łaski swojej wszyscy się przymknąć? Poza tobą, przyjaciółko Murchison — dodał, gdy wrzawa ucichła. — Rozumiem, że możemy już rozmawiać z pająkami i nawiązać porozumienie, zanim ktokolwiek zginie. To najlepsza z nowin, ale mam wrażenie, że wojna wybuchła i tutaj. Proszę o wyjaśnienia.

Patolog odetchnęła głęboko, aby trochę się uspokoić.

— Jak pan wie, nauczyłam się już wcześniej kilku słów w ich języku. Dzięki materiałom pierwszokontaktowym i długim próbom prowadzonym na migi udało nam się dojść do etapu, w którym komputer dokończył naszą pracę. Możemy teraz swobodnie rozmawiać, ale nie udaje nam się porozumieć. Ten uparciuch nie wierzy w nic z tego, co mówimy. — Murchison rozpostarła szeroko ręce. — Dzieli nas cała przepaść.

— Rozumiem — powiedział Prilicla i podszedł do niedowiarka, na wszelki wypadek powoli, aby go nie wystraszyć. Przystanął przy jego noszach.

Pacjent był zdolny do ruchu, spoczywał jednak przypasany zarówno dla dobra swojego, jak i innych pacjentów. Potem empata wzleciał i zawisł pod sufitem, czym przykuł uwagę wszystkich obecnych.

— Co to jest, u diabła? — powiedział nagle pająk szczebiotliwie, translator zaś przełożył jego mowę na zrozumiały język. — Jakaś małpa w kubraczku?

Naydrad zafalowała niebezpiecznie futrem, Murchison jakby się czymś zadławiła i tylko jeden Prilicla pozostał spokojny.

— Nie, jestem tu szefem. Proszę wszystkich, aby opanowali na chwilę emocje — dodał na użytek ziemskich pacjentów, którzy znali go najsłabiej. — Potrzebuję spokoju, aby właściwie rozpoznać uczucia pacjenta. Musimy ustalić przyczynę wrogości pająków...

— Nie jestem pająkiem — przerwał mu pacjent. — Nazywam się Irisik i jestem Crextikiem z wolnego morskiego klanu Sitikis, który połączy się wkrótce z innymi klanami i zetrze was z tego świata. Jeśli zaś nie znacie powodu naszej wrogości, to mimo dziwnej magii, której używacie przeciwko nam, musicie być bardzo ograniczeni.

— Nie ograniczeni, tylko niedoinformowani — odparł Prilicla, starając się utrzymać równo w powietrzu, co nie było łatwe, zważywszy na emocje pająkowatego. — A można to łatwo zmienić, udzielając nam tych informacji. Czujecie wobec nas nienawiść, złość, wrogość i obrzydzenie. Jeśli powiesz mi, skąd się one biorą, ja powiem ci, dlaczego nie są one zasadne. Prosta wymiana wiedzy między nami rozwiąże ten problem.

— To wasz problem, nie nasz — powiedziała Irisik, patrząc na rannego pilota. — Gdy zaspokoicie swój głód wiedzy, zjecie nas wszystkich razem z resztą swojej zdobyczy.

— Cały czas wmawia nam, że zjadamy ludzi... — zaczęła ze złością Murchison, ale przerwała, gdy Cinrussańczyk poprosił gestem o ciszę.

— Teraz chciałbym posłuchać naszego pacjenta i nikogo więcej. Irisik, dlaczego uważasz, że zjadamy ludzi?

Irisik przechyliła głowę, która była jedyną jej nieskrępowaną częścią ciała, i spojrzała na Murchison.

— Ta druga głupia opowiedziała mi wiele kłamstw, łącznie z bujdą, że zamierza zostawić nas przy życiu. Żadna zdrowa na umyśle dorosła osoba nigdy w to nie uwierzy. Nie marnuj czasu na nowe i jeszcze bardziej fantastyczne kłamstwa. Sam znasz odpowiedź na swoje pytanie, nie udawaj więc głupszego, niż jesteś.

Prilicla milczał przez chwilę. Nie spotkał się jeszcze z podobnym zachowaniem, które byłoby równocześnie w pełni zgodne z żywionymi przez mówiącego emocjami. Wprawdzie nie wróżyło to nic dobrego, ale nie mógł w pewien sposób nie podziwiać tej istoty. Jej niewiara otaczała jej umysł szczelnie niczym kamienny mur.

Wiedział, że Murchison przedstawiła już pacjentce informacje na temat Federacji oraz przeznaczenia i działalności statku szpitalnego, najwyraźniej bez powodzenia. Pomysł, aby wyjaśniać, że współczuł Irisik jej lęków, był w tej sytuacji zupełnie pozbawiony sensu. Nic nie miało szansy przebić tego muru chorej pewności siebie.

Ale być może dałoby się go zburzyć od środka.

— Proponuję inne podejście — powiedział. — Przyjmij, że ja i wszyscy tu obecni są głupi, ty zaś jesteś inteligentną i logicznie myślącą istotą, która ma swoje powody, aby wierzyć w to, w co wierzysz. Podziel się nimi z nami. Czy dasz temu wiarę czy nie, nie mamy tu nic innego do roboty poza żywieniem lokatorów tego pomieszczenia. Jeśli więc zechcesz podzielić się z nami wiedzą o sobie, swoim świecie i klanie oraz o powodach, dla których żywisz takie, a nie inne przekonania, dni zaczną płynąć nam w ciekawszy sposób. Jeśli naprawdę nas zainteresujesz, możemy spędzić z tobą naprawdę wiele czasu, aż...

— Opowieści Szeherezady — mruknęła Murchison.

Bez wątpienia było to odniesienie do jakiegoś ziemskiego mitu, ale nie pora była zagłębiać się w podobne szczegóły. Prilicla nie przerwał więc przemowy.

— ...twoi przyjaciele znajdą sposób, aby cię uratować. Jest takie powiedzenie wśród mojego ludu, ze póki życia, póty nadziei.

— My też mamy podobne powiedzenie — wyznała Irisik.

— Zacznij zatem opowiadać. Nawet to, co twoim zdaniem już wiemy, oraz wiele rzeczy, których znać nie możemy. Czy jest coś, co ucieszyłoby cię obecnie i pomogło poczuć się lepiej, poza puszczeniem wolno, naturalnie?

— Nie. Ale jak poznacie, czy kłamię, czy mówię prawdę? Albo tylko półprawdę?

— Nie poznamy — odparł Prilicla, lądując na podłodze obok noszy. — Jako obcy możemy nie być zdolni do odróżnienia prawdy od kłamstwa, ale nawet kłamstwa będą dla nas ciekawe. Mów, proszę, i zacznij od powodu, dla którego uważasz, że cię zjemy.

Irisik emanowała strachem, złością i zniecierpliwieniem, ale po kilku chwilach zdołała się opanować.

— Zjecie nas, ponieważ wszystkie wasze działania od samego początku wskazują jasno, że po to właśnie tu jesteście. Piractwo w celu zbierania pożywienia to coś, co sami dobrze znamy, niestety, bo są i klany nie dość cywilizowane albo zbyt leniwe, aby pracować, łowić ryby, uprawiać rośliny czy hodować zwierzęta. I tak jak wy szukają łatwiejszych źródeł pokarmu. Kradną, zamiast samemu go produkować. Nie wiemy, skąd jesteście, poza tym, że gdzieś z nieba, ale od pierwszej chwili, gdy zaczęliśmy was obserwować przy pomocy Crextików wędrujących w chmurach, wasze intencje stały się dla nas oczywiste. Na wszelki wypadek latali bardzo wysoko, nie widzieli więc szczegółów, w tym i tego, jak bierzecie gotową żywność do waszego wielkiego białego statku. Wielu z nas nie wierzyło nawet, że możecie być tak krótkowzroczni i głupi, tak karygodnie głupi, aby zbierać niedojrzały inwentarz, pozbawiając nas nie tylko tych zwierząt, ale i wielu pokoleń, które miały zrodzić się dzięki nim. Wyszło jednak na to, że się myliliśmy...

Jak wyjaśniła potem Irisik, żywy prowiant i owoce były jeszcze zbyt młode i niedojrzałe, aby zobaczyć je z góry, piloci jednak wypatrzyli inne dziwne zwierzęta, które obcy wykorzystywali jako pożywienie. Widzieli, jak kładziono te istoty na nosze, jak usunięto im dolne kończyny, aby nie mogły uciec, jak wystawiano je regularnie na słońce i kąpano w morzu, aby usunąć nieczystości i pasożyty oraz uczynić je lepszymi do konsumpcji.

Murchison próbowała w trakcie tej opowieści panować na swoimi emocjami, ale w końcu przerwała milczenie. Prilicla nie próbował jej powstrzymywać, zadała bowiem pytanie, które jego też nurtowało.

— Niektóre z tych stworzeń to istoty mojego gatunku — powiedziała, wskazując na rozbitków z *Terragara.* — Czy uważasz, że zjadłabym ich? Czy Kritik, znaczy Krititkukik, zjadłby mnie?

— Tak, w jednym i drugim przypadku — odparła Irisik bez wahania. — To głupota marnować dobre jedzenie, niezależnie od emocjonalnych więzi, jakie mogą z nim łączyć.

Niekiedy nie jest to przyjemne dla bliskiej rodziny i przyjaciół zgasłego i wielu ogranicza się tylko do małego kąska, a resztę przekazuje głodnym albo obcym, którzy nie znali mięsa za życia i nic do niego nie czuli. Trzeba jednak to zrobić, jeśli esencja ukochanego rodzica czy brata ma przetrwać. U was wyraźnie jest tak samo.

Murchison doznała tak silnego wstrząsu, że nie wiedziała, co powiedzieć.

— Znając wasze intencje i powody pobytu tutaj, rozesłaliśmy wieści i zebraliśmy wszystkie morskie klany oceanu. Niektóre z nich trudnią się prawie wyłącznie piractwem i podobnie jak wy rabują żywność. I normalnie wolimy strzelać do nich, niż przemawiać przez niebo i ugadywać się na wspólne działanie. Ale wszyscy się zgodzili, że trzeba chwilowo zapomnieć o waśniach i wspólnie pozbyć się obcych. Może uznacie, że przesadzam, zapewniam was jednak, że statki Crextików, które zebrały się już wokół wyspy, to tylko drobna część floty, jaka zjawi się tutaj w ciągu kilku najbliższych dni. Mimo waszych miotaczy ognia, waszej niewidzialnej broni, która ciska w nas piaskiem, i waszej magicznej tarczy zmiażdżymy was dzięki naszym wędrującym w chmurach i wojownikom. Niezależnie od tego, ile to będzie nas kosztowało, nikt z waszych nie pokusi się więcej, aby najechać na nasz świat. I muszę jeszcze poprawić jeden błąd — dodała w zapadłej ciszy. — Krititkukik to nie imię, ale tytuł wodza naszego klanu. Wedle prawa zjadłby najsmaczniejsze części ciebie, resztą dzieląc się z załogą. Będąc osobą wrażliwą i pełną naukowej ciekawości, świadom też faktu, że jesteś inteligentna i masz uczucia, aż do końca ukrywałby przed tobą to, że zostaniesz zjedzona. Czasem sądzę, że Krititkukik jest nie dość twardy jak na wodza.

Prilicla poczuł krótkotrwały impuls silnych emocji, których znaczenie nie ulegało wątpliwości. Łączyły się z tęsknotą, żalem i poczuciem straty kogoś bardzo bliskiego. Był pewien, że dotyczyły partnera Irisik.

— Spotkacie się jeszcze, i to niebawem — powiedział.

— Nie wierzę ci. Nigdy nie wierzę zbieraczom mięsa.

— Rozumiem — stwierdził Prilicla. — W tej sytuacji polecę moim zbieraczom mięsa, jak ich nazywasz, aby przestali się do ciebie odzywać. Możesz sobie rozmawiać z innymi źródłami mięsa, kiedy chcesz i ile chcesz. Siostra będzie dawać ci jeść, będzie dawać lekarstwa i czasem sprawdzać twój stan zdrowia, ale bez rozmawiania...

— I bardzo dobrze — powiedziała Naydrad. — Nie cierpię, gdy ktoś oskarża mnie o kłamstwo, chociaż tak naprawdę nie wiem nawet za bardzo, co to jest.

— I tak będzie, dopóki sama nie poprosisz, abyśmy z tobą porozmawiali — dodał Prilicla. — A teraz cię zostawiamy.

Irisik promieniowała zdumieniem, niedowierzaniem i zagubieniem.

— Wiem, że nie mówicie mi prawdy, ale wasze kłamstwa są takie ciekawe, że chętnie wysłucham ich więcej przed śmiercią. Zostań, proszę.

— Nie — odparł Prilicla zdecydowanie. — Aż do chwili, gdy uwierzysz, że mówimy prawdę, w tym prawdę o tym, że nie chcemy was skrzywdzić ani zniszczyć waszego świata czy waszych zwierząt, nie będzie żadnych rozmów. I pamiętaj, że czuję dokładnie wszystko, co się w tobie dzieje, a emocje nigdy nie kłamią. Gdy powiesz, że jesteś gotowa, poznam, czy mówisz prawdę.

Wyprowadził Murchison i Danaltę do pomieszczenia łączności, gdzie ujrzał na ekranie twarz Fletchera. Kapitan wyglądał jak ktoś, komu wzrosło raptownie ciśnienie krwi.

Jego dwaj oficerowie aż się palili do zadawania pytań, ale to Fletcher odezwał się pierwszy:

— To niepotrzebna strata czasu, doktorze. Rozumiem, co może czuć ktoś na pańskim stanowisku i o pańskiej wrażliwości, gdy zostanie nazwany kłamcą. Nie byłby pan Cinrussańczykiem, gdyby nie poczuł się pan urażony słowami tego sześcionogiego niewiernego Tomasza. Jestem jednak pewien, że przy odrobinie cierpliwości uda się panu...

— Wiem, co ona czuje, przyjacielu Fletcher — przerwał mu Prilicla. — Wiem dość dobrze, aby nie próbować teraz na nią wpływać. To uparta istota, która ma się za jedną z wielu naszych ofiar i jest absolutnie pewna, że niebawem zabijemy ją i zjemy. Nie uwierzy nam, ale może inne domniemane ofiary zdołają wybić jej to z głowy.

— Byle szybko — powiedział Fletcher, wracając poniekąd do normalnych kolorów. — Jeśli oblężenie potrwa ponad trzydzieści sześć godzin, tarcza wysiądzie. Wtedy będziemy musieli wystartować na silnikach pomocniczych i na pewno upieczemy na chrupko co najmniej kilkaset tych pająków. Federacja nie pochwali naszych działań, podobnie jak nigdy nie nalegałaby na nawiązywanie kontaktu z tą rasą. Poza wszystkim ta historia może też zaważyć na naszych karierach.

— Zgadza się, przyjacielu Fletcher — przyznał mu rację Prilicla, nawet z tak daleka czując udrękę kapitana. — Jest jednak pewien precedens. Wprawdzie to całkiem inna skala wydarzeń, ale pamiętam, jak kiedyś szpital został uwikłany w wojnę Federacji z Etlą. Z powodu wielkiego zatłoczenia ofiary obu stron przebywały na tych samych oddziałach. Tutaj mamy do czynienia z czymś podobnym.

— Naprawdę? — Głowę kapitana wypełniały najczarniejsze myśli. — Nie było mnie tam i to nie była wojna, tylko akcja policyjna na wielką skalę.

Prilicla pamiętał dobrze tamte dni, kiedy to floty sześciu sektorów, w tym aż trzy pancerniki, starły się w ciężkim boju z o wiele silniejszą flotą imperium Etli, której władca nakarmił swój lud całą masą kłamstw na temat Federacji. Nie chciał jednak spierać się z kapitanem, który podobnie jak inni jego koledzy z Korpusu Kontroli był lekko przewrażliwiony na punkcie tamtego konfliktu, gdyż jego organizacja pokonała wtedy największą zapewne potęgę militarną, jaka kiedykolwiek pojawiła się w galaktyce.

Był tam i widział wszystko na własne oczy, i nikt by go nie przekonał, że to nie była wojna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Słońce opromieniało złotą plażę, biały pas przyboju oddzielający ją od granatowego morza, liczne statki zebrane wokół wyspy oraz nieustannie wyrzucane w powietrze szybowce.

Poza małą grupą, która pracowicie rozbierała *Terragara* na kawałki, pająki prawie się nie pokazywały, ale bombardowanie nie ustawało ani na chwilę.

Zamiast pasażerów szybowce zabierały obecnie kamienie. Wzbijały się na wysokość dwóch tysięcy metrów i stamtąd ciskały je na stację. Zwykle pudłowały, istniało jednak ryzyko, że któryś trafi w końcu w czułe miejsce i porani albo zabije kogoś, trzeba więc było ponownie uruchomić tarczę. Pod nią wszyscy byli bezpieczni, ale tylko do pewnego czasu.

Kolejna bitwa, tym razem na słowa, rozegrała się na oddziale, gdzie przebywali chorzy, a jej stronami byli wszyscy pacjenci, którzy wystąpili przeciwko pająkom. Obecna na miejscu Naydrad po prostu wyłączyła swój translator, dzięki czemu mogła w całkowitym spokoju doglądać monitorów i pilnować, czy komuś ciśnienie nie podskoczyło ponad bezpieczną granicę. W sąsiednim pomieszczeniu łączności trwała mniej gwałtowna potyczka pomiędzy resztą zespołu medycznego a kapitanem Fletcherem i jego załogą.

— Nie rozumiemy, na co pan czeka, doktorze — powiedział kapitan. — Pana pomysł się nie sprawdził. Tarcza będzie działać już tylko przez dwadzieścia jeden godzin. Nie mając dość mocy, aby wystartować na wiązkach i oddalić się spokojnie od wyspy i od statków, będziemy musieli całkiem nieekologicznie użyć zwykłego napędu, który spali pół wyspy, o pająkach nie wspominając. Niech pan może wyjaśni to dokładnie Irisik oraz pilotowi szybowca, skoro też odzyskał przytomność. Wiem, że to trudna decyzja, ale nie możemy poświęcić załogi *Rhabwara* ani reszty naszych pacjentów ze względu na bandę całkiem pomylonych pająków, które uparły się nas zabić.

W pewnej chwili złagodził ton, ale mimo dzielącej ich odległości Prilicla wyczuwał wyraźnie jego determinację, która brała z wolna górę nad wahaniami. Nie mógł nie współczuć przyjacielowi dylematu.

— W obecnej sytuacji to pan dowodzi, doktorze Prilicla, ale okoliczności każą mi się zastanowić, czy nie należy tego zmienić. Proszę więc przekazać pajęczym pacjentom możliwie zdecydowanym tonem, że nie zostaną zjedzeni, ale muszą nas opuścić i wrócić na swoje statki, zanim zginą wraz z całą flotą w płomieniach podczas naszego startu. Może pan wysłać rannego pilota na noszach z modułem niewybuchowej autodestrukcji nastawionym na czas krótko po dotarciu do ich statków. I tak już dość skaziliśmy ich naszą technologią.

— Przyjacielu Fletcher — powiedział łagodnie Prilicla. — Nie czyń sobie wyrzutów, że grozisz mi odebraniem dowodzenia, i nie czyń niczego pospiesznie. Irisik to cyniczny pająk i jestem przekonany, właściwie nawet pewny, że nie uwierzy w nic, co jej powiem.

Dlatego właśnie nie mówię jej ani słowa i pozwalam, aby całą robotę wykonali za mnie ci, których ma za podobne sobie źródła pożywienia. Poczekaj, proszę. Niech pan przyjrzy się temu, co się dzieje na oddziale, i posłucha...

Naydrad skończyła właśnie kolejną kontrolę i zwinęła się na leżance naprzeciwko monitorów, gdy błogą ciszę zmącił okrzyk jednego z rozbitków z *Terragara.*— Umieram z głodu, siostro!

— Odczyty nie potwierdzają twojej samodzielnej diagnozy — odparła Naydrad. — Ponieważ zostałeś pozbawiony dolnych kończyn i twoje zapotrzebowanie na substancje odżywcze zmalało, obecnie zagrożenie śmiercią z niedożywienia groziłoby ci dopiero po ponad dwudziestu standardowych dniach bez pożywienia oraz płynów. Obiad będzie za cztery godziny. Na razie połóż się wygodnie i spróbuj pomyśleć o czymś przyjemnym.

— Nie uda mu się — powiedział któryś z kolegów rozbitka. — Ja też nie dam zresztą rady, bo patolog Murchison nie zaglądała do nas od blisko trzech dni. Lubię, gdy tu bywa, nawet jeśli przez pająki nie może zabierać nas na plażę...

Reszta ziemskich pacjentów wyraziła poparcie dla zdania kolegi, pogwizdując przy tym w sposób, którego translator nie przetłumaczył.

— Ale dlaczego nie przychodzi, aby chociaż trochę z nami porozmawiać?

Niezdolna do kłamstwa Naydrad wolała w tej chwili zachować milczenie.

— Wśród moich w złym tonie jest rozmawiać zbyt wiele z posiłkiem — powiedziała Irisik, pierwszy raz tego dnia postanawiając się odezwać. — Chyba że chodzi o rodzinę albo kogoś bliskiego. Takie zachowanie budzi niepotrzebne emocje i źle wpływa na trawienie, a my zawsze zwracamy uwagę na cudze uczucia. Ale ciekawe, że wam brakuje już nóg, ale zdajecie się nie odczuwać żadnej wrogości wobec osoby, która je zjadła. Czy wynika to z waszej religii, czy może uważacie, że taka ofiara pozwoli waszej esencji przetrwać...

— Nie! — odkrzyknął ze złością jeden z mężczyzn. — Ona nie jada istot inteligentnych...

— Ależ wszystkie stworzenia są inteligentne — sprzeciwiła się Irisik. — Chcesz powiedzieć, że ona je tylko rośliny?

— Nie — odezwał się inny rozbitek. — Mięso też jada, ale rzadko, i tylko wtedy, gdy pochodzi od stworzeń o bardzo niskiej inteligencji.

— Takich jak wy? — spytała Irisik lekceważącym tonem. — Ale kto ustala ten poziom i decyduje, kogo można zjeść, a kogo nie? Wy sami nie wydajecie się zbyt inteligentni, podejrzewam więc, że musi tu chodzić o swoistą perswazję, być może wzmocnioną zatruwającymi umysł naparami. Raczej tym niż religijną wiarą w życie po śmierci. To dobry sposób, aby ukryć przed wami wasz status zwierząt dostarczających żywności. Ten wpływ umysłowy musi być bardzo subtelny i silny zarazem, skoro wy, bez dwóch zdań silne i zdrowe osobniki, których ciała są stopniowo zjadane, bronicie tej, która was zjada. Ja nie dałabym się tak łatwo zmanipulować, zwłaszcza komuś z mojego gatunku.

— Ale moje nogi nie zostały zjedzone, do cholery — odparł rozbitek. — Zostały być może ugotowane, ale na pewno nie zjedzone. Pamiętam dokładnie, co się z nimi stało.

— Oni mogą wyglądać jak przerośnięte druule, ale na pewno nie zjadają ludzi — odezwała Keet. — Oni ich naprawiają.

— Albo tylko wierzysz w to, że wiesz, co się z nimi stało, bo wpływ cudzego umysłu i chemii kazał ci uznać to za prawdę — ciągnęła Irisik. — To zwykła sprawa, że istoty cywilizowane ukrywają prawdę przed swoją zdobyczą, aby nie martwiła się niepotrzebnie swym losem i cieszyła życiem aż do końca. — Obróciła głowę w kierunku Trolannki. — Wygląd jedzenia ma wielkie znaczenie. Podobnie jak naprawianie ran, aby jedzenie nie zeszło przedwcześnie. To logiczne, że chce się je zachować żywym i świeżym aż do momentu konsumpcji. Nie ma żadnego powodu, aby skazywać jedzenie na niepotrzebne cierpienia.

Prilicla poczuł nagły przypływ strachu u trolańskich rozbitków.

— Gdy te przerośnięte druule weszły po raz pierwszy na nasz statek, myśleliśmy tak samo jak ty. Ale później przylecieli jeszcze inni, którzy gotowi byli wystawić się na wielkie ryzyko, aby ocalić tych pierwszych, nawiązać z nami kontakt i naprawić nasze rany. Wyszło nam, że nikt nie zadaje sobie aż tyle trudu, gdy chodzi jedynie o zdobycie pożywienia. Bardzo boimy się o przyszłość naszej rasy i ci z drugiego statku obiecali nam pomoc w rozwiązaniu naszego problemu. o swoją osobistą przyszłość się nie lękamy. Ty też nie powinnaś.

— Mówisz, że i wy, i wasi porywacze przeszliście po wielkiej sieci między gwiazdami, że pokonaliście ją w statkach, których się nie tka i które rosną, i że umiecie robić i używać wielu cudownych narzędzi służących do budowy i naprawy tych statków oraz marynarzy, którzy nimi latają. Według waszych standardów Crextikowie nie są wykształceni. Ja jednak znam różnicę między wykształceniem a inteligencją i wiem, że — za przeproszeniem — wykształcona osoba też może być kretynem.

— Wiem, że sceptycyzm jest podobno oznaką inteligencji, ale to już przesada — rzuciła Keet, tracąc ostatecznie cierpliwość. — Jesteś żeglującym po morzu pająkiem, który nie wierzy ludziom żeglującym wśród gwiazd. Próba przemówienia ci do rozumu to czysta strata czasu.

Przede wszystkim dlatego, że zdajesz się go nie mieć. Odrzucasz wszystko, co wymaga myślenia.

Rosnąca irytacja Trolannów nie zagłuszyła całkowicie nowej, cichszej i bardziej złożonej emocji, która pojawiła się u Irisik. Pajęczyca po raz pierwszy poznała, czym mogą być wątpliwości.

Prilicla zastanowił się, czy nie powinien włączyć się do tej rozmowy, uznał jednak, że jeszcze nie pora. Przypomniało mu się zdanie wygłoszone kiedyś przez naczelnego dietetyka szpitala Gurronsevasa i postanowił pozwolić Irisik podojrzewać jeszcze trochę we własnym sosie. W jej głowie rodziło się coraz więcej pytań, ale nie należało wyprzedzać biegu zdarzeń.

Najlepiej, aby sama je sformułowała i zadała.

Keet wstała z noszy i przeszła szybko do rzędu zajmowanego przez rozbitków z *Terragara.*— Jest coś, co Jasam i ja musimy wam powiedzieć — zaczęła. — Chcemy was przeprosić za to, jak nasz system obronny uszkodził wasz statek, przez co straciliście kończyny. Nie wierzyliśmy, że ktokolwiek wyglądający jak druul może chcieć nam pomóc. Myliliśmy się.

Prosimy o wybaczenie, a gdy wrócimy na Trolann, zaproponujemy wam nowe kończyny.

Dysponujemy zaawansowaną technologią pozwalającą na łączenie materii organicznej z nieorganiczną. Wasze metalowe kończyny będą podłączone do układu nerwowego i będziecie czuli je prawie tak samo jak żywe, na wygląd zaś będą nie do odróżnienia. Wasi oficerowie z *Rhabwara,* którzy badali nasz statek, potwierdzą to. Jeśli nie macie żadnych zastrzeżeń psychologicznej albo religijnej natury, aby...

— Nie mamy — powiedział jeden z rozbitków.

— Czy da się tak zrobić, aby moje nowe nogi były o pięć cali dłuższe? — spytał inny. — Zawsze chciałem być wysoki i przystojny.

Trzeci wydał odgłos, który umknął translatorowi, i rozmowa z wolna się rozkręciła, wchodząc na poważniejsze tematy, przede wszystkim zaś dotyczące planów wszystkich obecnych.

Gdy Irisik próbowała się w nią włączyć, została świadomie zignorowana. Prilicla odnotował z zadowoleniem, że w jej umyśle niezdecydowanie zaczynało ustępować miejsca jakiemuś postanowieniu.

— ...wiem, że druule to niezbyt sympatyczne typy — powiedział jeden z rozbitków — ale Federacja nie pozwoli...

— Niezbyt sympatyczne? — przerwała mu Keet. — To podłe, przebiegłe i zdradzieckie bestie, które myślą tylko o tym, jak zabić i zjeść każdego, kto nie jest druulem. Wiadomo też, że zwykły zjadać swoich poległych, aby nic się nie marnowało. Powinny zostać wybite do ostatniego.

— Ale Federacja nie nakaże Korpusowi Kontroli zgładzenia całej rasy tylko dlatego, że wy tak mówicie. Wiedzą zresztą, że nawet gdyby ktoś wydał taki rozkaz, i tak byśmy go nie wykonali. Sami stalibyśmy się w ten sposób niecywilizowanymi dzikusami, nie lepszymi wcale od nich. Zamiast tego przyjrzymy się uważnie tym druulom...

— Może odczuwacie wobec nich coś w rodzaju sympatii, ponieważ są do was podobni — powiedział Jasam. — Ludzie potrafią żywić pozytywne uczucia wobec zwierząt, lalek albo mniejszych wersji siebie. Ale w tym wypadku to bez sensu. Uwierz mi, że oni tego nie docenią.

— Wierzę, ale rozmawiamy o gatunku inteligentnym. Nie mamy prawa ich niszczyć.

Federacja podda ich socjologicznemu oraz psychologicznemu badaniu. Jeśli okażą się tak aspołeczni, jak mówisz, niemal na pewno zostaną odizolowani na swojej planecie i będą musieli sami sobie radzić, aż wyginą albo pokażą nam z czasem, że potrafią jednak zbudować cywilizację. Wtedy pomożemy im, tak jak zamierzamy pomóc wam.

Trolannie nie byli zachwyceni, ale Prilicla nie wyczuł, co naprawdę w nich dojrzewało, zwrócił bowiem uwagę na silniejszy sygnał, napływający od Irisik. Ona jednak też milczała i tylko jeden z oficerów ciągle mówił.

— Wasi ludzie też zostaną przebadani, ale w wypadku rasy, która zna podróże kosmiczne, to czysta formalność. Przez ostatnie sto lat odkryliśmy kilka planet tak czystych i świeżych jak ta, tylko bez inteligentnego życia, które idealnie będą się dla was nadawać.

Biorąc pod uwagę, jak niewielu was zostało, transport ludzi, majątku, techniki i wszystkiego nie będzie problemem... — Oficer wyraźnie pęczniał z dumy i dawał się porwać coraz większemu entuzjazmowi, który ogarniał jego umysł niczym jasna emocjonalna mgła. — Mamy jednostki klasy *Emperor.* Technicznie to okręty wojenne, ale rzadko bywały używane, jeśli nie liczyć akcji na Etli. Ich emitery oczyszczą połacie gruntu pod budynki, uprawy, a nasi specjaliści kolonizacyjni pomogą wam zagospodarować ten nowy świat. W tym owszem, ale niewiele więcej, bo nazbyt wielkie uzależnienie nie jest pożądane. Moglibyście mieć wtedy problem z uzyskaniem samodzielności. To ważna zasada, na której Federacja opiera politykę kontaktów. No i możecie zapomnieć o druulach. Dopóki nie wykażą się cywilizowanymi zwyczajami, dopóty nigdzie się nie przeprowadzą.

— Ale chwilę, rozmawiamy o populacji całej planety — powiedział Jasam. — Do tego będą potrzebne naprawdę wielkie statki.

— Mamy je.

Napięcie Irisik doszło do granicy. Prilicla poczuł, że jeszcze chwila, a pajęczyca nie wytrzyma.

— Zachowujecie się, jakby wcale mnie tu nie było — powiedziała ze złością. — To niełatwe dla mnie, ponieważ mam pewną pozycję wśród swoich, ale możliwe, że zaszło pewne nieporozumienie i chciałabym o tym z wami porozmawiać.

— Ale oni mogą nie chcieć rozmawiać z tobą — rzuciła Naydrad, przerywając długie milczenie. — Mogą nie chcieć nawet ciebie słuchać.

— Irisik jest partnerką Krititkukika naszego klanu, naszego starszego kapitana i dowódcy floty — odezwał się nagle cicho i powoli ranny pilot szybowca. — Zajmuje więc wysoką pozycję i rzadko musi kogoś przepraszać. Mam jednak wrażenie, że teraz próbuje to uczynić. Jest niezależna, silna, inteligentna i szorstka w obejściu i pewnie niezbyt umie przepraszać.

— Zamilcz, wędrujący w chmurach — powiedziała Irisik. — Zapominasz o szacunku, jaki jesteś mi winien. Zamilcz albo odgryzę ci głowę.

— Obiecanki cacanki — mruknął pilot.

Prilicla nie posiadał się z radości. Sądząc po emanacji emocjonalnej Irisik, rzeczywiście przeprosiny były dla niej sporym problemem, ale się na nie zdobyła. Przyszła pora, aby włączyć się do rozmowy i zacząć wyjaśniać im zasady prawne Federacji. Oraz prawdę o ich obecnej sytuacji, która mogła się okazać dla nich nad wyraz bolesna. Gorsza zapewne nawet niż perspektywa skończenia w rondlu. Pajęczyca jednak już się zdecydowała, a sądząc po panujących na oddziale emocjach, dialog rozwijał się w pożądanym kierunku.

Wleciał powoli do pomieszczenia, gdy nagle komunikator przemówił głosem kapitana.

Bardzo przejętym głosem.

— Doktorze, już tu są. Nadciągnęły ciężkie siły. Trzy krążowniki Korpusu Kontroli, statek kontaktowy *Descartes* i flagowiec komendanta sektora *Vespasian.* Komplet, można powiedzieć. Komendant rozumie nasze położenie, ale stwierdza z żalem, że nie może narażać sukcesu kontaktu z Trolannami i nie dozwoli na ryzykowanie ich życia podczas nieudanego kontaktu z Crextikami. Oni, i jeszcze do tego my, to byłaby zbyt wielka ofiara. Mówi, że to była trudna decyzja, ale musiał ją podjąć. Mamy zapakować się zaraz do *Rhabwara,* ostrzec pająki i czym prędzej startować.

Prilicla zachwiał się w powietrzu, ale zaraz uspokoił lot.

— W tej chwili nie byłoby to pożądane, przyjacielu Fletcher. Przekaż, proszę, komendantowi, że nasz drugi kontakt przebiega pomyślnie i że wszedł obecnie w decydującą fazę, dlatego nie należy go przerywać pospieszną ewakuacją. Przypomnij mu też, że to przede wszystkim medyczna akcja, ze wszystkimi tego implikacjami.

— Przecież nie mogę tak rozmawiać z komendantem sektora!

— To tylko kwestia dyplomacji — powiedział Prilicla i poleciał dalej.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Prilicla wpadł na oddział i zawisł pomiędzy rzędami pacjentów. Został zauważony, ale też zignorowany. Uznał jednak, że wobec tego, o czym rozmawiały właśnie Keet i Irisik, jego sprawa może chwilę poczekać.

— Wydaje się, że myliłam się mocno w mojej ocenie sytuacji — mówiła Irisik. — Nasi będą bardzo wdzięczni, gdy się dowiedzą, co dla nas zrobiliście. Ale ci uzdrawiacze to dziwne istoty. Nie nieprzyjazne, mimo to budzą lęk. Nie wiem, jak długo potrwa, zanim ich polubimy i czy kiedykolwiek się to uda...

— Doktorze Prilicla — odezwał się kapitan. — Komendant sektora odrzuca pana sugestię i nakazuje natychmiastowy powrót całego zespołu medycznego oraz rozbitków na *Rhabwara.*Mamy ostrzec Crextików, aby usunęli się stąd przed naszym startem, a potem startować, czy zrobią to czy nie. Przykro mi, doktorze. Proszę natychmiast rozpocząć ewakuację.

— Przyjacielu Fletcher, proszę zwrócić się do komendanta... — w tej chwili jeden z dawców zapisów Prilicli, prostolinijny Kelgianin, przepchnął się do przodu i dokończył kwestię: —...właśnie zaczęliśmy się dogadywać, proszę więc przekazać komendantowi Dermodowi, aby trzymał się z dala od mojego futra!

— ...mówicie, że wasza planeta jest zatruta i umiera, i dlatego zostało was tak niewielu.

Tutaj jest wiele wysp, szczególnie na morzach blisko polarnego kontynentu, gdzie wysokie fale i silne prądy czynią żeglugę niebezpieczną, ale my, z tymi wszystkimi maszynami, moglibyśmy zrobić z nich użytek. Dlaczego więc mielibyście szukać nowego i lepszego świata, skoro moglibyście osiedlić się tutaj? Bardziej nas przypominacie niż pozostali z ekipy, tak że nawet najbardziej nieśmiali nie mieliby problemu z uznaniem was za dziwnych, ale pomocnych sąsiadów. Jest was za mało, abyście mogli nam zagrozić, a wasza wiedza jest zbyt cenna, aby marnować ją, zachowując się wobec was niewłaściwie...

— Nikt nie zabija kury znoszącej złote jajka — zauważył na boku jeden z rozbitków z *Terragara.*Prilicla cieszył się, że kontakt rozwija się aż tak pomyślnie, czas jednak uciekał i należało czym prędzej sprowadzić Irisik na ziemię.

— Gdyby był to dla was problem — perorowała dalej dziewczyna wodza — byłby i dla nas, gdyby sytuacja się odwróciła. Pomyślcie o tym jak o opłacie dzierżawy albo po prostu wymianie. Wiedza za spokojne i miłe miejsce do życia. Z czasem nauczylibyśmy się w pełni rozumieć się nawzajem i zaufalibyśmy sobie, a jeszcze później nauczylibyście nas, jak wydobywać metale zalegające pod powierzchnią naszej planety, budować z nich maszyny i może pewnego dnia my też weszlibyśmy na sieć rozpiętą między gwiazdami...

— Doktorze! — odezwał się ponownie kapitan. — Proszę spojrzeć na ekran. Wszystkie statki Crextików wypuszczają szybowce, wojownicy schodzą na ląd. Proszę zbierać zespół i rozbitków na *Rhabwara.* Natychmiast, doktorze!

Prilicla zerknął na monitor, który ukazywał pająki wylewające się z najbliższego statku i ustawiające w głębokiej na trzy szeregi formacji. Szybowce krążyły w kominach termicznych nad rozgrzaną plażą. Był jednak prawie pewien, że atak nie nastąpi za chwilę, ale dopiero po przybyciu reszty oddziałów.

— Przyjacielu Fletcher, gdybyś słuchał naszej rozmowy, wiedziałbyś, ile już osiągnęliśmy.

— Całej nie słuchałem, jesteśmy zbyt zajęci przygotowaniami do startu, ale od początku przekazuję ją na *Vespasiana.* Nie zdążymy zwinąć budynków i większego sprzętu, pakujcie się więc od razu na pokład.

— To byłaby zbrodnia, przerywać w takiej chwili — powiedział Prilicla. — Nie sądzę też, aby Trolannie byli zachwyceni widokiem spalonych statków i setek marynarzy zmienionych w popiół z powodu ratowania kilkorga pacjentów i lekarzy...

— Więc jednak zostaniemy zabici — zaczęła Irisik, a jej złość okazała się silniejsza od rozczarowania i strachu. — Okłamałeś nas.

— Teraz chyba sam już rozumiesz, przyjacielu Fletcher, że nasza rozmowa toczy się przy pacjentach. Naydrad, każ robotom przemieścić nosze z Ziemianami i Trolannami na *Rhabwara.* Połącz mój translator z zewnętrznymi głośnikami statku. Crextikowie i ja wyjdziemy na zewnątrz i spróbujemy dać temu ich Krititkukikowi trochę do myślenia.

Murchison, Danalta, wpakujcie resztę pająków na nosze i podeślijcie mi ich na zdalnym sterowaniu, potem pomóżcie Naydrad.

— Nie — powiedziała Murchison z szacunkiem i odrobiną buntu.

Spojrzała na zmiennokształtnego, który kiwnął górną połową ciała, że jest tego samego zdania.

— Zostajemy z panem.

— I ja też — dodała Keet.

Po sile ich emocji poznał, że nie zdoła wpłynąć na tę decyzję. Jak to dobrze, pomyślał, że istnieje coś takiego jak niesubordynacja. Kapitan był jednak innego zdania, przeszedł bowiem od słów uprzejmych do trochę innych.

— Całkiem pan zwariował, doktorze? — spytał ze złością. — I na dodatek nie panuje pan nad swoim zespołem! Proszę wyjaśnić sytuację naszym pajęczym pacjentom i nakłonić ich, aby jak najszybciej udali się do swoich i przekazali, co się stanie, jeśli wszyscy nie odpłyną.

Tarcza została wyłączona, aby zasilić systemy startowe...

Prilicla przyciszył głos w słuchawkach i zwrócił się do Crextików:

— Nie mamy zamiaru zjadać was ani robić wam krzywdy — powiedział z mamroczącym kapitanem w tle. — Macie wybór. Możecie schronić się wraz z innymi rozbitkami w naszym statku albo pójść ze mną do waszych przyjaciół i spróbować przekonać ich, że mówię prawdę.

Jeśli nam się nie uda, wiele setek istnień spłonie dzisiaj na pył. Następny atak jest już bliski, nie ma więc wiele czasu, aby go zatrzymać. — Podszedł do noszy pilota, aby nimi posterować.

— Proszę was o wyjednanie mi natychmiastowego spotkania z waszym Krititkukikiem. Resztę wyjaśnię wam po drodze.

Wprawdzie przygotowania do ataku rzeczywiście szły pełną parą, Krititkukik ruszył do nich jednak bez wahania. Irisik nazwała go odpowiedzialnym dowódcą, który dąży zawsze do wygranej przy minimalnym rozlewie krwi. Gdy był jeszcze daleko, patolog zauważyła zmianę w jego wyglądzie. Jego długą szyję otaczał kołnierz utkany z kolorowych gałązek i liści.

— Ostatnio nie miał tego na sobie — zauważyła. — Czy to oznaka rangi?

— Nie — odparła Irisik.

Emocje pajęczycy dalekie były od niemiłych, przeplatało się w nich jednak tyle osobistych wątków, że Prilicla zakołysał się w powietrzu. Podobne uczucia promieniowały z nadchodzącego Krititkukika. Empata nie oczekiwał po swojej pacjentce aż takiego bogactwa doznań.

— To kołnierz pierwszej nocy — wyjaśniła. — Mężczyzna wkłada go podczas godów dla własnej ochrony, aby pobudzona seksualnie partnerka nie odgryzła mu głowy. Od stuleci nikt nie słyszał już o podobnym przypadku i teraz wkłada się go tylko dwa razy. Podczas pierwszej nocy z partnerką — jako obietnicę miłości, oraz gdy życie jednego z partnerów dobiegnie końca — w podzięce za wspólnie spędzone lata.

Emocje wywołane tymi słowami u Murchison, Keet oraz samego Krititkukika nie zachwiały już Priliclą, ale strąciły go na ziemię, zmuszając do mało godnego przymusowego lądowania na piasku. Raz jeszcze, tak jak zrobił to wcześniej na oddziale, pozwolił innym rozmawiać, samemu tylko monitorując ich emocje.

Krititkukik okazał się osobnikiem bardzo inteligentnym, którego niełatwo było przekonać, kiedy jednak jego partnerka wytoczyła ciężkie działa i zaczęła kolejno zbijać jego wywiedzione z przesądów argumenty, znalazł się na straconej pozycji.

— Powiedzmy, że uwierzę ci, Irisik, co zresztą jest moim pragnieniem — powiedział w końcu. — Ale co z Krititkukikami pozostałych klanów? Przybyli tu, aby za wszelką cenę zabić obcych i nie dopuścić, by więcej ich zjawiło się pożerać nasz lud...

— Widziałeś mój upadek, gdy rozbiłem się o niewidzialną tarczę — powiedział pilot szybowca. — Oni nie jedzą ludzi, oni przywracają im zdrowie. Zobacz, jak mnie połatali.

— Z początku popełniłam ten sam błąd, gdy przybyli uratować nas z naszego uszkodzonego statku — odezwała się Keet. — Ale uzdrowili mojego partnera, który był w o wiele gorszym stanie niż twój pilot, i teraz oboje będziemy żyć. I na pewno nie jadają pająków. Irisik zaprosiła tę naszą garstkę, która jeszcze została, abyśmy zamieszkali obok was na waszej pięknej planecie, a w zamian nauczyli was z czasem, jak wędrować między gwiazdami do innych światów...

— Tak, tak — powiedział Krititkukik, który nie był jeszcze gotów do kapitulacji. — Słyszałem to już od Irisik i tej miękkiej wysokiej, która uciekła wcześniej z mojego statku.

Ale to brzmi jak bajka, którą opowiada się dzieciom. Za dobra, aby była prawdziwa. A teraz próbujecie nastraszyć mnie wielkim ogniem, który spowoduje wasz statek, wznosząc się w niebo, jeśli nie zachowamy się właściwie. Tak straszy się dzieci. Dlaczego miałbym wam wierzyć? Pomogliście kilku moim ludziom, w tym mojej partnerce, obiecujecie wielkie cuda w przyszłości, teraz jednak grozicie śmiercią i zniszczeniem. Cokolwiek powiecie, nie grozi wam żadna kara, i tym samym...

— Ryzykujemy życie — przerwał mu łagodnie Prilicla i wskazał na ślad na piasku. — Nie jesteśmy już chronieni. Możesz nas zabić i w żaden sposób nie zdołamy cię powstrzymać. Ale jeśli nie odwołasz ataku, wszyscy tutaj spłoniemy, podobnie jak i twoi ludzie na plaży.

Zastanów się nad tym, Krititkukiku, i nad powodami, jakie skłoniły nas do podjęcia tego ryzyka. I uwierz w to, co ci mówimy.

Prilicla wyczuwał w rozmówcy narastającą niepewność, ale brakło w tym wrogości.

— Dlaczego nie sprawdzisz, czy powiedziałem prawdę? Dlaczego nie użyjesz broni?

— Doktorze, to szaleństwo! — odezwał się Fletcher. Musiał krzyczeć naprawdę głośno, skoro Prilicla usłyszał go mimo ściszonego dźwięku. — Zdejmę was wiązkami, zanim wszyscy zginiecie. Wszystkich, czyli pająkowatych rozbitków też. W ten sposób możemy uratować chociaż kilku z nich, mimo że pewnie nie będą nam wdzięczni. — Ton Fletchera złagodniał trochę, ale jego głos nadal brzmiał głośno. — Transfer będzie raptowny, zwłaszcza dla pana, ale koniec końców wracamy do najlepszego szpitala świata...

Przerwał nagle, gdy w tle rozległ się inny głos. Pełen autorytetu, ale cichszy, za cichy dla Prilicli, aby dało się go rozpoznać. Potem znowu usłyszał kapitana.

— Sir? Tak, ale jak sam pan widzi, atak właśnie się rozwija. Rozumiem, sir. Żadnych działań, jeśli nie otrzymam od pana jednoznacznego rozkazu.

Prilicla nie poprosił o wyjaśnienia, bo sytuacja była chwilowo zbyt napięta. Czuł niepokój Keet i reszty zespołu medycznego patrzących, jak Krititkukik unosi kuszę.

Wystrzelił bełt przed siebie, celując w ścianę stacji. Pocisk przeleciał bez przeszkód i odbiwszy się od kontenera, upadł na piasek. Kusza zniknęła i zamiast tego Krititkukik sięgnął po tubę. Najpierw wydał rozkazy dotyczące krążących w górze szybowców, potem przemówił do czekających na plaży wojowników. Dzięki translatorom tym razem wiedzieli, co im przekazywał.

Wszystkie siły pająkowatych miały natychmiast wstrzymać działania i wrócić na statki. Wszystkie oprócz jednego szybowca, który miał wejść jak najwyżej i przekazać ten sam komunikat na odleglejsze jednostki. Prilicla poczuł ogólną ulgę i radość, wszelako i tym razem trafił się wyjątek.

— Brak pełnej zgody — powiedział Krititkukik. — Ponad jedna czwarta obecnych to praktycznie piraci, gwałtowni i brutalni, z którymi normalnie nie rozmawiamy. Mają jednak wpływ na innych. Aby przekonać ich o waszych dobrych intencjach wobec wszystkich Crextików, powiedziałem im, że wasz statek jest bezbronny, ale jeśli zechcą go zaatakować, będzie musiał odlecieć, co zabije setki naszych na wyspie. Sygnały szybowców są z konieczności lakoniczne i nie da się nimi przekazać złożonych argumentów. Ten niecywilizowany element nie wierzy mi i zamierza przypuścić szturm.

Po tych słowach Prilicla poczuł chłód, jakby na plaży powiało strachem i rozczarowaniem. Po raz pierwszy w życiu empata nie umiał znaleźć słów, aby ulżyć innym w cierpieniu. Nawet przyjaciel Fletcher, który musiał słyszeć Krititkukika, milczał, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

Zapadła cisza, wszakże nie tak całkiem głucha. Zewsząd, a jednocześnie jakby znikąd, zaczął dobiegać przeciągły huk, huk tak głęboki, że czuło się go bardziej, niż słyszało.

Danalta wypuścił wielkie niczym talerz anteny ucho, a potem rękę, która wskazała na niebo.

Wszyscy podnieśli głowy.

Nad wyspę nadciągał powoli *Vespasian.*

Pancerniki klasy *Emperor* nie mogły lądować na planetach ze względu na zbyt liczne systemy anten, stanowiska broni i inne urządzenia wystające z kadłuba we wszystkich kierunkach, zdolne były jednak do wejścia w atmosferę. Unoszący się na wysokości kilku mil okręt sam wyglądał niczym metalowa wyspa lewitująca dzięki czterem silnikom. Trzy krążowniki eskorty, wyglądające przy nim jak zabawki, zataczały szerokie łuki, dodając do ogólnego hałasu swoje falsetowe wycie.

*Vespasian* ominął statki pająków i zbliżył się do zatoki, gdzie opadł na niecałe tysiąc metrów, smagając ogniem dysz powierzchnię oceanu, aż gotująca się woda zakryła parą jego podbrzusze.

Wisiał tak wśród wytworzonych przez siebie chmur przez kilka chwil, hucząc zbyt głośno, aby ktokolwiek mógł dosłyszeć swoje myśli, o wymianie zdań nie wspominając.

Potem wycofał się, ponownie omijając miejscowe statki, i zaczął wznosić gwałtownie, zabierając ze sobą krążowniki. Gdy hałas zmalał do ledwie ogłuszającego poziomu, nowy głos odezwał się przez system *Rhabwara:*— Doktorze Prilicla, mówi komendant sektora Dermod. Przekonałem się już, że pokaz sił policyjnych często zniechęca amatorów zamieszek na tyle, że uspokajają się i do żadnych potyczek nie dochodzi. Teraz wycofuję moje jednostki na orbitę, abyście mogli tam w dole spokojnie porozmawiać. Liczę na pańską pomoc i pańską kreatywną niesubordynację. Jestem pewien, że się uda. To była dobra robota, doktorze Prilicla — dodał. — Naprawdę pierwszorzędna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Do wieczora następnego dnia większość statków odpłynęła z wyspy w różne strony.

Zostały tylko jednostki Krititkukików poszczególnych klanów oraz ich doradcy. Przez następne dni i tygodnie w powietrzu nad wyspą nieustannie unosiły się szybowce, które wzlatywały na najwyższy dostępny im pułap, aby manewrując w zimnym powietrzu, przekazywać w świat informacje o postępach rozmów prowadzonych w dawnej stacji medycznej.

Działo się naprawdę wiele, a same negocjacje między federacyjnymi specjalistami z *Descartes’a* i przedstawicielami Crextików przypominały niekiedy ciche wojny. Co ciekawe, nie brali w nich udziału Trolannie, których miejscowi uznali już za przyjaciół. Jeden z krążowników komendanta Dermoda przebywał cały czas w pobliżu wyspy, utrzymując odpowiedni dystans, aby nie wchodzić szybowcom w paradę.

Tylko raz, gdy rozmowy nie tyle utknęły w martwym punkcie, ile bliskie były przerodzenia się w otwarty konflikt, krążownik został wezwany nad wyspę. Starczyło jednak jedno jego przejście nad stacją, aby przypomnieć wszystkim nie dość rozumnym dyskutantom, kto tutaj dysponuje prawdziwą siłą. Nikt oczywiście nie ucierpiał na skutek jego wizyty, chociaż ci i owi z pewnością ogłuchli, a specjaliści Korpusu dowodzili potem zgodnie, że atmosfera rokowań znacznie się poprawiła.

Przez pierwsze trzy tygodnie Prilicla spędzał w sali obrad każdą chwilę, nawet podczas posiłków, przy czym jego technika przyswajania pokarmów zdumiała pająkowatych, ale nie wydała im się odpychająca. Gdy specjaliści z *Descartes’a* zapoznali gospodarzy ze szczegółami dotyczącymi organizacji Federacji Galaktycznej, prezentacja wywołała niedowierzanie, zdumienie, strach i nieufność. Sondując kolejno wszystkich uczestników rozmów, Prilicla pomagał specjalistom kierować dyskusję na najlepiej rokujące tory.

Kapitan Fletcher też był szczęśliwy, ponieważ wahadłowiec ładunkowy, zbyt mały, aby osmalić piasek na zauważalnej części plaży, krążył nieustannie między *Vespasianem, a Rhabwarem,* dowożąc także ogniwa paliwowe i wszelkie organiczne i nieorganiczne materiały, dzięki czemu Fletcher zdołał szybko odnowić zapasy i jego ukochany statek szpitalny znowu mógł wystartować na emiterach bez wypalania połowy wyspy na odchodnym.

W końcu nadszedł ten dzień, kiedy Prilicla zrozumiał, że jego obecność na planecie pająków nie jest już dłużej niezbędna, ponieważ przy kolejnym lądowaniu wahadłowiec zamiast frachtu przywiózł nie kogo innego, tylko samego komendanta sektora Dermoda.

Ciemnozielony mundur z oznaczeniem szarży i imponującym zestawem baretek nie mówił wiele zebranym w dawnej sali pooperacyjnej Trolannom i Crextikom, ale sam sposób bycia Dermoda zdradzał dowódcę, i to takiego, który nie rzuca słów na wiatr.

— Z całego serca pragnę pogratulować wszystkim, którzy przyczynili się do sukcesu tych epokowych negocjacji, ukoronowanych porozumieniem zawartym między dwiema inteligentnymi rasami a Federacją — powiedział. — Ostatnie zdarzenia zaowocowały pierwszym kontaktem Federacji z Trolannami, za którym zaraz podążył następny, z Crextikami, a potencjalnie rysuje się jeszcze trzeci, z druulami... — Spojrzał na rząd połączonych noszy, które służyły za stół konferencyjny, i uniósł dłoń, aby uspokoić poruszonych Keet i Jasama. — Wiem, że rozmawialiście już o tym z moimi podwładnymi i członkami zespołu medycznego, powinienem jednak przedstawić nasze stanowisko oficjalnie. Prawa Federacji zabraniają eksterminacji jakiegokolwiek inteligentnego gatunku, niezależnie od tego, jakie czyny popełniał w przeszłości i co można stwierdzić na temat jego obecnego agresywnego czy aspołecznego odnoszenia się do innych ras. Każdy taki gatunek zostaje poddany wnikliwym psychologicznym i socjologicznym badaniom, które mają ustalić jego podatność na reedukację. Jeśli wyniki będą przemawiać przeciwko niemu, jak sugerują to nasi przyjaciele, także nie uciekniemy się do eksterminacji. Jego świat zostanie zamknięty przez Federację aż do czasu, gdy druule staną się rasą cywilizowaną, co wydaje się całkiem możliwe, albo sprowadzą na siebie zagładę. Trolannie, którzy żyją obecnie na jednej planecie z nimi, zostaną ewakuowani na Crextik, gdzie zostali zaproszeni w imię lepszego jutra i powodzenia obu ras. Jest to bezprecedensowe zdarzenie w całej historii Federacji — dodał Dermod, zerkając na unoszącego się w powietrzu Priliclę. — Niepokoiliśmy się, czy ta próba na pewno się powiedzie i czy konflikt Trollanie‑druule nie powtórzy się na tej planecie, ale mój empatyczny doradca zapewnił mnie, że obie strony podchodzą do umowy bardzo uczciwie i otwarcie, co powinno gwarantować jej sukces i długoletni rozwój obu ras. W ramach zachowania niezbędnych środków ostrożności będziemy obserwować sytuację z orbity. W razie pojawienia się nieporozumień przeniesiemy Trolannów na inną planetę, bez żadnego życia rozumnego. Nie przewiduję jednak, aby do tego doszło. Nie będziemy ingerować w miejscowe dysputy dwóch ras, które pokazały już, że potrafią rozmawiać. Nie będziemy się też narzucać z pomocą technologiczną, gdyż mogłoby to mieć dla nich niepożądane skutki. Z czasem, zapewne wcale nie tak długim, mam nadzieję powitać Trolannów oraz Crextików w szeregach członków Federacji Galaktycznej.

Najpierw jednak — powiedział, zmieniając trochę temat — chciałbym zabrać Jasama i jego statek z powrotem na Trolann, aby przedstawić nową sytuację jego pobratymcom, doradzić im ewakuację i zapoznać naszych naukowców z technologią cybernetyczno‑organicznych połączeń, zwłaszcza stosowanych przy wykonywaniu w pełni sprawnych protez. Keet postanowiła pozostać tutaj i zająć się przygotowaniami na przybycie pierwszych trolańskich imigrantów. Stacja medyczna pozostanie tu, gdzie jest, podobnie jak szczątki *Terragara,* aby przypominać przez lata obu rasom o wydarzeniach z przeszłości. *Rhabwar* — dodał, spoglądając znowu na Priliclę, a potem na kapitana Fletchera — wróci do szpitala w dogodnym dla siebie terminie.

— Dziękuję, przyjacielu Dermod.

— Doktorze! — jęknął Fletcher, czerwieniejąc z zakłopotania i oburzenia. — Nie można zwracać się w ten sposób do komendanta sektora! Proszę wybaczyć doktorowi Prilicli, ale zdarza się, że bywa nazbyt przyjacielski — dodał, patrząc na przełożonego. — I melduję, że możemy startować za godzinę od teraz.

— Pewna doza bezpośredniości bywa wskazana — powiedział komendant, spoglądając na Priliclę. — Zwłaszcza w wykonaniu kogoś, kto osiągnął tak wiele. Nie uraził mnie pan tym, mały przyjacielu, a pana zmysł empatii wskazuje już panu na pewno, że poza innymi sprawami...

Prilicla poczuł bijące od Dermoda ciepło i radość typowe dla kogoś, kto zamierza podzielić się z inną osobą miłą dla obojga informacją.

— ...poza innymi sprawami przybywam także z wieścią, którą otrzymałem tuż przed odlotem od szpitalnego administratora Braithwaite’a — oznajmił Dermod, pokazując zęby w ludzkim grymasie uśmiechu. — Otóż został pan wybrany czy raczej jednogłośnie awansowany do rangi diagnostyka. Moje najgorętsze gratulacje, przyjacielu Prilicla. Jeśli się nie mylę — zwrócił się jeszcze do kapitana Fletchera — powiedziałem „w dogodnym dla siebie terminie”, a nie Jak najszybciej”. Nie rozkazuje się przecież diagnostykom ze Szpitala Sektora Dwunastego.